

Nicola Comick

Gra na cztery ręce

PROLOG

- Powiedz, że to zrobisz, Jane! Błagam cię, powiedz!
Panna Sophia Marchment nachyliła się do przyjaciółki;
w jej błękitnych oczach kryła się prośba.

Jane Verey przygryzła wargę- najwyraźniej była zatroskana.

- Och, Sophy, ja bym naprawdę bardzo chciała, ale...
Prawda była taka, że panna Verey nade wszystko lubiła
jeść, a przyjaciółka proponowała jej coś niewyobrażalnie trudnego.

- Posłuchaj mnie, Jane, to jest taka wspaniała przygoda! Je-
żeli pójdziesz spać bez kolacji i nie będziesz się za siebie oglą-
dała, to przyśni ci się twój przyszły mąż. - Sophia klasnęła w rę-
ce. - Dla mnie to jest warte największej porcji jedzenia.

Jane pomyślała tęsknie o bochnie ciepłego chleba, który kucharka upiekła przy
niej tego dnia, o świeżo zrobionym maśle i grubych plastrach szynki peklowanej
w piwie. Ślina napłynęła jej do ust. Nie, to niemożliwe...

Sophia popchnęła w jej stronę zbiór legend. Naderwana okładka, zapach kurzu i
szelst kruchego papieru - wszystko to razem świadczyło o sędziwym wieku
książki. Jane niechętnie popatrzyła na wyblakłe słowa.

„... bo jeśli w wigilię świętej Agnieszki pójdziesz spać bez kolacji i nie będziesz
się oglądała za siebie, to przyśni ci się twój przyszły mąż...”

Nagie gałęzie dębu za oknem niecierpliwie stukwały w szybę. Jane podskoczyła. Sophia dalej pochylała się nad książką, a jej złociste loki lśniły w blasku świec.

- Widzisz! Dziś jest wigilia świętej Agnieszki. Och, Jane, nie skazuj mnie na to, żebym musiała zrobić to sama!

Jane przewidywała wszelkie trudności. Jak można zamknąć za sobą drzwi sypialni, nie oglądając się za siebie? Jak wytłumaczyć sobie sen, w którym pojawia się nie jeden mężczyzna, tylko dwóch czy nawet trzech? Już miała przedstawić Sophii swoje wątpliwości, kiedy przyjaciółka odezwała się ponownie.

- Molly, druga pokojówka, przysięga, że to prawda, Jane! Dwa razy robiła próbę i za każdym razem śnił jej się Gregory Pullman, kowal, więc chyba wie, co mówi.

Jane nie widziała w tym żadnej logiki. Ostatnim razem, kiedy widziała Pullmana, usiłował, właśnie za stajniami przewrócić jakąś dziewczynę, i to wcale nie była Molly.

- A czy Gregory już wie, że ma się ożenić z Molly? - za pytała przytomnie. - Może upłynąć ze dwadzieścia lat, zanim to do niego dotrze, a przez ten czas Molly zostanie zgorzkniałą starą panną. I czy Molly to nie ta sama dziewczyna, która w majowy ranek myła twarz rosą i przysięgała, że będzie od tego piękna, a potem dostała krowiej ospy...?

Sophia machnęła tylko białą dłonią.

- Och, Jane, nie przesadzaj, naprawdę nic ci się nie stanie, jeśli raz nie zjesz kolacji. - Ogarnęła spojrzeniem bardziej niż pełną postać przyjaciółki. - I naprawdę może ci się przy śnić jakiś nieziemsko przystojny mężczyzna! Proszę cię, proszę...

W brzuchu Jane zaburczało deprymująco głośno. Głodzić

się dobrowolnie, nie, to zupełny nonsens, ale Sophia naprawdę robiła wrażenie nieszczęśliwej.

- No już dobrze, dobrze - poddała się niechętnie, myśląc jednocześnie, że przecież Sophia i tak nigdy się nie dowie, czy na przykład Jane nie wstała w nocy w poszukiwaniu ja kiegoś jedzenia.

Trzy godziny później Sophia wróciła do Penistone Manor, a Jane poszła do łóżka, ogromnie się nad sobą użalając i pamiętając, żeby się nie obejrzyć za siebie.

- To nie jest w porządku, proszę wielmożnej pani - narzekła kucharka do lady Verey. - Piętnastoletnia dziewczynka, która rośnie, nie powinna odmawiać jedzenia. Ona nam zupełnie zmarnieje!

- Ale Jane rośnie nie tylko wzwyż - zauważył bezlitośnie, choć nie bez racji, jej starszy brat Simon. - Ma zapas tłuszczu na dłuższy czas.

W środku nocy Jane obudziły dotkliwe skurcze głodowe. Zerwał się wiatr, który w ciemnościach miotał kroplami deszczu o szyby. Zawiedziona Jane nie mogła sobie przypomnieć, żeby jej się cokolwiek śniło, chociaż się dokładnie zastosowała do instrukcji. Ale może przy pełnym żołądku będzie lepiej...

Wstała z łóżka, drżąc w cieniutkiej bawełnianej koszuli. Mało brakowało, a wróciłaby do ciepłutkiego puchowego gniazdka, które właśnie opuściła. Drzwi zaskrzypiały, kiedy je zaczęła otwierać. Przed nią, aż do schodów, ciągnął się ciemny korytarz. Jane nigdy nie była dzieckiem przesadnym, ale nagle stary dom w Ambergate, ze swoimi ciemnymi ką-

tami, wydał jej się obcy i nieprzyjazny. Zawahała się. Już miała pchnąć drzwi, mobilizując całą swoją odwagę, kiedy u szczytu schodów usłyszała kroki.

Zza rogu wyłaniał się właśnie mężczyzna. Cofnęła się gwałtownie. Drzwi były zaledwie uchylone, ale przez wąską szparę dostrzegła go wyraźnie, ponieważ trzymał świecę. Nie miała wątpliwości, że nigdy wcześniej go nie widziała, w przeciwnym razie z pewnością by go zapamiętała. Nie mógł być służącym i Jane przez chwilę nawet się zastanawiała, czy nie jest zjawą, wytworem chorej wyobraźni, umysłu osłabionego brakiem jedzenia.

Odniosła wrażenie, że jest bardzo wysoki i ubrany ze swobodą, jaka przystoi tylko mężczyźnie. Krawat miał rozluźniony, a biała rozpięta u góry koszula odsłaniała smagłą, silną szyję. Pantalony obciskały muskularne uda, a w wypolerowanych do połysku wysokich butach odbijał się płomień świecy. Jane wstrzymała oddech, patrząc na niego zafascynowana. Był bardzo ciemnej karnacji, a czarne, jedwabiste włosy lśniły w słabym świetle. Luźny kosmyk opadł mu na czoło i tajemniczy gość odgarnął go niecierpliwym ruchem ręki. Groźnie ściągnięte brwi nadawały jego twarzy jeszcze bardziej surowy wyraz. Spojrzenie zamyślonych piwnych oczu spoczęło na drzwiach Jane i dziewczyna cofnęła się jeszcze głębiej w cień, nie mając wątpliwości, że została dostrzeżona. Przez dłuższą chwilę nieznajomy jak gdyby się wahał, patrząc wprost na jej drzwi, po czym zniknął. Jedynym odgłosem, jaki usłyszała Jane, było ciche trzaśnięcie drzwi gdzieś dalej w korytarzu. W jakieś dziesięć minut później stwierdziła, że znów się może poruszać, wobec tego dała nurka do łóżka, ze strachu całkowicie zapominając

o mękach głodu. Niestety jednak długo nie mogła zasnąć, przekonana, że mężczyzna, którego zobaczyła, jest jakimś intruzem albo duchem. Nie mogła przy tym zdobyć się na to, żeby wyjść z pokoju i szukać pomocy. Wreszcie zapadła w niespokojny sen i śniła o ciemnym nieznajomym, który skradał się korytarzami Ambergate.

Obudziwszy się nazajutrz rano, stwierdziła, że odzyskała zarówno przytomność umysłu, jak i apetyt.

- Dlaczego mama mi nie powiedziała, że mamy gościa?

- zapytała przy śniadaniu, nakładając sobie dwie porcje *ked-geree* - indyjskiego dania podawanego na gorąco, składającego się z ryżu gotowanego z grochem, cebulą, jajkami, masłem i przyprawami. - W nocy zobaczyłam na korytarzu mężczyznę i mało się nie przewróciłam o własną koszulę!

Lady Verey wymieniła spojrzenia z mężem, który odchrząknął, ale nie odezwał się słowem.

- Nie mamy żadnych gości, kochanie - powiedziała, uśmiechając się do córki ze słodyczą. - Musiało ci się to przyśnić. A jeśli będziesz przed spaniem jadła ser...

- Nie jadłam wczoraj kolacji i nic mi się nie przyśniło!

- oświadczyła Jane z mocą, ale i tak wiedziała, że jest na straconej pozycji. Na twarzy matki gościł łagodny, ale stanowczy uśmiech, który świadczył o tym, że temat jest wyčerpany. Ojciec głośno szeleścił gazetą.

- Wiecznie z nosem w książce - powiedział krótko. -

A to jest błąd. Nie trzeba jej pozwalać tyle czytać. Tego wy maga zdrowy rozsądek.

Lady Verey obróciła słodko uśmiechniętą twarz w stronę małżonka.

- Masz rację, kochanie. Czy wybierasz się dziś do Penistone? Może Jane mogłaby pojechać z tobą? Mam pewną sprawę do pani Marchmont...

Mąż i żona ponownie wymienili znaczące spojrzenia.

- Simon jest już na koniu - podjęła z zadowoleniem lady Verey. - Sądzę, że nie będzie go wiele godzin...

W ten sposób ani Jane, ani jej brat nie widzieli samotnego jeźdźca, który w jakieś dwie godziny później jechał aleją lipową. I chociaż służba szeptała o dziwnym gościu, to jednak nikt pod groźbą utraty pracy nie sprzeniewierzył się woli lady Verey i nie powiedział o nim ani Jane, ani Simonowi.

- Co ci się śniło, Jane? - zapytała Sophia, kiedy lord Verey przywiózł ją dwukółką. Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: - Bo ja miałam bardzo dziwny sen: śnił mi się młody mężczyzna, ale jaki przystojny... blondyn o niebieskich oczach, uroczy! Oświadczam... - złożyła dłonie - że musi w przyszłości zostać moim mężem, i już!

- Nic mi się nie śniło - odparła bardzo stanowczo Jane. - Przez całą noc nie miałam żadnych snów. - Zdecydowanie odsunęła od siebie wizerunek mężczyzny na korytarzu. Była przekonana, że nie spała, kiedy przechodził obok jej drzwi, a to, że śniła o nim później, nie miało najmniejszego znaczenia.

Na twarzy Sophii odmalowało się rozczarowanie.

- Nie miałaś żadnych snów? To straszne, Jane! To znaczy, że zostaniesz starą panną.

Jane wzruszyła pulchnymi ramionami. Jakże jej matka ubolewała nad tą manierą!

- Wy tłumaczono mi, że będzie lepiej dla mnie, jeśli nie

wyjść za mąż - powiedziała z ustami pełnymi ciasta z dżemem. - Że nie nadaje się na uległą żonę dla nikogo.

Sophia już miała zaprzeczyć, jak przystało na lojalną przyjaciółkę, ale coś ją powstrzymało. Bez wątplenia Jane była najlepszą z przyjaciółek, ale jednocześnie różniła się od wszystkich innych dziewcząt...

- Może spotkasz człowieka, który nie będzie przywiązywał wagi do twoich dziwnych pomysłów... - Urwała, rumieniąc się lekko. - Och, Jane, jestem przekonana, że znajdziesz odpowiedni dla siebie mężczyznę!

Jane nawet nie zadała sobie trudu, żeby podjąć rozmowę. Zrozumiała, że jeśli będzie podkreślała swoją odmienność, to tylko postawi Sophie w niezręcznej sytuacji. A zresztą następne słowa przyjaciółki zamknęły wszelką na ten temat dyskusję.

- Och, Jane - powiedziała smutno Sophia. - Ty musisz wyjść za mąż! Musisz! Bo co byś innego robiła?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cztery lata później

Była już noc, kiedy wreszcie spóźnialski konkurent panny Jane Verey przybył do Ambergate. Godzinami czekano na niego z kolacją, aż wreszcie niepocieszona kucharka zaczęła narzekać, że sos *bearnaise* skwaśniał, a potrawka z bażanta wyschła i przywarła do półmiska. Wzdychając i spoglądając na zegar, lady Verey rada nierada kazała podać do stołu i wraz z córką zaczęły jeść wystawne danie, przygotowane specjalnie dla gościa.

Po kolacji przez kolejną godzinę siedziały w milczeniu, przerwany jedynie przez pełen ubolewania okrzyk lady Verey:

- Ale dlaczego on nie przyszedł?! Jestem przekonana, że powiedział: „piętnastego"! Może miał w drodze wypadek, może mu się coś stało...

Jane, która zajęła się szyciem, nie odezwała się ani słowem. Bo i co tu było mówić. Po dwóch miesiącach mętnych obietnic i przesuwania terminów lord Philip Delahaye ciągle jeszcze, wbrew umowie, nie miał czasu poznać osobiście swojej wybranki. Był rzeczywiście nieskorym adoratorem, co zupełnie nie pasowało do informacji, jaką uzyskała Jane,

że ich małżeństwo, pobłogosławione przez jej świętej pamięci ojca, było najgorętszym pragnieniem lorda Philipa.

Wreszcie, kiedy ziewanie Jane stało się zbyt ostentacyjne, by go nie zauważyć, a zegar wybił dwunastą, lady Verey pogłaskała córkę po policzku.

- Idź się już położyć, Jane. Ja jeszcze poczekam, może lord Philip jednak przyjedzie. Wiem, że takie rozczarowania są przykre, ale może ranek przyniesie lepsze wieści.

Jane ucałowała matkę i poszła się położyć. Nie uważała za stosowne wyjaśniać, że to rozczarowanie wcale nie było dla niej takie znów dotkliwe. Przekonano ją, że powinna przyjąć awanse lorda Philipa, ponieważ wymagała tego ich kiepska kondycja finansowa, a ponadto ostatnią wolą lorda Vereya było, by jego córka miała zabezpieczoną przyszłość. Brat Jane, Simon, obecny lord Verey, walczył właśnie u boku Wellingtona i od roku nie dawał znaku życia. Ambergate szybko popadało w ruinę, a służba trwała przy nich jedynie z lojalności. Wszystko to razem tworzyło dość smutną rzeczywistość.

To nie dlatego, żebym nie chciała wyjść za mąż - tłumaczyła się przed sobą Jane, idąc na górę ze świecą w ręku - wiem przecież, że nie mam wyboru. Tylko że ja sobie wyobrażałam... miałam nadzieję... że będzie zupełnie inaczej...

Pomyślała o swojej przyjaciółce, obdarzonej kurzym mózdzkiem Sophii Marchment, i nie mogła powstrzymać uśmiechu. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Sophia wmówiła sobie, że się zakochała ni mniej, ni więcej, tylko aż w czterech mężczyznach, uświadomiła sobie jednak, że żaden z nich nawet nie przypominał młodego człowieka, który przyśnił jej się dawno temu w wigilię świętej Agnieszki...

Jane nie miała żadnych złudzeń, że jej małżeństwo jest tylko sprawą interesu, umową zawartą z rozsądku, a mimo to w pewnym stopniu pragnęła go nawet, jeśli nie z pobudek romantycznych, to przynajmniej w nadziei na wzajemny szacunek i zrozumienie.

Gdyby mi się chociaż spodobał, myślała, to może nie byłoby tak źle. Mam nadzieję, że mi się spodoba, bo mamie bardzo zależy na tym małżeństwie...

Przez chwilę stała przed lustrem w swojej sypialni, zastanawiając się, czy aby ona mu przypadnie do gustu. Tak była przyzwyczajona do swojej twarzy, że nawet nie dostrzegła jej uroku. Zdecydowała, że jest podobna do kota, chociaż wyraźnie szczuplejszego od parszywego kocura, który patrolował ich stajnie. Jej buzia straciła cały swój dziecięcy tłusz-czyk i przypominała teraz trójkąt, zwężający się od szeroko rozstawionych orzechowych oczu do ostro zakończonej małej bródki. Matka mówiła jej zawsze, że ma nos Vereyów, delikatny i nieduży, który na twarzach męskich przodków Jane słabo się prezentował, ale dla niej - z uwagi na proporcje - wydawał się znacznie odpowiedniejszy. Całość okalały bardzo gęste, czarne jak noc włosy.

Jane westchnęła i zaczęła się rozbierać. Nie widziała w sobie powodów do zachwyty i naturalnie nie doceniała wielkiego uroku, jakim była mieszanina niewinności i powabu. Spiesznie nałożyła nocną bawełnianą koszulę, ponieważ wiosenne wieczory były jeszcze chłodne, a w Ambergate panowały przeciągi. Jej najlepsza sukienka z nieco zblakłego jedwabiu leżała starannie złożona, robiąc wrażenie porzuconej jak sama Jane.

Mniej więcej pięć minut potem jak znalazła się w łóżku,

rozległo się w nocnej ciszy donośne stukanie do drzwi frontowych. Ktoś załomotał raz, a potem jeszcze kilka razy z irytującą natarczywością.

- Do kaduka! - wykrzyknął głośno nocny gość. - Czy cały dom już śpi? Hej tam, wstawać!

Jane wyślizgnęła się z łóżka i na palcach podeszła do obszernego podestu schodów. Zobaczyła, jak kamerdyner Bramson szybko narzuca płaszcz i spieszy do drzwi. Niemal było widać, jak stary drży z wrażenia wywołanego nagłą wizytą i hałasem, a Jane modliła się, żeby tylko lord Philip przestał już stukać. Od nieustannego łomotu pękała jej głowa.

Ważnie kiedy Bramson otwierał drzwi, nadbiegła z salonu lady Verey. Jane nie wątpiła, że matka musiała się zdrzemnąć przed kominkiem, ponieważ włosy miała w nieładzie, a na policzku czerwony ślad, odcisnięty w miejscu, gdzie twarz dotykała oparcia krzesła. Nie miała czasu doprowadzić się do porządku i teraz nerwowo próbowała wygładzić sukienkę. Serce bolało Jane, kiedy widziała wyraz troski na twarzy matki, której tak bardzo zależało na tym, żeby wizyta okazała się sukcesem.

- Co to ma do diabła znaczyć - żeby mnie trzymać tyle czasu na zimnie! - rozległ się męski, pełen złości głos, kiedy lord Philip przekroczył próg domu. - A ty - wskażał na Bramsona - dopilnuj moich koni! Są wykończone przez te wasze podłe drogi. A ty... - zwrócił się do lady Verey - bądź uprzejma zaprowadzić mnie do swojej pani.

Jane ze zgrozą stwierdziła, że lord Philip wziął jej matkę za gospodynię. Lady Verey jednak, dzięki dobremu wycho-

waniu, jakie - w przeciwieństwie do swego gościa - odebrała, sprostowała sytuacji.

Skłoniła się lekko i powiedziała:

- Witam pana. Jestem Clarissa Verey. Przykro mi, że miał pan taką złą podróż. Czy przed pójściem na spoczynek zechce pan się czegoś napić?

Jane czekała na przeprosiny lorda Philipa z powodu tak późnego przybycia, niegrzecznego zachowania albo jednego i drugiego, ale gość spojrzał tylko wyniośle, jakby nie mógł uwierzyć, że to straszdyło, które się do niego zwracało, mogło być panią tego domu. Skłonił się niedbale.

- Witam - powiedział. - Owszem, nie przeczę, że przydałaby się jakaś kolacja.

- Służba niestety już śpi - odparła lady Verey, rumieniąc się pod krytycznym spojrzeniem lorda Philipa. - Mam nadzieję, że wasza lordowska mość zgodzi się na zimną kolację w pokoju...

Lord Philip westchnął ciężko.

- No cóż, niech będzie. Pani wybaczy, ale dziwnych go dzin się tu na wsi trzymacie. Gdyby to był Londyn, zasiadali byśmy właśnie do drugiego dania. Dziwne, naprawdę dziwne!

Widząc, że matka prowadzi gościa w stronę schodów, Jane cofnęła się głębiej w cień, zdążyła jednak zauważyć pogardliwe spojrzenie, jakim lord Philip obrzucił stare meble i wytarty dywan. Wzbierała w niej furia. Widziała, że matka jest zarówno urażona, jak i zdenerwowana, ale usiłuje obsypywać gościa uprzejmościami.

Lorda Philipa najwyraźniej jednak interesował jedynie

własny bagaż, bo odwrócił się, by przez ramię poinstruować kamerdynera:

- Niech moje bagaże wniosą bardzo ostrożnie! Kiedy ostatnim razem byłem na wsi, jakiś tuman zniszczył mi krawaty przez nieodpowiednie obchodzenie się z nimi!

Przez chwilę Jane z satysfakcją wyobrażała sobie, jak sko-puje ze schodów bagaże lorda Philipa, widząc jednak, że matka prowadzi gościa korytarzem, dała nurka do pokoju. Skulona pod kołdrą, z kolanami podciągniętymi pod brodę, zastanawiała się nad tym, co zobaczyła i usłyszała. Jak ten arogancki gbur, który w ciągu zaledwie kilku minut potrafił okazać tyle pogardy dla wiejskich manier i stylu życia, może zostać jej mężem? Jak śmie w ten sposób upokarzać panią domu? Nie sposób tolerować takiego chamstwa i lekceważenia!

Jej rozmyślenia przerwał brzęk niesionej na tacy zastawy. Lady Verey szybko poszła do kuchni po kolację i teraz ktoś szedł korytarzem, niosąc ciężką tacę. Jane znów wyskoczyła z łóżka, uchyliła drzwi i przytknęła ucho do szpary. Usłyszała, jak drzwi do zielonej sypialni się otwierają i jak lord Philip mówi cedząc słowa, zupełnie inaczej niż poprzednio.

- Co powiesz, śliczotko? Co za szczęśliwy przypadek cię do mnie przysłał?

Jane zasłoniła ręką usta. Gość nie mógł się przecież w ten sposób zwracać do lady Verey! Szybko uświadomiła sobie, że matka musiała go zostawić na łasce służby i że służy mu najładniejsza z pokojówek, Betsey. Betsey chichotała.

- Przyniosłam panu kolację, sir! - rzuciła śmiało dziewczyna, zupełnie jakby flirtowała z najmłodszym lokajem czy ze stajennym Jackiem.

Rozległ się brzęk i znów chichot.

- Och, sir! Przecież pan tu przyjechał w konkury. Co na to powie panna Verey?

- Kicham na pannę Verey! - usłyszała Jane. - Co mnie ona obchodzi? I kicham na ten nędzny posiłek! O, tu mam coś znacznie lepszego! Jest co wziąć do ręki... no, chodź tu do mnie i daj mi buziaka...

Drzwi zamknęły się gwałtownie. Jane, czerwona ze wstydu i wściekłości, nie bacząc na hałas, również zatrzaskała drzwi swojej sypialni. Jak on śmie! Najpierw przyjeżdża tak późno, że nie zdąża na kolację, potem okazuje lekceważenie lady Verey i pogardę dla jej domu i wreszcie, ledwie przekroczył próg, już uwodzi jedną z pokojówek.

Jane nie miała wątpliwości, że po tym wszystkim nie przyjmie lorda Philipa, nawet gdyby ją błagał na kolanach.

Może... może w tej sytuacji matka nie będzie nalegała na ich małżeństwo. Jane dygotała w przeciągu. Gdyby tylko miała pewność... Ale ich sytuacja była bardzo trudna... Podczas nieobecności Simona nie miały nikogo, kto by ich bronił. Majątek wymagał silnej ręki i ciężkiej pracy. Cały spadek po lordzie Vereyu przypadł Simonowi; dla nich zostało tylko niewielkie wdowie dożywocie matki i skromne wiano Jane. W tej sytuacji wydawało się nieuniknione, że lady Verey będzie chciała wydać córkę za męża dobrze i szybko, tak szybko, że gotowa była przejść do porządku nad skandalicznymi manierami lorda Philipa.

W korytarzu rozległ się hałas, kiedy gość wyrzucał zarówno tacę z kolacją, jak i pochlipującą Betsey, która najwyraźniej nie dostała spodziewanej nagrody za swoje usługi. Jane zacisnęła usta, słysząc, jak szlochająca dziewczyna

zbiega po schodach. Tego już było za wiele. Wzięła świecę i przez boczne drzwi wymknęła się do dawnego pokoju dzieciennego.

Było tu zimno i ciemno, a w szybach odbijał się migotliwy płomyk świecy. Dygocząc z zimna, podeszła na palcach do wielkiego, wciśniętego w róg pokoju kufra, nie używanego od czasu, kiedy dzieci Vereyów wyrosły z zabaw w przebieranie się. Otworzyła wieko. Tak, pamięta... na pewno musi tam być... suknia, w którą ubierała się guwernantka Jane, panna Tring, kiedy miała być złą - i tłustą - macochą Kopciuszka. Kopciuszek był wspaniałą bohaterką, chociaż Jane zawsze wolała rolę jednej ze złych sióstr, bo wydawała jej się ciekawsza. Suknia panny Tring idealnie nadawała się do jej celów. Miała wszyte od środka wielkie poduszki, które sprawiały, że przebrana osoba wyglądała jak odrażająca grubaska. Małe poduszeczki służyły do wypchania policzków, a brązowa kredka do robienia piegów. Wszystko to razem Jane spiesznie zebrała w tobołek i zaniósła do swojego pokoju. Do rana musiała wykonać wielką pracę.

Lorda Philipa Delahaye obudziło o nieprzyzwoicie wczesnej porze pianie koguta pod oknem. Jęknął i obrócił się na drugi bok, zakrywając uszy poduszką, ale natrętne pianie nie cichło, przesywając na wylot jego mózg. Przypomniawszy sobie mgliście ładniutką pokojówkę i wielką budę wina... Z jękiem przewrócił się z kolei na plecy i skrzywił, kiedy ktoś nagle rozsunął zasłony łóżka i w oczy uderzyło go ostre światło dzienne.

- Dzień dobry, milordzie! - Dźwięczny głos wypowiedział te słowa tuż przy jego uchu. - Dostyc leniuchowania! Mama powiedziała, że mam pana nie budzić, ale koniecznie

musi pan wstać i towarzyszyć mi w konnej przejażdżce jeszcze przed śniadaniem!

Lord Philip powoli otworzył oczy. Przed nim stała zjawa z jak najkoszmarniejszych snów. Pełnym niedowierzania spojrzeniem obrzucił czepek nasadzony na czarne loki, przeraźliwie tłustą postać i piegowatą twarz. Gapił się osłupiały.

- Kim jesteś, do kaduka?!
- Pańską narzeczoną, milordzie!

Zjawa poruszyła się nieznacznie, przysłaniając sobą poranne słońce, i cicho zachichotała. Lord Philip widział nad sobą tylko ciemną, monstrualną postać. Cofnął się i wtulił w poduszki.

- Proszę... proszę zostawić mnie w spokoju - wyjąkał.
- Co pani mama sobie myśli, żeby pozwalać córce składać tak wczesne wizyty w pokoju mężczyzny...
- Już po szóstej - skarciła go narzeczona, grożąc palcem.
- Co za karygodne lenistwo! O siódmej śniadanie, czeka nas dojenie krów i karmienie świń. To jest gospodarstwo rolne i wszyscy mamy pełne ręce roboty!

Lord Philip drgnął. Myśl o śniadaniu wywołała atak mdłości, które wzmógł jeszcze widok wytrząsającej się nad nim i chichoczącej narzeczonej. Rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, co o panie Jane Verey mówił mu starszy brat. Otóż Alex próbował go przekonać, że tylko przez to małżeństwo może wyjść z długów i liczyć na zwiększenie apanaży. Philip, wprawdzie z oporami, ale doszedł do wniosku, że małżonka, zwłaszcza powolna i urodziwa, nie musi go przecież w niczym ograniczać. A poza tym i tak najważniejsze są pieniądze.

Wzdrygnął się. Wsi w miarę możliwości unikał i nawet jej sportowe uroki do niego nie przemawiały. Był stworzony do życia w mieście, z jego stołami do gier hazardowych i klubami nocnymi. Wiejskie obyczaje wywoływały w nim dreszcz obrzydzenia. Nic dziwnego, że Alex nie wchodził w szczegóły, opowiadając o sytuacji Vereyów! Na pewno nie byli ludźmi z pierwszych stron gazet i Philip nie wiedział o nich nic, dopóki nie usłyszał nazwiska panny Verey jako swojej przyszłej żony. Teraz rozumiał, dlaczego. Biedni jak mysz kościelna... pracują na farmie, żeby związać koniec z końcem... nędzny dom, niedostatek jedzenia, z trudem nadające się do picia wino... Najwyraźniej tak jak i on potrzebowali pieniędzy Aleksa.

A teraz panna Verey kręciła się koło jego łóżka, poprawiając mu poduszki, wyglądając prześcieradła i nieustannie paplając, aż pękała mu głowa. Philip intensywnie myślał o pieniądzach brata i o czekających go urokach życia, kiedy Alex pozwoli mu nieco więcej uszczknąć z rodzinnych zasobów. No cóż, żonę można uczynić przystojną, ale Philip wzdrygnął się na samą myśl o tym, że miałby z nią iść do jednego z eleganckich domów mody na Bond Street w nadziei, że dokonają tam cudu, i znosić okrutne szyderstwa. W jego otoczeniu liczyły się bowiem tylko duma i wygląd. Niewątpliwie stanie się pośmiewiskiem. Zamknął oczy i starał się skoncentrować na pieniądzach, ale paplanina panny Verey go rozpraszała.

- Czy pani może łaskawie zamilknąć?! - warknął. - Nie chcę od pani nic więcej poza tym, żeby pani wezwała mojego służącego. I to natychmiast! - Wiedział, że o szóstej rano Gibson, który, jak jego pan, lubił późno wstawać, będzie

wściekły. Nie zamierzał sobie tym jednak zawracać głowy. Musi jak najprędzej uciekać z Ambergate!

Lady Verey, wyczerpana przeżyciami poprzedniego dnia, obudziła się dopiero o dziesiątej. Jane zabroniła służbie budzić matkę wcześniej. Powitał ją widok córki, siedzącej skromnie w nogach jej łóżka, z czystą bladą twarzą i świeżo umyтыми wijącymi się czarnymi włosami.

- Lord Philip! - wykrzyknęła lady Verey, siadając na łóżku. - Czy dopilnowałaś, Jane, żeby miał wszystko, co potrzeba? To człowiek bardzo wymagający i nie chciałabym, żeby był z nas niezadowolony...

Jane podeszła bliżej i poklepała matkę po ręce.

- Niech mamusia się nie martwi. Widziałam się rano z lordem Philipem. Poszłam do jego pokoju, żeby wszystkie go osobiście dopilnować, ale niestety, powiedział mi, że musi spieszenie wracać do Londynu. Nieoczekiwanie wypadło mu coś bardzo ważnego.

Lady Verey w geście zgrozy położyła dłoń na ustach.

- Chcesz powiedzieć, Jane, że on już wyjechał?

Jane z żalem skinęła głową.

- Tak mi przykro, proszę mamy. Przesyła mamusi pozdrowienia i przeprosiny.

- Nic nie mówił o powrocie? - zapytała lady Verey, łapiąc się za okrytą czepkiem głowę. - Z pewnością niedługo znów do nas przyjedzie...?

Jane potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że nic takiego nie powiedział, a ja nie chciałam naciskać...

- Oczywiście, że nie. - Lady Verey uśmiechnęła się do córki z roztargnieniem.

- Naturalna delikatność nie pozwala

pytać... - Urwała z goryczą. - Och, jakież to niefortunne! A co z zaręczynami? Nie mówił o tym rano? No nie... rozumiem, że nie miał czasu... Może powinnam do niego napisać... Ale gdyby nie miał ochoty tu wrócić...

Jane wstała i zaczęła bardzo starannie strzepywać ze spódnicy nie istniejące pyłki.

- *Uważam, proszę* mamy, że najlepiej zostawić sprawy ich naturalnemu biegowi. Jestem przekonana, że lord Philip wróci do Ambergate, jeśli będzie chciał, i że nie powinnyśmy mu się narzucać. A co do zaręczyn... no cóż... - Jane starała się wyglądać na zawiedzioną. - Musimy dzielnie znieść to rozczarowanie.

- Masz rację, dziecko! - Lady Verey z wdziękiem narzuciła peniuar i wstała z łóżka. - Rozsądna z ciebie dziewczyna, Jane. Powiedz, podobał ci się lord Philip?

- Nie bardzo miałam czas, żeby sobie wyrobić zdanie -odparła ostrożnie Jane. - Jego lordowska mość jest szalenie przystojny i modny...

Wargi lady Verey utworzyły cienką linię i jej córka przez chwilę myślała, że matka zrobi jakąś krytyczną uwagę, ale najwyraźniej wrodzona delikatność zatryumfowała nad uczuciami.

- No cóż, wszystko to razem jest bardzo dziwne! Nie wspomniał nawet, jakiej natury były te sprawy, które go tak nagle wezwały? Nie, ależ oczywiście, że nie. Dlaczegoż by miał się tłumaczyć? Ale może jeszcze przyjedzie w dogodnym dla siebie czasie...

- Może, może... - zgodziła się z nią Jane.

Trzy tygodnie później wrócił do domu Simon Verey.

- Czy to nie romantyczne? - wykrzyknęła Sophia, kiedy przyjaciółki siedziały razem w salonie Marchmontów. - Twój od dawna zaginiony brat wstaje z martwych i wraca, by ratować wasze zagrożone włości. Musisz być w siódmym niebie!

Jane z trudem powstrzymywała śmiech. Wzloty wyobraźni Sophii wydawały się równie ekstrawaganckie jak kolorowe. Ale Sophia była najwspanialszą z przyjaciółek.

- Jestem bardzo szczęśliwa, że Simon wrócił - przyznała Jane. - Zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy. Myśl o tym, że mógł zginąć, dręczyła mnie dzień i noc. Ogromnie się zmienił, w czym nie ma nic dziwnego. - Jane zmarszczyła brwi.

- Wojna go zmieniła. Wydaje się starszy. Nie wiekiem, ale stosunkiem do życia i doświadczeniem.

Sophia spojrzała współczująco i wzięła Jane za rękę ciepłym gestem.

- Och, Jane! Czy on jest bardzo smutny?

- No, może niezupełnie... - Jane uśmiechnęła się blado - w każdym razie jest poważny, to już nie ten urwis co dawniej. Mówi, że chce się ustabilizować. Wyobrażasz sobie? Oświadczył, że jedzie do Londynu poszukać sobie odpowiedniej żony!

Sophia zarumieniała się z lekka. Od dziesięciu lat podkochiwała się w Simonie Vereyu.

Jane zorientowała się, że to, co powiedziała, było nietaktowne, i dodała szybko:

- W każdym razie kiedy Simon wyjawiał swoje plany, ma ma zdecydowała, że wszyscy pojedziemy do Londynu na sezon. Ciotka Augusta ma dom przy Portman Square, do którego nas zaprasza, i chociaż adres nie jest może najlepszy, to

dzielnica wydaje się zupełnie przyzwoita. Mama uważa, że jeśli nie będziemy szastać pieniędzmi, to możemy sobie na to pozwolić.

- Londyn! - westchnęła Sophia. Rozejrzała się po salo nie, z jego spłowiałymi aksamitami i perkalami. - Sezon! Eleganckie towarzystwo! Jesteś chyba najszczęśliwszą istotą na świecie!

Jane, uświadomiwszy sobie, jak mało jej na tym szczęściu zależy, uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Szczerze mówiąc, wcale nie jestem tym zachwycona, wiesz, że wolę wieś, i pewnie uważasz mnie za okropnie głupią. .. Ale przede wszystkim chciałam cię zapytać, czy byś się z nami nie wybrała. Mama uznała, że mnie byłoby z tobą przyjemniej, a ja bym się bardzo cieszyła...

Kiedy już Sophia przestała piszczeć z radości, dwa razy uściskała przyjaciółkę i wybiegła na korytarz szukać rodziców, Jane oparła się wygodnie w fotelu i westchnęła.

Mówiła prawdę, że cieszy się z odzyskania brata, ale jego plany ją zaskoczyły. Myślała, że po trudach wojny marzy mu się tylko spokój i odpoczynek, a tymczasem on wolał stolicę z rozrywkami i towarzystwem. Entuzjastyczna zgoda lady Verey doprowadziła Jane do rozpaczki. Nie przyszło jej do głowy, że kiedykolwiek będzie musiała jechać do Londynu.

Zdawała sobie sprawę, że matka chce w ten sposób przypomnieć o niej lordowi Philipowi, ratując zagrożony mariaż córki, a jeśli by się nie udało, liczy, że Jane zwróci na siebie uwagę innego bogatego mężczyzny. Powrót Simona odsunął na jakiś czas widmo niedostatku, ale Jane i tak nie miała innego wyjścia, jak tylko wyjść za mąż.

Przecież nie będzie bez końca siedziała w skromnej kieszeni brata.

Londyn. Wobec sposobu, w jaki pozbyła się lorda Philipa, wyjazd do stolicy wydawał się szczególnie niezręczny. Jane zmarszczyła czoło. Miała wyrzuty sumienia. Nie z powodu tego, że swoim wyglądem i zachowaniem go oszukała, ale dlatego że rozmawiając z matką na ten temat, musiała omijać pewne fakty.

Ze zrozumiałych względów nie marzyła o ponownym z nim spotkaniu, i była zła na siebie, że tego nie przewidziała. Byłoby bardzo trudno wymyślić jakieś usprawiedliwienie jej nagłej przemiany.

Naturalnie może nie spotkać w Londynie lorda Philipa, ale gdyby do tego doszło, znalazłaby się w bardzo niezręcznej sytuacji. Znów westchnęła ciężko. Na szczęście nikt poza nią nie znał niewygodnej prawdy o jego drastycznie skróconej wizycie w Ambergate. Jane nie była może specjalnie dumna z tego epizodu, w każdym razie gdyby miała trochę więcej czasu, z pewnością w wiarygodny sposób wytłumaczyłaby swoje zachowanie.

Stróż nocny powitał lorda informacją, że jest za dziesięć druga i że pogoda dopisała. Lokaj w domu przy Berkeley Square dodał do tego wiadomość, że brat oczekuje go w bibliotece. Lord Philip Delahaye podziękował obu, ale żadnemu nie dał napiwku. Lokaj patrzył, jak wchodzi do pokoju, i nieznacznie potrząsnął głową na widok wyraźnie niepewnego kroku jego lordowskiej mości.

Bibliotekę oświetlał blask płonącego na kominku ognia

i tylko jedna świeca. Lord Philip zatrzymał się gwałtownie zaraz za progiem i zapytał ostrożnie:

- Alex?
- Siadaj, Philipie.

Alexander, książę Delahaye, odezwał się z głębi fotela stojącego przed kominkiem. Odłożył książkę i wstał.

- Drinka, braciszku? A może już dosyć wypiełeś jak na jeden wieczór? - W tonie Aleksa wyraźna była lekka nuta szyderstwa, co, jak zwykle, wywołało u Philipa gwałtowną reakcję.

- Do diabła, Alex, nie ma jeszcze drugiej! Dotarłem zaledwie do Watiers.
- Nie zdążyłeś otworzyć trzeciej butelki, co? Przepraszam cię bardzo, że cię tak szybko znalazłem - odparł sucho Alex. - Ale niestety jest pewna bardzo pilna sprawa, którą chciałem... którą chcę z tobą omówić.

Zapadło milczenie. Philip, nadąsany, patrzył, jak brat podchodzi do stołu i nalewa dwie szklaneczki brandy. Wziął jedną, podziękował z nutą urazy w głosie i usiadł. W przeciwieństwie do swobodnej elegancji księcia, Philip miał na sobie wieczorowy strój typowego dandysa. Raczej wyczuł, niż zobaczył chmurne, pełne namysłu spojrzenie brata. Zesztywniał. Jak to może być - zastanawiał się - że Alex, mimo niedbałego stroju, wygląda zawsze elegancko, a on spędza godziny przed lustrem i nigdy nie jest zadowolony z efektu?

Żeby sobie nieco poprawić samopoczucie, rzucił z lekką pogardą:

- Wyglądasz niezbyt schludnie, Alex. Czyżbyś przyjmował jakąś panią?
- Nie - odparł obojętnie książę. - Czekałem na ciebie, aż

przyjdiesz i wytłumaczysz mi, co robisz w mieście, zamiast w Wiltshire starać się o rękę panny Verey.

Lord Philip pociągnął brandy; czuł, że jest mu to bardzo potrzebne.

- Owszem, byłem w Wiltshire...

- Wiem o tym. Wyjechałeś stamtąd już nazajutrz. Można wiedzieć, dlaczego?

Nie pozostawało nic innego, jak powiedzieć prawdę.

- Ta dziewczyna jest stuknięta - rzekł ze złością Philip.

- Wielkie, tłuste babsko o nalanej twarzy, które nie potrafi sklecić składnie paru słów. Za żadne pieniądze nie ubierzecie mnie w nią ty i lady Verey. Wolę skonać z głodu!

- I radzę ci się na to przygotować. - Głos Aleksa Delahaye wciąż był bardzo spokojny. Ogień na kominku trzaskał.

- Czy już zapomniałeś, że jeśli się nie ożenisz, to nie dostaniesz ode mnie złamanego pensa?

- Ożenić się, owszem, ale z czymś takim? - W oczach Philipa widać było przerażenie. Postawił mocno szklaneczkę na stole, aż bursztynowy płyn się zakołysał. - Czy ty poznałeś pannę Verey? Czy rzeczywiście tak bardzo nienawidzisz swojego brata, żeby go na coś takiego skazywać?

Alex Delahaye uniósł brwi.

- Widziałem ją ostatnio, gdy miała piętnaście lat, i muszę przyznać, że istotnie była wtedy trochę za pulchna...

- Za pulchna? Chyba chciałeś powiedzieć monstrualnie tłusta? Kaszalot ubrany w różowy atlas!

Aleks drgnął.

- Czy zawsze musisz sądzić wszystkich według pozorów, Philip? Przyznam, że z nią nie rozmawiałem, ale Verey za pewnił mnie, że ma miłe usposobienie i że nie jest...

- Ha!
- I że nie jest przeciwna małżeństwu...
- Co w tym dziwnego, że nie jest? Jaki ma wybór? - Philip jednym haustem opróżnił szklaneczkę. - Nic dziwnego, że jeszcze nie zaczęła bywać. Nic dziwnego, że od lat Ve-reyowie ukrywają ją na wsi! A teraz lord Verey nie żyje i nawet nie mogę mu się odwdziaczyć za to straszidło!

Księżę westchnął; była to pierwsza oznaka irytacji.

- I dobrze, że nie żyje, bo musiałbyś przed nim odpowiadać za to, że obraziłeś jego córkę. Zapamiętaj sobie, Philipie, że nie mam najmniejszego zamiaru bez końca finansować twoich wesołych eskapad. Związek z Jane Verey to bardzo dobre wyjście z sytuacji.

- O, wiem. że chciałbyś, żebym się ustatkował. - Philip ze złością postawił pustą szklankę. Wszystkie żale kłębiły mu się w głowie, szukając ujścia.

- Dobrze ci rozkazywać, co mam robić, przykręcając mi kurek z pieniędzmi i zmuszając, żebym cię prosił o spłacanie moich długów! Ty, który trzymasz w ręku wszystkie pieniądze i majątki...

- I wszystkie obowiązki - dokończył za niego brat z nutą gorzkości w głosie. - Tak, to rzeczywiście była wielka przyjemność urządzić pięcioro młodszego rodzeństwa i trzy majątki doprowadzić do takiego stanu, aby zaczęły przynosić profity. A do tego jeszcze trzeba było przegonić starających się o siostry, którzy czyhali na ich posag, i poradzić sobie z dzierżawcami, którzy chcieli pieniędzy za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa...

- Był tylko jeden - odparł Philip ze złością - a ja nigdy nie obiecywałem, że się ożenię z jego córką!

Alex nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć bratu. Wyciągnął długie nogi w stronę ognia i westchnął. Philip przyglądał mu się z niechęcią.

- Byłeś żonaty - powiedział nagle. - Jak możesz skazywać mnie na małżeństwo bez miłości?

Zapadła wroga cisza.

- Moje własne doświadczenia są najlepszym przykładem, ile zła może przynieść małżeństwo z miłości - odparł bezna miętnie Alex. - Chciałbym ci tego oszczędzić, braciszku.

Philip powiedział coś bardzo krótkiego i bardzo ordynarnego. Alex tylko się uśmiechnął.

- Czasami nie mogę uwierzyć, że jesteś ode mnie tylko o dziesięć lat starszy - rzekł Philip jadowicie.

Brat roześmiał się.

- To ciężar zobowiązań - rzucił lekko, ale jego spojrzenie było zimne.

- Niech to diabli, Alex. Ty lubisz takie życie! To twój wybór! - Philip sięgnął po butelkę brandy, spoglądając na brata agresywnie. - Nigdzie nie bywasz, nikogo nie przyjmujesz u siebie... Z upodobaniem podtrzymujesz swoją opinię odludka. A mimo to różni pieczeniarze próbują cię złapać na swoje córki, przyjęcia i piwnice pełne win!

Alex wzruszył ramionami, w dalszym ciągu obojętny.

- Tam, gdzie jest księstwo, powinna być i księżna - powiedział. - Na nieszczęście dla swatów nie szukam żony. I tu jest rola dla ciebie, Philip!

- Niech to diabli, jeśli rozumiem, dlaczego miałbym się żenić, żeby tobie dogodzić - odparł młodszy brat. - Wiem, że Madeline poczyniała sobie bez troski i że po jej śmierci nie chciałeś mieć do czynienia z kobietami. Ale tytuł książęcy

należy do ciebie. I do ciebie należy zapewnienie dziedzica! Do kaduka, są setki kobiet, które tylko marzą, żebyś je dopuścił do łask!

Alex Delahaye wyciągnął się, krzyżując nogi w kostkach.

- Tracisz czas, Philip! To ja trzymam klucze do sejfu i chcę, żebyś to ty się ożenił. Po prostu. I proszę, żebyś ponowił starania o rękę panny Verey...

- Wykluczone!

- Bo ci się nie podoba? Przekonasz się, że w małżeństwie chodzi o coś więcej niż tylko o ładną buzię - rzekł chłodno Alex.

- To nie tylko to - Odwróconą twarz Philipa oblał nagły rumieniec. - Bo ja... bo ja powiedziałem... powiedziałem wszystkim, jak to z nią jest. Teraz, kiedy znów się zacznę o nią starać, stanę się pośmiewiskiem.

- Wszystkim? To znaczy komu? - Głos Aleksa był jak smagnięcie biczem.

- Ponsonby'emu, Maltersowi i Cheritonowi - wymamrotał Philip. - To niezły dowcip, że Vereyowi udało się nabrać Delahaye'ów na mariaż z tą dziewczuchą o gębie jak z ciasta. Szydzili sobie z tego przy każdej okazji...

- Nie wątpię - odparł Alex z gryzącą ironią. Podniósł się z fotela i stał teraz nad krzesłem brata. - Twoi koledzy od hulanek rzadko kiedy odznaczali się bystrością i smakiem! No cóż, musisz się zdecydować, Philip: albo zostaniesz pośmiewiskiem bogatym, albo biednym jak mysz kościelna.

Philip zerwał się na równe nogi i stanął twarzą w twarz z Alekssem, który cofnął się i stał teraz przed kominkiem, z ręką swobodnie opartą o gzyms. Jako wyższy, miał dodat-

kową przewagę, ale Philip był zbyt wściekły, żeby się tym przejmować.

- Niech cię piekło pochłonie za to, że chcesz kierować moim życiem - rzucił, a nienawiść zapaliła w jego niebieskich oczach błyskawice. - Szkoda, że nie umarłeś razem z rodzicami!

Przez chwilę stali zupełnie nieruchomo. Philip pierwszy odwrócił wzrok.

- Idę! - burknął. -I nie próbuj mi więcej podsuwać kandydatek na żonę. Prędzej mnie diabli wezmą, niż się kiedykolwiek ożenię dlatego tylko, żeby ci dogodzić, czy nawet z innego powodu.

- Niech cię diabli, jeśli się nie ożenisz - powiedział beznamiętnie Alex, podchodząc bliżej do kominka i dzwoniąc na lokaja.

- Tredpole, mój brat właśnie wychodzi, bądź tak dobry i zamknij za nim drzwi. Możesz iść spać. Nie będę cię już dzisiaj potrzebował.

Kiedy obojętny Tredpole wyprowadził Philipa, Alex usiadł, ale nie wziął do ręki książki, którą do tej pory czytał. Siedział wpatrzony w dogasający żar.

Panna Jane Verey... była prawie dzieckiem, kiedy ją widział w Ambergate, ale robiła wrażenie miłej i naturalnej. Uśmiechnął się, wspominając, jak ją pierwszy raz zobaczył jadącą konno przez pola w kierunku domu. Dobrze trzymała się w siodle i wyraźnie cieszyło ją świeże wiejskie powietrze oraz towarzystwo jadącego obok brata. Wyglądała na rozsądną dziewczynę, rokującą nadzieję, że zdoła utrzymać w ryzach wierzgającego Philipa. Aleksowi pochlebiała skwapliwość, z jaką lord Verey dążył do tego mariażu, postanowili

jednak zaczekać, aż Jane skończy osiemnaście lat. Wyglądało na to, że wszystko się dobrze układa.

Śmierć Vereya odsunęła plany matrymonialne, ale kiedy minął rok żałoby, Alex z przyjemnością stwierdził, że wdowa jest nie mniej entuzjastycznie nastawiona do sprawy niż jej świętej pamięci mąż. Z biegiem lat Philip, ze swoimi skłonnościami do gier hazardowych i złego towarzystwa, przysparzał coraz więcej kłopotów i teraz, kiedy skończył dwadzieścia cztery lata, brat uznał, że czas najwyższy, żeby się ustatkował. Początkowo zresztą Philip wcale się przed tym nie wzbraniał. Alex skrzywił się. Pieniądze były jedyną rzeczą, jaką jego brat naprawdę cenił, i bez wątpienia stanowiły znacznie silniejszą pokusę niż sama panna Verey!

Alex westchnął. Może się mylił zarówno co do Jane, jak i uczuć brata. Nie zawsze było mu łatwo ocenić, co jest dobre dla jego rodzeństwa. Ot, choćby taki starzejący się rozpustnik, który miał być miłością życia jego siostry Elizy. Aleksowi bardzo się nie podobał, ale widząc, jak cierpi Eliza, nie sprzeciwiał się małżeństwu. Na szczęście już w następnym sezonie towarzyskim poznała młodego baroneta, którego poślubiła i żyli razem spokojnie w He-refordshire. Pozostałe dwie siostry też już były mężatkami, a średni brat George służył w armii Wellingtona. Pozostał tylko Philip...

Alex podszedł do stojącej przy oknie sekretery. Jedna z szuflad była otwarta i sterta papierów wylewała się z niej na blat. Jego twarz przybrała surowy wyraz. Philip korzystał z nieograniczonego kredytu i teraz to on ze swoimi ciągłymi długami stanowił największe zagrożenie dla fortuny Dela-

haje'ów. Alex energicznie zasunął szufladę, wskutek czego kilka papierów spadło na dywan. Nie, dosyć tych nonsensów. Należy wrócić do pomysłu małżeństwa z panną Verey i zmusić Philipa, żeby się podporządkował. Zaciśnął usta. Zbliżał się dzień, w którym jego brat musi wreszcie zapłacić rachunek, i to na wiele różnych sposobów. To absolutnie konieczne.

ROZDZIAŁ DRUGI

- To prawda, boję się - powiedziała, nie owijając w ba-
wełnę lady Eleanor Fane. - O tym się mówi w całym mie-
ście, Alex. To przyćmiło nawet ucieczkę biednej Marii Scro-
pe z lokajem! Wszyscy wiedzą, że Philip opisał pannę Jane
Verey jako brzydką, głupią rozplodową kobyłę. Co - dodała
lady Eleanor - już samo w sobie jest wystarczające, nawet
gdyby nic więcej nie dodawał.

Ściągnęła rękawiczki, odłożyła parasol i z ciężkim westchnieniem opadła na
fotel.

Lady Eleanor, ciotka, a zarazem matka chrzestna księcia Delahaye, była jedną z
nielicznych kobiet, które mogły przekraczać progi Haye House. Mając
nieskazitelne koligacje i szerokie grono przyjaciół, często pełniła w Towarzystwie
przez duże T rolę oczu i uszu księcia, a jej wywiad był bezbłędny. Dlatego też
Alex Delahaye nie przerywał ciotce, tylko jej pilnie słuchał.

- Lady Verey przywiozła córkę do miasta - ciągnęła, się-
gając po srebrny dzbanek i nalewając sobie herbaty. - Jane
jeszcze nie weszła do towarzystwa. Jej debiut odbędzie się
w przyszłym tygodniu u Almacka. Spotkałam Clarissę Verey
na Bond Street. Zorientowałam się, że jeszcze nie słyszała
plotek, ale to tylko kwestia czasu, kiedy jakiś pożałowania-
godny łowca sensacji narobi kłopotu! - Lady Eleanor obser-

wowała głęboko zatroskaną twarz Aleksa. - Reputacja tej małej zostanie zrujnowana, zanim jeszcze zacznie bywać. Zachowanie Philipa było w najwyższym stopniu nieodpowiedzialne.

- Wiem o tym. - Alex wstał i wolno, z rękami w kieszeniach, podszedł do okna. - Głupi szczeniak! Zawsze musi się przechwalać w gronie swoich koleżków. Oczywiście dla nich to była świetna zabawa, ale jeśli Vereyowie się o tym dowiedzą. ..

- Jeśli! Powiedz raczej „kiedy” - odparowała lady Eleanor. - Obecność w mieście lady Verey wywoła burzę plotek. Och, Clarissa Verey robiła dobrą minę do złej gry w sprawie dezercji Philipa, mówiła, że tak naprawdę młodzi nie są jeszcze po słowie, że była to tylko lekka sugestia, a nie obietnica małżeństwa, jednak kiedy usłyszy, co Philip wygaduje o jej córce, nie będzie już taka miła! Ale to jeszcze nie jest najgorsze, Alex!

Książę uniósł czarną brew w wyrazie rozbawienia.

- A co może być jeszcze gorszego?

- Simon Verey wrócił z wojny i jest z nimi w Londynie. One nie są bezbronne, mają opiekuna - rzekła ponuro lady Eleanor. - Jeśli się dowie, że ktoś kłał dobre imię jego siostry...

- Trudno tu mówić o skazie na dobrym imieniu - sprostował Alex. - Nawet Philip nie miał zastrzeżeń do cnotliwości panny Verey!

- Ale do jej intelektu, do jej urody - owszem, i to wielkie! - dodała z irytacją lady Eleanor. - Czy musisz być aż taki dosłowny, Alexandrze? Simon - to znaczy lord Verey, bo tak go chyba teraz należy tytułować - prędzej czy

później usłyszysz o tym w którymś z klubów i dopiero będzie klops!

- Jakież ciocia ma obrazowy język!

Lady Eleanor parsknęła zirytowana.

- Słowo daję, jesteś dziś w bardzo dziwnym nastroju, Alex! Przecież wiem, że zawsze byłeś wysokiego mniemania o Simonie!

- Naturalnie, że byłem. Ma opinię bardzo inteligentnego i przyzwoitego człowieka.

- Ale chwileczkę - powiedziała ze zniecierpliwieniem lady Eleanor. - Jeszcze nie słyszałeś najnowszej sensacji!

- Zamieniam się w słuch, proszę cioci - bąknął grzecznie siostrzeniec, którego zdradziło jedynie lekkie drgnięcie powieki. Lady Eleanor zignorowała je, żeby nie utrudniać sobie przekazania ważnej wiadomości.

- Otóż powołując się na starą przyjaźń, Clarissa Verey zaprosiła mnie na Portman Square. Naturalnie nie mogłam jej odmówić, ale miałam nadzieję, że nie będzie się mnie radziła, w jaki sposób z jej szpetnej córki zrobić bóstwo. Nie uśmiechaj się tak, Alex, to jest poważna sprawa. Idź za moją myślą.

- Tak jest, proszę cioci - odparł potulnie siostrzeniec.

Lady Eleanor spojrzała podejrzliwie, ale jego twarz pozostawała nieprzenikniona.

- Oczywiście Clarissa Verey uznała, że zarówno Jane, jak i jej przyjaciółka, która przyjechała z nią ze wsi, muszą mi się zaprezentować. Clarissa kazała podać herbatę i rzuciła mimochodem, że Jane ma słabość do słodczy, co, łącznie z uwagami Philipa, doprowadziło mnie do wniosku, że dziewczyna je za dużo ciastek...

- Oczywiście.
 - A potem otworzyły się drzwi i weszło na paluszkach istne чудо, składając przede mną ukłon. Była drobnutka, cała biało-różowa, ze złocistymi lokami. Istny anioł!
 - Ta przyjaciółka Jane Verey?
 - A któżby inny? - powiedziała urażona lady Eleanor. -Panna Sophia Marchmont, co za tragedia!
 - Że przyjaciółka jest taka ładna, a panna Verey nie?
 - Nie! - Lady Eleanor łypnęła groźnie w stronę siostrzeńca. - Jak możesz tak pochopnie wyciągać wnioski! Nie, tragedia polega na czym innym. A mianowicie na tym, że Philip zrobił z siebie jeszcze gorszego durnia, niż przypuszczaliśmy! Bo zaraz potem weszła panna Verey. O mój Boże!
 - Niechże ciocia się opanuje - powiedział książę, którego usta lekko drżały. - Nie mogę się doczekać puenty!
 - No bo... bo ona jest piękna! Niesłychanie urocza! - zawołała ze złością lady Eleanor, sięgając po chustkę i głośno wycierając nos. - I jaka słodka! Jak Philip mógł zrobić coś podobnego?! Jak mógł!
- Książę był przyzwyczajony do tego, że jego ciotka zmierzała do puent okrężnymi drogami. Nie ulegało jednak wątpliwości, że na coś takiego nie był przygotowany.
- Dziewczyna jest piękna? - zapytał w osłupieniu. - Czy ciocia jest tego pewna?
 - Oczywiście, że jestem pewna! Przestań wygadywać nonsensy. Piękna, czarująca i inteligentna. Stanowiliby wyjątkowo dobraną parę: jedno takie jasne, drugie takie ciemne. Podbiliby wszystkie serca!
- Zapadło milczenie. Alex wstał i z rękami w kieszeniach

pięknie skrojonego surduta w butelkowym kolorze podszedł do okna. Lady Eleanor z nadzieją patrzyła na jego wysoką sylwetkę. Jeżeli ktokolwiek miałby znaleźć wyjście z tej nieprzyjemnej sytuacji, to tylko on. Był równie opanowany i pomysłowy jak Philip w gorącej wodzie kąpany i niezyciowy. W gruncie rzeczy lady Eleanor czasem żałowała, że jej siostrzeniec jest tak bardzo opanowany i chłodny.

Ale nie zawsze tak było. Dobrze pamiętała Aleksa, wówczas markiza Hawarden, młodzieńczego, zarumienionego ze szczęścia i radosnego w dniu swego ślubu czternaście lat temu. Tak było, zanim jego rodzice zginęli w tragicznym wypadku powozu, zanim spadł na niego ciężar wychowania piątki młodszego rodzeństwa i zanim piękna młoda księżna zhańbiła jego imię jawnymi romansami, hazardem i piciem, które się przyczyniło do jej przedwczesnej śmierci zaledwie sześć lat po ślubie...

- Czy w dalszym ciągu uważasz, że Philip powinien się ożenić? - zapytała z wahaniem lady Eleanor, widząc, że jej chrzestny syn jest głęboko zamyślony.

- Tak, uważam. - Alex otrząsnął się z rozmyślań i przestał kontemplować widok Berkeley Square. - Trzeba go zmusić do tego, żeby się wreszcie ustatkował, proszę cioci, bo cóż lepszego może go czekać niż dobre małżeństwo i gromadka dzieci? A małżeństwo z panną Verey jest dobre! Jak może ciocia pamiętać, wolą mojego ukochanego dziadka było połączenie Delahaye-ów z Vereyami przez małżeństwo. Ja sam kilka lat temu byłem w Ambergate omówić z lordem Vereyem te sprawy. Wszystko zostało bardzo przyzwoicie uzgodnione, a teraz Philip... - Alex w rozgoryczeniu zacisnął wargi.

- Byłeś w Ambergate? - Lady Eleanor wychyliła się do

przodu. - Nic o tym nie wiedziałam! Czy poznałeś wtedy pannę Verey?

- Nie mogę powiedzieć, że poznałem. Owszem, widziałem ją, ale nie rozmawialiśmy. Nie wiedziała o mojej wizycie, ponieważ jej ojciec chciał sprawę planów małżeńskich utrzymać na razie przed nią w tajemnicy. Musiała mieć wtedy jakieś piętnaście lat i lord Verey uznał, że to za wcześnie, żeby oceniała swojego przyszłego męża.

Lady Eleanor uniosła brwi. Z doświadczenia wiedziała, że dziewczęta znacznie młodsze były żywo zainteresowane przyszłym małżeństwem.

- I jaka ci się wydała?

Alex wzruszył ramionami, jakby nie miał zdania.

- Wyglądała przyjemnie, chociaż była trochę za pulchna. Robiła wrażenie bystrej, żywej dziewczyny, a nie tępego czupiradła, o jakim mówił Philip.

Lady Eleanor zmarszczyła czoło.

- Jak on mógł się tak co do niej pomylić? Aż trudno uwierzyć! Przecież dziewczyna, którą on opisał, i ta, którą ja poznałam, nie może być tą samą osobą!

Teraz już i Alex zrobił marsową minę.

- Tak, muszę przyznać, że ten problem martwi mnie najbardziej. Liczę się ogromnie z cici opinią - uśmiechnął się do lady Eleanor - i gdybym miał wybierać między zdaniem cici a Philipa, bez wahania uwierzyłbym cici. Fakt jednak pozostaje faktem, że Philip opisał pannę Verey w szczególnie zjadliwych słowach, podczas gdy ciocia dostrzegła w niej anioła! Jedno z was musi się mylić!

- Mój drogi Aleksie - rzekła ostro lady Eleanor - całe miasto się wkrótce przekona, że to jednak ja miałam rację!

I do tego mogę jeszcze ręczyć nie tylko za wdzięk osobisty panny Verey, ale także za jej inteligencję i styl!

- A zatem - podsumował wolno Alex - Philip musi kłamać. Przypuszczam, że ta karygodna mistyfikacja ma usprawiedliwiać odmowę zawarcia małżeństwa. Pewnie myślał, że zmięknę, jeśli mi wmówi, że panna Verey jest szpetna. Widać z tego, że nie cofnie się przed niczym, aby uniknąć ożenku!

- To głupie - skwitowała krótko lady Eleanor - i bardzo niebezpieczne. Wystarczyło, że panna Verey przyjechała do Londynu, by wszyscy się dowiedzieli, że Philip jest kłamcą i łajdakiem. Dziwię mu się, naprawdę. Bo może być utracju-szem, ale nie jest głupcem!

- Nie - przyznał Alex - nie jest głupcem. I dlatego... -Urwał i lady Eleanor spojrziała na niego z zaciekawiona.

- Co miałeś na myśli, Alexandrze, jeśli można wiedzieć? - zapytała.

- Miałem na myśli to, że jest w tej sprawie wiele wątków do rozwikłania - odparł książę z namysłem. - W dalszym ciągu uważam, że należy zrobić wszystko, żeby ocalić te plany. Co więcej, muszę porozmawiać z Philipem na temat nagłej metamorfozy, jaka dokonała się zarówno w wyglądzie, jak i charakterze panny Verey. I to, proszę drogiej cioci, interesuje mnie w tej chwili najbardziej. - Mroczne spojrzenie, refleksyjne, ale i nie pozbawione iskierki humoru, spoczęło na zakłopotanej twarzy ciotki.

- Przyjeliśmy, że jest to wina Philipa - podjął - ale warto by jeszcze spytać pannę Verey, co sądzi o propozycji małżeństwa. Rozumiem, że delikatność nie pozwoliła cioci wspomnieć jej o tym?

Po czym, kiedy lady Eleanor zmieszana skinęła głową, ciągnął:

- Twierdzi ciocia, że panna Verey ma wdzięk i inteligencję. A jeśli, droga ciociu... jeśli to ona ma zastrzeżenia do zalotów Philipa... zastrzeżenia, których nie wzięli pod uwagę ci, którzy zawierali umowę... A może powiedziała matce, że nie chce wychodzić za mąż, tylko matka to zlekceważyła... I może wobec tego postanowiła ująć sprawę w swoje ręce i zrobić wszystko, co w jej mocy, by się mu wydać jak najmniej atrakcyjną?

Lady Eleanor wydała okrzyk zgrozy, wzdrygnęła się i złapała za parasolkę, jakby szukała w niej wsparcia.

- Cóż za przypuszczenie, Alex! Jakżeż by ona mogła...

- Każdy może udawać głupiego, jeśli tylko chce - odparł sucho Alex. - Znacznie trudniej wydać się szpetnym, gdy się takim nie jest, ale z pomocą przebrania... no cóż, i to można osiągnąć. Zwłaszcza że Philip nie jest specjalnie spostrzegawczy. Zastanawiam się...

- Czy rzeczywiście sugerujesz, że panna Verey oszukała Philipa? - Lady Eleanor miała taką minę, jakby jej podano truciznę. - Wykluczone! Nie mogę w to uwierzyć.

Alex uśmiechnął się.

- Być może krzywdzę pannę Verey, ale zapewne da się ustalić okoliczności, w jakich spotkali się z Philipem, znaleźć świadków i przywołać słowa, jakie przy tej okazji padły. Myślę, że bez trudu zdołam wyjaśnić, czy Philip został oszukany, czy nie.

Zdezorientowana lady Eleanor w dalszym ciągu patrzyła na siostrzeńca z wyrzutem.

- Jesteś szatańsko sprytny, Alex!
- Dzięki, ciociu Eleanor. - Alex znów uśmiechnął się do ciotki. - Muszę się przyznać, że z pewnych względów interesuje mnie panna Jane Verey. To bardzo intrygujące spotkać przeciwnika równie chytrego jak ja sam.

- Nie, to niemożliwe, żeby to słodkie dziecko...
- No cóż, przekonamy się.
- Jak masz zamiar załatwić tę sprawę? - zapytała pełna złych przeczuć lady Eleanor.

- Najpierw spróbuję się czegoś dowiedzieć - rzekł wolno Alexander - a potem spotkam się z panną Verey i sam osądzę, czy mam do czynienia z niewinnym aniołem, czy z przebiegłą jędzą.

- Och, Jane, czy nie jest cudownie? - westchnęła Sophia w ekstazie. - Jakie piękne sklepy! Nawet Bath nie może z nimi rywalizować! Słowo daję, mogłabym nic nie robić, tylko patrzeć!

Jane stłumiła ziewanie. Już teraz czuła się, jakby cały dzień spędziła w ten sposób. Musiał to być chyba dwudziesty sklep, który odwiedziły tego popołudnia.

Kiedy po śniadaniu omawiano sprawę zakupów, Simon w przerażeniu uciekł do klubu. Jane żałowała, że nie ma takich możliwości jak brat. Nawet nie chodziło o to, że nie lubiła zakupów - teraz też przyglądała się, jak jej matka i Sophia przeżywają męki, nie mogąc dokonać wyboru między dwoma pięknie pomalowanymi wachlarzami - ale po prostu bardzo szybko jej się to nudziło. Jedwabie i tafty, pantofelki i buciki, kapelusze i rękawiczki - wszystko to, co tak fascynowało jej przyjaciółkę, Jane nużyło bardzo szybko. Żeby to

choć były książki... Stłumiła chichot na wspomnienie bolesnej dezaprobaty na twarzy matki, kiedy nieśmiało zaproponowała, żeby poszły do „Świątyni Muz” Jamesa Lacking-ona na Finsbury Square.

- „Świątynia Muz”! - powtórzyła lady Verey. - To mi się raczej kojarzy z domem rozpusty niż z księgarnią. Nie uważam, żeby to było stosowne miejsce dla nas, i to bez męskiego towarzystwa!

Dlatego Jane, chcąc sobie kupić wymarzone książki, musiała poprosić brata o pomoc. Ale i tak ominęła ją przyjemność buszowania wśród półek i patrzenia na innych miłośników książek, tłoczących się w „salonach” pana Lackingtona.

Lady Verey i Sophia oglądały właśnie bardzo ładny słomkowy kapelusz, przybrany błękitnymi wstążkami. Uwagę Jane przyciągnął na krótko jedwabny szal w turkusowym kolorze, podeszła więc bliżej, żeby mu się przyjrzeć, pozwalając, by miękka tkanina przelewała się między jej palcami jak woda. Za szerokimi oknami ciągnęła się Charles Street, pełna spacerujących w słońcu kobiet i mężczyzn. Po drugiej stronie ulicy stała budka z alkoholami. Widać było kryształowe flaszki wszelkich możliwych kształtów i rodzajów, sprytnie podświetlone od tyłu, tak że różnokolorowe trunki mieniły się w nich nęcąco. Jane uśmiechnęła się. Wreszcie zobaczyła coś, co było warte jej czasu: szkło i porcelana zawsze ją urzekały i Jane miała nadzieję odwiedzić kiedyś imperium pana Wedgwooda przy Great Newport Street, gdzie, jak mówili, ekspozycje porcelany były specjalnie aranżowane tak, by cieszyć i intrygować klienta...

Na lewo od budki z alkoholami, po przeciwnej stronie ulicy, stał mężczyzna... To, że był całkiem nieruchomy, zwró-

ciło uwagę Jane, a kiedy wysiliła wzrok, stwierdziła, że uporczywe spojrzenie nieznajomego było utkwione właśnie w nią. Wydało jej się to niepokojące, zwłaszcza że miała wrażenie, że już go kiedyś widziała. Mężczyzna był bardzo wysoki i bardzo ciemny, a jego przenikliwy wzrok skrzyżował się z jej spojrzeniem. Nagle wydało jej się, że dzieli ich zaledwie kilka kroków - bez szyby, ruchliwej ulicy ani żadnej innej przeszkody. Jane stwierdziła, że nie jest w stanie odwrócić głowy i przełamać tego czaru.

Wzrok mężczyzny, intensywny i badawczy, przykuł ją do miejsca i Jane poczuła, jak się czerwieni.

Nagle wyrosła między nimi platforma z piwem, całkowicie zasłaniając widok. Wozak krzyczał na konie, a Jane, westchnąwszy głęboko, odwróciła się od okna.

- Jane? - Lady Verey nie zauważyła nic szczególnego. - Chodź no tu, moje dziecko, i powiedz nam, który z tych szali jest ładniejszy. Sophii podoba się ten wymyślny, różowy z koronką, ale ja nie jestem pewna... - Wzrok lady Verey spoczął na szalu, który Jane trzymała w ręce całkowicie bezwiednie.

- Ach, jaki piękny, koniecznie musisz go mieć, kochanie! Idealnie pasuje do twoich oczu. Masz wspaniały gust, Jane! A co myślisz o tym szalu?

Zarówno panna sklepowa, jak i Sophia spoglądały na Jane wyczekująco. Jane posłusznie patrzyła we wskazanym przez matkę kierunku, ale nie myślała o fatalaskach.

To był on! - Jeszcze ciągle dygotała w środku. - Poznałam go. Wiem, że to on.

Powoli jej przyspieszony puls i oddech uspokoiły się. Poniosła ją wyobraźnia. Wszyscy ciemni mężczyźni są w pew-

nym stopniu do siebie podobni, a Londyn roi się od ludzi. To głupota wyobrazić sobie, że poznała w nieznanym tego, którego widziała przelotnie cztery lata temu w Ambergate i którego już nigdy potem nie spotkała. A jednak...

Kiedy wychodziły ze sklepu na zalaną słońcem ulicę, Jane ciągle jeszcze łamała sobie nad tym głowę.

- A teraz, dziewczęta - rzekła lady Verey, zaganiając panny przed sobą - do modystki na drugą stronę ulicy!

- Proszę spojrzeć, proszę pani, proszę spojrzeć! - Sophia uczepliła się ramienia lady Verey. - Ja nie widziałam tych rękawiczek! Och, one byłyby idealne na jutrzejszy wieczór. Koniecznie muszę je mieć. Jane - obróciła się z niepokojem w stronę przyjaciółki - nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Jane uśmiechnęła się blado. W tym tempie Sophia w jeden dzień pozbędzie się wszystkich pieniędzy.

- Zaczekam na ciebie tutaj na słońcu - odparła Jane. - Dzień jest piękny i nie ma się co spieszyć.

- Stój tak, żebyśmy cię widziały przez okno - poinstruowała ją lady Verey i ruszyła za Sophią. - I pamiętaj, gdyby cię ktoś zaczepiał, zaraz przychodź do nas.

- Dobrze, proszę mamy - odparła posłusznie Jane, gestem ręki wskazując matce, żeby szła. - Nic mi się tu nie stanie.

Gdy tylko drzwi sklepu zamknęły się za lady Verey, Jane odwróciła się, wodząc wzrokiem po ulicy. Mimo że jej znajomości w Londynie były nieliczne, akurat dostrzegła przechadzających się po drugiej stronie ulicy sąsiadów z Portman Square, sympatycznych i życzliwych ludzi. A zaraz za nimi... Na widok ciemnego mężczyzny, który zatrzymał się przed sklepem rusznikarza i stał teraz

odwrócony do niej tyłem, Jane mimo woli zrobiła krok do przodu.

Rozległ się gniewny okrzyk i Jane obróciła się, przestraszona. Tuż koło niej przejeżdżał wóz i poczuła, że jej spódnica o coś zahaczyła. Straciła równowagę, poślizgnęła się na bruku i wkręcona w koło spódnica pociągnęła ją na ziemię. Wszystko to trwało mgnienie oka.

- Och! - Ucierpiała głównie godność Jane, więc łzy upokorzenia napłynęły jej do oczu. Ręce miała posiniaczone od gwałtownego kontaktu z ziemią, a kolano boleśnie stłuczone. Sponiewierana, zaplątana w halki i wytarzana w śmieciach, z trudem gramoliła się z rynsztoka.

- Pani pozwoli, że jej pomogę - usłyszała spokojny męski głos i jednocześnie poczuła, że nieznajomy ujmuje ją pod łokieć i pomaga wstać. - Czy jest pani mocno poszkodowana?

Jane uniosła wzrok. Przeżyła szok. Tym razem nie miała wątpliwości. Był to z całą pewnością ten sam mężczyzna, którego widziała wtedy w Ambergate, tylko starannie ubrany. Miał na sobie nieskazitelne spodnie z kozłej skóry, długie buty i zakiet w kolorze morwy. Z tak bliskiej odległości wydał się Jane kimś niepokojąco atrakcyjnym, zupełnie odmiennym od tych nielicznych mężczyzn, których знаła. Dżentelmen był niewątpliwie przystojny. Smagły na twarzy, odznaczał się zapierającą dech urodą, ale jednocześnie w jego bardzo ciemnych oczach był wyraz surowości, który zaprzeczał nieco frywolnemu wdziękowi. Roztaczał też wokół siebie aurę siły i starannie kontrolowanej władczości, która w osobach postronnych wywoływała natychmiastowe poczucie bezpieczeństwa.

Mężczyzna podtrzymał Jane bardzo delikatnie, otoczywszy ją w talii ramieniem, a na jego twarzy malował się wyraz troski, ale i czegoś jeszcze... jakby czułości, pod wpływem której Jane ogarnęła dziwna słabość. Zatoczyła się lekko i ramię mężczyzny chwyciło ją mocniej.

- Pani powinna usiąść i przyjść do siebie po przeżytych szoku. Gdzie jest pani towarzystwo?

- Dziękuję panu bardzo, nic mi się nie stało... - odparła niepewnie, widząc przez szybę sklepową przerażoną twarz matki. W tym samym momencie wozak uznał za stosowne wytłumaczyć się przed gromadką gapiów. Jego wywód na temat nieważnych młodych kobiet, które nie patrzą, gdzie idą, przerwało jedno spojrzenie dżentelmena.

Jane stwierdziła, że jest tylko posiniaczona. Czuła się głupio i była zawstydzona. Zauważyła, że jej dłoń spoczywa ufnie na klapie żakietu nieznajomego, a jego ramię dalej otacza jej kibić. Było to bardzo przyjemne, choć niezbyt stosowne. Spojrzenie ciemnych oczu spoczęło na Jane. Dziewczyna znów poczuła drżenie.

- Bardzo panu dziękuję za pomoc - powiedziała ponownie, próbując się wysunąć z jego objęć. - To bardzo miło z pana strony, ale ja już się na tyle dobrze czuję...

- Jane! Jane! - Lady Verey i Sophia wypadły ze sklepu w towarzystwie modystki i połowy personelu, powiększając jeszcze i tak już duże zamieszanie. Koń, spłoszony hałasem, zaczął bić kopytami i stawać dęba. Sophia usłużnie zdjęła ze spódnicy przyjaciółki kawałek liścia kapusty.

- Jane! - powtórzyła lady Verey. - Czy nic ci się nie stało? Co to wszystko znaczy... - Urwała, nagle zmieszana na widok dżentelmena. - Jego Książęca Mość...

Mężczyzna wreszcie cofnął ramię i skłonił się przed lady Verey.

- Witam sznorną panią - powiedział, a Jane wydało się, że w jego tonie pochwyciła nutę rozbawienia. - Mam nadzieję, że pannie Verey nie stało się nic poważnego, myślę jednak, że powinna jak najszybciej znaleźć się w domu, żeby odpocząć. Panie pozwolą, że wezwę powóz...

- Tak, oczywiście, ale... - Lady Verey przenosiła wzrok z Jane na jej wybawiciela i z powrotem. - Nie wiedziałam, że to akurat pan przyszedł Jane z pomocą. Nie wiedziałam nawet, że pan bawi w Londynie. Czy pański brat również jest w mieście? Pan pozwoli, że złożymy państwu wizytę, żeby wyrazić swoją najgłębszą wdzięczność...

- Ależ bardzo proszę, będę zaszczycony - dżentelmen przerwał lady Verey w pół słowa, wyrażając swój szacunek, i dodał: - Nie będę pań dłużej zatrzymywał. Kłaniam się, do widzenia.

Skłonił się raz jeszcze i tłumek się rozstał, żeby go przepuścić, jakby poddając się jego milczącemu nakazowi. Platforma odjechała, a jej miejsce zajęła dorożka. Jane, oszołomiona i wstrząśnięta, wsiadając przyjęła pomocną dłoń przyjaciółki.

- Kto to był ten dżentelmen? - spytała Sophia lady Verey, gdy powóz ruszył w kierunku Portman Square. - Wydaje się całkiem... - Sophia zawahała się, ale Jane wiedziała, co miała na myśli. Dżentelmen, o którym mowa, był porywający. Znowu odczuła moc jego spojrzenia i delikatną siłę, z jaką otaczał ją ramieniem. Wzdrygnęła się.

- To był książę Delahaye - mówiła właśnie bardzo spokojnie lady Verey - starszy brat lorda Philipa, którego Jane...

- Zobaczyła upiornie bladą twarz córki i zapytała: - Czy aby na pewno nic ci nie jest? Gdy tylko przyjedziemy do domu, natychmiast musisz się położyć, inaczej nie będziesz mogła dziś wieczorem iść do Almacka. To naturalnie skutki stresu, jaki przeżyłaś w związku z wypadkiem.

- Tak, proszę mamy - zgodziła się Jane. - Rzeczywiście jestem trochę zdenerwowana.

- Może nie powinniśmy dziś nigdzie wychodzić - powiedziała lady Verey w rozterce. - Chciaż z drugiej strony obawiam się, czy goście nie poczytaliby nam tego za afront... O mój Boże, co za przykra sytuacja. Nie mam pojęcia, co robić!

- Zobacz mama, że zaraz się lepiej poczuję - odparła Jane, opadając na oparcie i zamykając oczy. - Bardzo proszę, niech mama niczego nie odwołuje...

- Nie wiedziałam, że księżę jest w mieście - powiedziała lady Verey, wyglądając rękawiczki. - Rzadko bawi w Londynie, jest bowiem znany z tego, że preferuje uroki wsi. - Zmarszczyła czoło. - Naprawdę dziwne! Że też akurat musiał tędy przechodzić, kiedy upadłaś!

Jane, mając świeżo w pamięci księcia Delahaye obserwującego ją z przeciwległej strony ulicy, pomyślała, że trudno tu mówić o „przechodzeniu”, nie powiedziała jednak nic. Cały ten epizod był niezwykle i niepokojący. Dlaczego księżę ją obserwował i skąd ta jej dziwna reakcja? Na wspomnienie tego, co czuła, gdy ją obejmował, oblała się rumieńcem. W ubiegłym tygodniu spotkała wielu przystojnych mężczyzn, ale nigdy dotychczas tak bardzo nie przeżywała męskiego dotknięcia. Zamknęła oczy. Najlepiej zapomnieć

o tym. Zapomnieć o nim. Wyglądało na to, że ze strony braci Delahaye spotykały ją same kłopoty.

Simon Verey był pierwszym, do którego dotarły plotki. Kiedy panie wybrały się na zakupy, Simon spotkał się z Pet-tishawem, swoim pełnomocnikiem do załatwiania interesów, później zaś spędził wesołe popołudnie w towarzystwie lorda Henry'ego Marchnighta, jednego z najstarszych przyjaciół. Spotkali się przypadkiem u Tattersalla i potem, już razem, wylądowali u Brooksa.

- Podobno w czasie kampanii okryłeś się chwałą - powie dział Henry z leniwym uśmiechem. Stwierdzili właśnie, że wi no, którego spróbowali, jest niczego sobie. - Co zamierzasz te raz ze sobą zrobić, co byłoby porównywalne z tamtym?

Simon roześmiał się.

- Najpierw przez jakiś czas zamierzam cieszyć się urokami miasta, a potem zamieniam się w prawdziwego hreczko-sieja. Ambergate odzyska wkrótce dawną świetność, ale nie chciałbym za długo być gospodarzem na wyjeździe.

- Hreczkosiej musi mieć żonę i gromadkę dzieci - zauważył Henry - a w tym sezonie roi się od pięknych panien.

Simon skrzywił się.

- Moja mama ciągle mi o tym przypomina i ciągle mi podsuwa coraz to nowe kandydatki! Trochę czasu upłynie, zanim zdradzę kawalerski stan, chociaż nie przeczę, że po woli rozglądam się za żoną. - Spojrzał na przyjaciela. - No cóż, jeśli mama będzie bardzo naciskała, to zawsze mogę ofiarować swoje serce lady Polly Seagrave...

Lord Henry spojrzał chłodno na Simona.

- Ona cię nie będzie chciała. Właśnie odrzuciła siódmego starającego w tym sezonie towarzyskim.

- To byłby wielki wstyd, gdybyśmy zaprzepaścili naszą przyjaźń - mruknął Simon, dając znak kelnerowi, żeby podał więcej wina.

Lord Henry odetchnął z ulgą.

- A ty... czy zamierzasz zostać w mieście na sezon, czy znów wybierasz się w podróż? - Simon uznał za wskazane zmienić temat i odwrócić uwagę przyjaciela od jego nie odwzajemnionej namiętności do lady Polly. Córka hrabiego Seagrave odrzuciła względy Henry'ego jakieś trzy lata temu, ale Simon wiedział, że mimo pozornej obojętności przyjaciel był w dalszym ciągu zaangażowany uczuciowo.

Lord Henry lekko potrząsnął głową.

- Moje plany są niepewne... będę musiał wkrótce wyjechać za granicę... myślę, że zrobi się niespokojnie bliżej do mu, ale... - wzruszył ramionami - czekam z tygodnia na tydzień i nigdy nie wiem, dokąd mnie wyślą.

Simon puścił to mimo uszu. Wiedział, że lord Henry pracował dla rządu w różnych dość tajemniczych dziedzinach, nie miał również wątpliwości, że przyjacielowi bardzo zależało na dyskrecji. Przerwali na chwilę rozmowę, kiedy paru podchmielonych młodzieńców mijało ich w drodze do stołów gry.

- Zostaniesz na partyjkę wista? - zapytał Henry.

Simon potrząsnął głową.

- Obiecałem, że będę dziś wieczorem u Almacka. Moja siostra i panna Marchmont mają dziś debiut towarzyski. Będzie niezły tłum! - Postawił kieliszek i wstał. - Diabelnie się dłuży takie towarzyszenie własnej siostrze.

- Masz za miękkie serce - rzekł z lekką ironią Henry. -
A może to panna Marchmont jest przyczyną tej szlachetności?

Simon gapił się na przyjaciela.

- Sophia? No wiesz! - Uświadomił sobie, że nie było to zbyt grzeczne, i zarumienił się, widząc w oczach Henry'ego wesołe iskierki. - Panna Marchmont jest czarującą dziewczyną, ale znam ją jak siostrę, a poza tym... wolę kobiety trochę bardziej...

- Zmysłowe?

- Inteligentne! - zakończył Simon z nutą przygany. -Może to być niemodne, ale z pewnością nie jest nudne.

- Panna Verey jest wysoce inteligentna - mruknął lord Henry.

- Jane? - Simon zawiesił głos. - No cóż... Jane bardzo dużo czyta...

- Nie tylko inteligentna, ale i sprytna. Na tyle sprytna, że udało jej się, według mojej oceny, umknąć małżeństwu z Phi-lipem Delahaye, który jeszcze do tego wyszedł na gbura.

Simon usiadł ponownie. - Co ty wygadujesz, Henry?

- Lord Philip pojawił się w Ambergate w charakterze konkurenta twojej siostry, zanim zdążyłeś wrócić, prawda?

- Tak, wróciłem kilka tygodni później - potwierdził Simon. - Mama mówiła, że Philip zerwał umowę, ale Jane chyba się tym specjalnie nie przejęła, a ja, jeśli mam być szczerzy, nigdy nie byłem zachwycony pomysłem rodziców. Wiem, że sprawa została uzgodniona między ojcem a księciem, który podobno bardzo do tego parł. - Simon poprawił się na krześle. - Myślałem, że na tym się skończyło.

Lord Henry potrząsnął głową.

- Lepiej, żebyś to usłyszał ode mnie, Simon, niż miałyby dotrzeć do ciebie jakieś plotki czy fałszywe informacje. Na temat wizyty Philipa w Ambergate krąży sto jeden wersji z powodu jego szybkiego wyjazdu. Wszyscy wiedzą, że miał się oświadczyć, i spekulują na temat nagłej zmiany planów. A co gorsza, Philip sam podsycił te plotki, opowiadając, że zerwał, ponieważ...

- Verey!

Lord Henry zawiesił głos, gdy jakiś mężczyzna zatoczył się na krzesło Simona i pozdrowił go znacznie głośniejszym głosem, niżby to usprawiedliwiała dzieląca ich odległość.

- Cheriton - rzekł Simon z powściągliwym skinieniem głowy pod adresem stojącego przed nim dandysa. - Jak się masz.

- Świetnie, przyjacielu, wprost fantastycznie! Właśnie wybieram się do Almacka, gdzie, jak słyszę, ma być twoja urocza siostra. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy będę miał okazję ją poznać. - Lord Cheriton roześmiał się rubasznie. - Słyszałeś zapewne, jak zbłąźnił się Philip Delahaye, odrzucając pannę Verey! Mówi się, że Delahaye był tak zawiany, kiedy przyjechał do Ambergate, że wziął jakąś dziobatą służącą za twoją siostrę. Mieliśmy niezłą zabawę, kiedy ją opisywał. Nalana twarz... głupkowata... prawie analfabetka... - Ramiona Cheritona podskakiwały. - Powiedział, że wolałby umrzeć z głodu, niż połączyć się z nią węzłem małżeńskim. A tymczasem Freddie Ponsonby spotkał pannę Verey na Charles Street i twierdzi, że jest nie tylko bosko piękna, ale jeszcze do tego, wyobraź sobie, i mądra. Philip w to nie wierzy i utrzymuje, że przyjdzie do Almacka, żeby się przekonać na własne oczy. Tak go wyśmialiśmy, że chyba

w życiu tego nie zapomni, a on cały czas w kółko powtarzał, że musiał ją pomylić z którąś z pokojówek. I pomyśleć, że kierował swoje zaloty do jakiegoś garkołu! - Cheriton oddalił się, w dalszym ciągu chichocząc.

Mógł pomylić szczegóły, ale istota rzeczy była aż nadto jasna. Simon już wstawał z krzesła, kiedy Henry Marchnight uspokajającym gestem położył mu rękę na ramieniu. Jak to bywa w takich sytuacjach, zaległa cisza, ponieważ wszyscy obecni, żądni choćby najmniejszego skandalu, nadstawili ucha.

- Opanuj się, Simon!

Simon opadł z powrotem na krzesło, czerwony z wściekłości.

- Myślę, że właśnie to chciałeś mi powiedzieć, tak, Henry? Że Philip Delahaye chodzi po mieście i szarga dobre imię mojej siostry?

- No, niezupełnie... - Lord Henry przygryzł wargę.

Nietaktowne zachowanie Cheritona praktycznie nie pozwoliło mu wyjaśnić Simonowi, że podejrzewa jego siostrę o pewną mistyfikację, krótko mówiąc o to, że oszukała Phi-lipa Delahaye. Henry znał Jane od dziecka i bardzo ją cenił za lotny umysł. Gdy więc tylko usłyszał ponurą relację Phi-lipa z jego wizyty w Ambergate, natychmiast przypomniał sobie brzydką macochę z przedstawienia, jakie wystawiono w Ambergate przed laty. Po zastanowieniu uznał, że należy Simona ostrzec. Przyjaciel wprawdzie powinien wiedzieć o niewybaczalnej potwarzy, na jaką sobie pozwolił Philip wobec jego siostry, ale jednocześnie musi brać pod uwagę, że niefortunny konkurent został oszukany. Sprawa wydawała się dość delikatna. Awantura wisiała w powietrzu - wystarczyło tylko, by Philip i Jane się spotkali.

Gdy Henry wahał się jeszcze co do tego, czy podzielić się z Simonem wątpliwościami, ciszę przerwał kolejny głos.

- Czy panowie pozwolą, że im zajmę trochę czasu?

Ani Simon, ani lord Henry nie zauważyli pojawienia się nowego gościa, a jednak gdy podnieśli wzrok, zadali sobie pytanie, jak mogli nie odczuć panującego w sali napięcia. Nieco złośliwe nasłuchiwanie ustąpiło mieszaninie zdumienia i nabożnej czci. Simon pochwycił szept:

- To księżę Delahaye... Alexander Delahaye...

Kiedy Alexander przystawiał krzesło do ich stolika, na jego ustach igrał lekki uśmiezek.

- Chciałbym przeprosić panów za to, że im przerwałem rozmowę, ale mam sprawę niecierpiącą zwłoki.

- Simon, to jest Alex Delahaye - rzekł Henry, który kątem oka dostrzegł zainteresowanie, jakie wzbudzili. W każdej chwili mógł do nich podejść Cheriton, żeby pod pretekstem zaproszenia na wino podsłuchać, o czym mowa.

-A to jest Simon Verey. Wybacz, Alex, że tak nieformalnie dokonuję prezentacji, ale domyślam się, że chciałbyś szybko przejść do rzeczy.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- I nie mylisz się, Henry - odparł sucho księżę. - Miło mi pana poznać, lordzie Verey. Wiele słyszałem o pańskich zasługach podczas kampanii. Teraz jednak sprawy znacznie bliższe domu wymagają naszej uwagi. Czy dotarły może do pana ostatnie plotki?

- Właśnie przed chwilą o nich usłyszałem - ponuro rzekł Simon. - Małe nieporozumienie dotyczące starań pańskiego brata o rękę mojej siostry.

- Niezwykle delikatnie pan to ujął, co świadczy o szcze-

gólnej szlachetności z pańskiej strony - powiedział ze smutkiem Alex. - Ogromnie zależy mi na tym, żeby jak najszybciej uciąć wszelkie spekulacje na ten temat. Plotki są przesadzone i jak to zwykle bywa, wypaczają rzeczywistość. A mnie chodzi o to, że dziś wieczorem Philip ma być u Al-macka, gdzie niewątpliwie spotka się z panną Verey. Bardzo bym nie chciał, żeby spotkanie stało się publicznym spektaklem! - Obrzucił wzrokiem zatłoczoną salę i przysunął się bliżej razem z krzesłem. - Widzę, że wszystkie uszy są nastawione w naszą stronę.

- Już robią zakłady - rzekł wesoło Henry. - Pół na pół, że dojdzie do publicznej awantury, dwa do jednego, że panna Verey uda, że nie zna Philipa, i dwadzieścia do jednego, że to, co Philip o niej mówi, jest mimo wszystko, bez twojej obrazy, Simon, zgodne z prawdą.

Obaj - Simon i Alex - skrzywili się.

- Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, jak do tego do szło? - zapytał Simon. - Nalana twarz... głupkowata... prawie analfabetka... Tak mówił Cheriton, a do diabła, nie ma dymu bez ognia! Zachowanie pańskiego brata musiało być bardzo poniżające.

Alex obrzucił go zagadkowym spojrzeniem.

- Wyznaję, że ten aspekt sprawy mnie szczególnie inte resuje. Bez wątpienia Philip był w swoich opiniach bardziej swobodny, niż powinien, chociaż z drugiej strony plotka z pewnością wyolbrzymiła jego komentarze. Ale poznawszy pańską siostrę, lordzie Verey, widzę, że trudno o mniej trafną charakterystykę.

Simon uśmiechnął się, przeoczywszy, że nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytanie.

- No cóż, choć jestem jej bratem, muszę przyznać, że Jane wyrosła na diablo atrakcyjną pannę. Jedyne skutki tego jest taki, że pański brat wyszedł na durnia, Delahaye!

- Z pewnością - mruknął Alex i opróżnił szklankę. - Philip zapewne rozumie, że może mieć o to pretensję wyłącznie do siebie. Na wypadek jednak gdyby było inaczej, uważam, że powinniśmy mieć jakiś plan.

Henry uniósł brew.

- Masz na myśli jakąś dywersję, odwrócenie uwagi?

- Właśnie. Gdybyśmy we trzech poszli do Almacka i zadbali o odpowiednie wejście, ściągnąc na siebie całą uwagę, to byśmy w ten sposób wytrącili Philipowi broń z ręki i, jak sądzę, uratowali sytuację. Co panowie na to? Dochodzi jedenasta i jeżeli się nie pospieszymy, zamkną nam drzwi.

Wszyscy zgodnie przyjęli ten plan.

- Nigdy nie przypuszczałem, Alex, że się kiedykolwiek będziesz zajmował domowymi sprzeczkami! - powiedział lord Henry w zamyśleniu i wszyscy wstali.

Księżę posłał mu uśmiech pełen rozbawienia.

- To trudniejsze od stosunków dyplomatycznych między państwami, zapewniam cię.

- Nie wiedziałem, że pracujecie w tej samej branży - zauważył Simon, kiedy Alex w drodze do drzwi zatrzymał się, by zamienić kilka słów ze starym przyjacielem.

- Och, ja mam znacznie skromniejszą pozycję od księcia - rzekł Henry z żartobliwą iskierką w oku. - Ale zatrzymaj to przy sobie, bracie. Nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że go wydałem.

- Robi wrażenie mocnego człowieka, nie chciałbym stać się jego wrogiem.

Lord Henry zachował milczenie, choć miał ochotę powiedzieć, że jedyną ze znanych mu osób, która skutecznie oparła się planom księcia Delahaye, jest panna Jane Verey. Mimo deklaracji Aleksa, że chce jedynie zapobiec dalszym plotkom, Henry podejrzewał go o ukryte cele. Przypuszczał mianowicie, że książę postanowił dotrzeć do sedna tajemnicy dziwnej zmiany i powierzchowności, i osobowości Jane. Powściągając uśmiech, stwierdził, że nabrał dziwnej ochoty na wizytę u Almacka. Wysoko cenił Jane Verey za jej inteligencję i wdzięk, ale zakładając się, kto wyjdzie ze starcia zwycięsko, stawiałby zawsze na Aleksa.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jane umierała ze strachu przed debiutem u Almacka. Po spotkaniu z księciem Delahaye zrozumiała, że nadzieja na to, iż zdoła uniknąć spotkania z lordem Philipem, świadczyła jedynie o jej wyjątkowej naiwności. W tak niewielkim kręgu towarzyskim, w którym obracali się bracia, takie spotkanie było nieuniknione. Słyszała, że chociaż lord Philip był znanym rozpustnikiem i hazardzista, tylko najbardziej uparci zamykali przed nim drzwi swoich domów. Niewykluczone, że nawet pojawi się wieczorem u Almacka.

Jane bez trudu sobie wyobrażała, co się może zdarzyć podczas takiego spotkania. Wiedziała, że będzie ono straszne. Mogli na przykład natknąć się na siebie na zatłoczonej sali balowej i lord Philip mógł wszem wobec oświadczyć, że ma przed sobą oszustkę, a nie prawdziwą Jane Ve-rey. Albo oskarży ją o to, że wystrychnęła go na dudka, i wytworne damy odwrócą się od niej. Może też zażądać wyjaśnień, których ona nie będzie w stanie udzielić, a lady Verey i Simon będą oburzeni i wstrząśnięci jej zachowaniem, kiedy poznają prawdę. Zostanie w niesławie odesłana do Ambergate i pokrzyżuje w ten sposób plany zarówno Sophii, jak i sobie.

No i był jeszcze sam książę Delahaye, człowiek, który

przyjechał do Ambergate obejrzyć ją, jakby była rasowym koniem. Cały czas przeznaczony po południu na odpoczynek Jane spędziła rozmyślając o Aleksie. Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie jego widziała cztery lata temu w Ambergate. Wspomnienie tamtej nocy wryło się w jej pamięć na zawsze: płomień świecy, przystojny nieznajomy, tajemniczy sposób, w jaki się pojawił i zniknął... Wszystko to razem wydawało się takie romantyczne, a okazało się tylko pozorem. Przyjechał ubić z ojcem interes; pojawił się i zniknął w tajemnicy tylko po to, żeby wyszła za męża za jego brata. To, co się potem wydarzyło, było jego winą. Jane bardzo boleśnie przeżywała całą tę historię. Niepożądana oferta małżeńska, konieczność wybiegu i problemy, jakie z tego wynikły... a wszystkiemu winien Alex Delahaye. Arogancki i butny! Jane usiadła; wszelka nadzieja na odpoczynek prysła. Czuła, jak wzbiera w niej nowa fala gniewu, a wraz z nią dziwne uczucie żalu, że musiała go poznać akurat w takich okolicznościach.

Zacząła się przygotowywać do balu najwolniej, jak tylko mogła, w nadziei, że wydarzy się coś niefortunnego, co ich zatrzyma w domu. Że albo odpadnie koło powozu, albo konie dostaną kolki, albo lady Verey uzna, że Jane jest zbyt chora na to, by iść na bal, choć to ostatnie wobec jej zapewnień, że czuje się świetnie, było mało prawdopodobne...

Jane zmarszczyła czoło, z pomocą pokojówki zakładając wytworną białą suknię haftowaną w drobne liliowe kwiatki. Z jakichś powodów znów zaczęła myśleć o księciu Delahaye, który wydał jej się tak bardzo atrakcyjny. Musiała uczciwie przyznać sama przed sobą, że był to drugi powód, dla którego tak bardzo bała się balu. Myśl o tym, że spotka tam

Aleksa, napawała ją niepokojem i budziła lęk pomieszany z oczekiwaniem. Wrażenie, jakie na niej wywarł książę, przyspieszony puls, próbowała, choć bez większego przekonania, przypisać szokowi wywołanemu wypadkiem.

- Po cośmy przyjechali do tego miasta! - lamentowała

Jane, przyglądając się, jak pokojówka kończy czesać Sopię.

- Jestem dosłownie chora ze zdenerwowania.

Sophia kolejny raz przejrzała się w lustrze i grzecznie podziękowała dziewczynie. Poklepała Jane po ręce, spoglądając na nią z niepokojem.

- Och, Jane, to wszystko jest takie podniecające! Musisz przynajmniej próbować się dobrze bawić. Słowo daję, że nie wiem sama, czy mam zemdleć ze zdenerwowania, czy szaleć z radości!

Nawet entuzjazm Sophii przygasł nieco, kiedy przekroczyli sławetne progi. Jane była milcząca - rzecz tak dziwna, że lady Verey patrzyła na córkę zatroskana.

- Chodźcie, dziewczęta! Przynajmniej starajcie się robić wrażenie wesołych! Co się z wami dzieje, nie bądźcie takie niemrawe! O mój Boże...

Sale wyglądały zdecydowanie nędznie, ale towarzystwo było najwyraźniej zadowolone z siebie. Młode kobiety stały w niewielkich grupkach, z blaskiem w oczach, ale i złośliwym zainteresowaniem obserwując nowych gości. Ich matki, o znacznie surowszych twarzach, zachłannie patrzyły na młodych mężczyzn, którzy szacowali dziewczyny śmiało i chłodno. Strzępy rozmów przyływały i odpływały, wirując wokół nich.

- Trzydzieści dwa, o ile ona...

- Tylko dwa tysiące rocznie, kochani, i jak tu można mówić o przyzwoitym małżeństwie...

- Mówią, że jej dziadek był kupcem węglowym...

- Maluje się, ale skoro już, to powinna to robić staranniej. Wyraźnie widać, gdzie kończy się twarz, a zaczyna szyja, bo to są dwa różne kolory!

Ironiczne słowa raniły jak odłamki szkła.

- O mój Boże - bąknęła Sophia pod nosem, a Jane z jej tonu wywnioskowała, że przyjaciółka poczuła się nagle taka mała i niepewna jak ona. - Mimo wszystko nie wiem, czy będzie mi się tu podobało.

Powitała je z przesadną unizonością lady Jersey, która przyплыnęła do nich w przezroczyściej sukni z *eau-de-nil*. Jej piwne oczy błyszczały nie skrywaną ciekawością, a wyszukana suknia sprawiła, że Jane poczuła się w swojej białej skromnej sukience debiutantką jak kopciuszek. Gorące powitanie lady Jersey już samo w sobie wydało się Jane mocno podejrzanym.

- Moje kochane! - Lady Jersey jedną ręką ujęła dłoń Jane, a drugą Sophii. - Jestem bardzo szczęśliwa, że zdecydowałyście się przyjść. Cóż za odwaga w obliczu tak nieprzyjemnej plotki. Podziwiam was. A jak pani czarująco wygląda, panno Verey! Wkrótce wszyscy panowie się przekonają, jak trafna i sprawiedliwa była opinia lorda Philipa! Ale czegoż wymagać od takiego tępaka, który po trafi wziąć służkę za damę, jak to z pewnością w tym wypadku miało miejsce.

Lady Jersey odpłynęła, pozostawiając Jane, Sophię i lady Verey spoglądające po sobie z konsternacją.

- Co ona może mieć na myśli? - zadręczała się lady Ve-

rey, bawiąc się frędzlami szala. - Wielka szkoda, że nie ma tu z nami Simona! Obiecał, że będzie. Wszyscy na nas patrzą, jakież to deprymujące.

Jane wiedziała, że jej matka czuje się w tym egzotycznym tłumie jak uboga krewna, zwłaszcza że istotnie wszyscy zwracali na nie nadmierną uwagę. Było wcześniej, sale nie zdążyły się jeszcze zapęłnić i niewiele widziały wokół siebie znajomych twarzy. Od lat lady Verey nie przyjeżdżała do miasta, a nie miała bywających krewnych, którzy mogliby ją i dziewczęta wprowadzić na salony. Do Jane zaczynało docierać, że być przedmiotem ludzkiej ciekawości i nie mieć nikogo bliskiego, kto by pomógł, to bardzo niemiła sytuacja. Nagle lady Verey westchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu! Lady Eleanor Fane!

Groźna dama podeszła do nich, pocałowała lady Verey, a na Jane i Sopię spojrziała z aprobatą.

- Czarujące - powiedziała. - I to twoja zasługa, Clarisso.

- Eleanor, co za niesamowita historia! - zaczęła lady Verey. - Lady Jersey powiedziała coś bardzo dziwnego o Phi-lipie Delahaye i plotkach na temat Jane. I wszyscy na nas patrzą. Czy wiesz może...?

Jane zobaczyła na twarzy lady Eleanor coś w rodzaju zatroskania.

- Ta kobieta! - wyrzuciła z siebie ze złością lady Eleanor. - Owszem, mówiło się o pospiesznym wyjeździe lorda Philipa z Ambergate, ale to wszystko, Clarisso. - Uśmiechnęła się z aprobatą do Jane i Sopi. - Najlepsza metoda na odparcie plotek to być tu i wyglądać tak uroczo! Wiem, że mogę na was polegać, dziewczęta! Popatrz - lady Eleanor ujęła mocno lady Verey pod rękę - idą moi kuzynostwo Ap-

plefordowie. Uśmiechnij się, Clarisso! Nie odstrasжай dziewczynom adoratorów swoją ponurą miną.

Podeszli pani Appleford, jej córka Paulette i syn Roger. Roger poprosił Jane do tańca i już wkrótce obie dziewczyny były otoczone wianuszkami wielbicieli. Wymuszony uśmiech lady Verey ustąpił swobodnemu wyrazowi szczerej radości, gdy lady Eleanor zaprezentowała jej co najmniej połowę obecnej dziś śmietanki towarzyskiej, której przedstawiciele schlebiali Clarissie, zabiegając o możliwość zawarcia z nią znajomości.

Jane, tańcząca z lordem Blakeneyem, prawie zapomniała o swoich obawach, niestety jednak los pamiętał o niej dobrze. Na salę balową wkroczyło czterech młodych mężczyzn. Nawet ze swojego miejsca Jane widziała, jak wyciągają szyje, żeby cokolwiek zobaczyć. Na sobie też poczuła kilka ciekawych spojrzeń i z ciężkim sercem w jednym z dżentelmenów poznała lorda Philipa Delahaye. Zobaczyła, jak któryś z towarzyszących mu mężczyzn nachylił się do niego i jak lord Philip odwrócił się w jej stronę, błędząc wzrokiem po sali balowej.

Jane robiła wszystko, żeby jak najmniej rzucać się w oczy, i w miarę możliwości chowała się za innych. Niestety muzyka właśnie ucichła i lord Blakeney odprowadził ją do matki i lady Eleanor. Nagle zobaczyła, jak lord Philip w towarzystwie swoich kompanów zbliża się do nich leniwym, nonszalanckim krokiem. Zapało jej dech. Co ona ma mu, na miłość boską, powiedzieć?

- Lady Verey. - Ukłon lorda Philipa był znacznie elegantszy niż w czasie poprzedniego spotkania. - Ciociu Eleanor.

Lady Eleanor lekko zmarszczyła czoło. Lord Philip nie był jej pupilem.

- Jak się masz, Philipie? Co za niespodzianka spotkać cię tutaj. Myślałam, że nie masz czasu na Almacka!

Lord Philip był wyraźnie speszony. Na jego twarzy pojawił się lekki rumieniec. Jane pomyślała, że mimo dandyso-wskiego stroju, wygląda bardzo młodo. Mógł być od niej starszy nie więcej niż cztery lata. Jasna czupryna opadała mu na czoło w starannie zaaranżowanym nieładzie, a sztywny kołnierzyk koszuli uniemożliwiał swobodne ruchy głowy. Robił wrażenie sztubaka, który stara się wyglądać na dorosłego. Jane powściągnęła uśmiech.

- Chciałbym ponownie złożyć moje uszanowanie pannie Verey - wymamrotał, czerwieniąc się coraz bardziej, po czym zwrócił się do Jane: - Witam. Mam nadzieję, że będę mógł liczyć na taniec z panią?

Jane dygnęła skromnie, unikając jego wzroku.

- Witam - odparła bezbarwnym tonem. - Będzie mi bardzo miło.

Zapadło niezręczne milczenie. Koledzy lorda Philipa zaczęli się za jego plecami niepokoić. Spodziewali się ciekawszego spektaklu. Wymamrotali pod nosem jakieś przeprosiny i odpłynęli, pozostawiając przyjaciela w dość trudnej sytuacji.

- Bardzo pięknie, Philipie - powiedziała lady Eleanor z rozmyślnym brakiem taktu. - Każdy teraz zobaczy, że te głupie pogłoski to nic innego jak zwykle plotki! Pozwól, że cię przedstawię pannie Sophii Marchment, przyjaciółce panny Verey z Wiltshire. Panna Marchment - lord Philip Delahaye.

Lord Philip odwrócił się i po raz pierwszy spojrzął na Sopię. Jane, obserwując tę scenę z nagłym zainteresowaniem, zobaczyła moment, w którym Philip naprawdę dostrzegł jej przyjaciółkę, i pochwyciła wyraz jak gdyby zaskoczenia w jego oczach. Sophia zarumieniła się rozkosznie i dygnęła z wdziękiem.

- Witam pana - powiedziała. - Jestem szczęśliwa, że miałam okazję pana poznać.

Lord Philip w dalszym ciągu trzymał jej dłoń, jakby zupełnie o tym zapomniał. Spojrzenie jego błękitnych oczu było utkwione w twarz Sophii z wyrazem ni to oszołomienia, ni to zdziwienia.

No cóż - pomyślała Jane, trochę rozbawiona, a trochę zaniepokojona. Może jednak mimo wszystko lord Philip ma jakieś zalety, skoro od pierwszego wejrzenia dostrzegł wrodzone piękno i dobroć Sophii.

- Wielkie nieba! - powiedziała nagle lady Eleanor, a użycie tego wyrażenia świadczyło dobitnie o tym, jak bardzo musiała być wstrząśnięta. - Twój brat, Philipie! Przy szedł Alex. Jestem przekonana, że nigdy... nie pamiętam, że by kiedykolwiek przestąpił progi Almacka.

Na zwykle posępnej twarzy Philipa odmalowało się zaskoczenie.

- Najwyraźniej mnie pilnuje, proszę cioci - powiedział z wymuszonym uśmiechem. - Panno Marchmont - zwrócił się spieszenie do Sophii - czy zechce mi pani obiecać następny taniec?

- Naturalnie - odparła Sophia, nieśmiała i zmieszana. -Będę zaszczycona...

Lord Philip porwał ją na parkiet, zanim zdążyła dokoń-

czyć zdania. Lady Verey, lady Eleanor i Jane patrzyły na siebie z niedowierzaniem.

- A więc... - zaczęła lady Eleanor gwałtownie, ale Jane już jej nie słuchała. Całą uwagę skupiła na wysokiej postaci Alexandra Delahaye, który przemierzał salę balową, kierując się w ich stronę. W wieczorowym stroju prezentował się wspaniale; czerń i biel dodawały mu powagi i elegancji. W przeciwieństwie do Philipa bardzo ciemny, miał jedwabiste czarne włosy, które w świetle lśniły głębokim blaskiem. Jane niejasno zarejestrowała, że księciu towarzyszyli jej brat Simon i lord Henry Marchnight i że ich pojawienie się wywołało znacznie większe poruszenie niż wtargnięcie lorda Philipa z kompanią.

- Alex! - wykrzyknęła lady Eleanor, która zdążyła już odzyskać zimną krew. - Czy zawsze musisz wywoływać takie zamieszanie, gdziekolwiek się pojawisz? - Po czym zwróciła się z uśmiechem do Simona i lorda Henry'ego: -Panowie, pozwólcie, że wam pogratuluję: udało wam się zamienić wieczór u Almacka w wielkie wydarzenie towarzyskie. Jeżeli jesteście kawalerią, to przybywacie spóźnieni, ale szczęśliwie nie musicie nikogo ratować. Philip już wcześniej załatwił sprawę.

Księżę uniósł czarne brwi.

- Widziałem, że Ponsonby, Malters i Cheriton oczekują spektaklu! - powiedział sucho. - Mam nadzieję, że nie było problemów, proszę cioci?

Lady Eleanor uśmiechnęła się do niego z całkowitym zrozumieniem.

- Nawet Philip nie jest aż tak źle wychowany, żeby urządzić sceny u Almacka!

- Ja bym chciała, żeby ktoś mi powiedział, co to wszystko ma znaczyć! - Ton lady Verey był płaczliwy. - Przez cały wieczór nie słyszę nic innego, jak tylko aluzje i tajemnicze uwagi!

Simon odchrząknął.

- Skoro kryzys minął, pójdę przynieść coś do picia - za proponował. - Henry? Alex? Czego się napijecie?

Alex! - pomyślała Jane. Książę nie potrzebował wiele czasu, żeby się znaleźć na tak przyjaznej stopie z Simonem. Co zresztą nie wróżyło dobrze jej planom. Była świadoma tego, że Henry Marchnight patrzy na nią w zadumie, i poczuła wielką pustkę. Henry znał ją na tyle dobrze, że z pewnością się domyślał, co zrobiła w Ambergate, żeby się pozbyć Philipa. Czy ją wyda? Co gorsza, Alex Delahaye najwyraźniej nie był głupi - patrzył na nią teraz z mieszaniną rozbawienia i namysłu, znacznie bardziej niepokojącą niż przyjacielskie spojrzenie Henry'ego. Nagle Jane poczuła się tak, jakby dopadły ją wszystkie kłopoty naraz ze szczególną mściwością.

- Panno Verey - Alex odciągnął ją na bok, mówiąc bardzo łagodnym tonem. - Mam nadzieję, że już się pani po zbierała po wypadku? Odnoszę też wrażenie, że nie doznała pani poważniejszego uszczerbku na zdrowiu, ponieważ wygląda dziś pani olśniewająco!

Jane kątem oka dostrzegła wyraz osłupienia na twarzy lady Eleanor. Jej brwi zrównały się niemal z linią włosów. Książę Delahaye musiał równie rzadko prawić komplementy, jak tu bywać, ale Jane i tak nie brała serio tego, co mówił. Była głęboko przekonana, że są to z jego strony pierwsze posunięcia w grze, którą zamierzał z nią prowadzić.

- Tak, Wasza Wysokość, czuję się znacznie lepiej i chciałabym serdecznie podziękować za pomoc. - Jane była bardzo szczęśliwa, że jej głos brzmi tak spokojnie, chociaż serce waliło jak młotem.

Księżę wzruszył ramionami, bagatelizując sprawę.

- Jestem bardzo rad, że mogłem się na coś przydać, panno Verey. O, widzę, że nadchodzi lady Sefton. Czy mogę ją poprosić o pozwolenie na walca z panią?

Nawet lady Eleanor, mimo całego obycia, nie potrafiła ukryć zdumienia. Jane napotkała spojrzenie ciemnych oczu księcia i dostrzegła figlarne błyski. Aha, to znaczy, że mimo wszystko miała rację, podejrzewając, że księżę chce się zabawić jej kosztem. Pokusa, żeby na to odpowiedzieć, by mu pokazać, iż nie ma do czynienia z malowaną lalą, była bardzo silna, ale wydawało jej się to zbyt ryzykowne. Nie podejmie

gry!

- Dziękuję bardzo Waszej Księżęcej Mości, ale nie tańczę walca - powiedziała stanowczym tonem.

Jane patrzyła z satysfakcją, jak wyraz leniwego rozbawienia w oczach księcia ustępuje przebiegłej kalkulacji. Lady Verey, nieświadoma tego, co się między tym dwojgiem dzieje, podeszła gotowa w każdej chwili zażegnać ewentualne nieporozumienie.

- Och, Jane, nie przejmuj się. Nie będzie w tym nic niewłaściwego, jeśli zatańczysz walca, pod warunkiem naturalnie, że jedna z patronek Almacka wyrazi na to zgodę...

- Dziękuję, proszę mamy.

Jane, zła na matkę za tę nieproszoną, choć podyktowaną dobrą wolą interwencję, podniosła wzrok i znów napotkała spojrzenie księcia, a co gorsza, zorientowała się, że czyta on

w jej myślach. Powrócił do nich wyraz rozbawienia. Wiedziała, że dostała mata.

- Lady Sefton - powiedział Alex bardzo wyraźnie, zwracając się do nadchodzącej patronki - czy zechce mnie pani zarekomendować panie Verey jako odpowiedniego partnera do walca?

Lady Sefton wyraziła pełną życzliwości aprobatę, zgodziła się więc i Jane. Czyż zresztą mogło być inaczej? Jane wiedziała, że księżę nie przyjmie odmowy. A tymczasem w drugim końcu sali balowej rozgrywała się inna scena: lady Jersey, nie chcąc być gorsza, udzielała nad wyraz chętnemu lordowi Philipowi pozwolenia na zatańczenie walca z Sophią.

Lady Verey, która nagle uświadomiła sobie, że w swojej trosce o Jane zaniedbuje Sophię, wydała lekki okrzyk.

- Och, Eleanor, on ją prosi do walca już po raz drugi, i to bez żadnej przerwy. Jestem przekonana, że Sophia potrafi się zachować, ale wolałabym, żeby bardziej uważała na siebie. A poza tym... - Powróciła spojrzeniem do córki. - Lord Philip chyba powinien tańczyć z Jane.

Jane dygnęła przed matką układnie.

- Ależ nie, proszę mamy - powiedziała przymilnie. - Jeśli księżę raczył zwrócić na mnie uwagę, to chyba nie mogę narzekać...

- A zatem zapraszam - rzekł Alex łagodnie, tonem, który sugerował, że chętnie nazwałby ją figlarką - zaczynają grać!

Jane podała Aleksowi rękę z uczuciem, że to, co się dzieje, przekracza jej zrozumienie. Gwar był ogłuszający. Częścią świadomości Jane uczestniczyła w rozbrzmiewających obok

rozmowach, ale wszystkimi zmysłami chłonęła bliskość Aleksa Delahaye.

I właśnie to uczucie bliskości wydawało jej się bardzo intymne, ale zarazem i całkiem przyjemne, jeszcze intensywniejsze niż wtedy po południu. Jedną dłoń Jane spoczywała lekko na jego szerokim ramieniu, podczas gdy drugą Alex zamknął w swojej. Dotyk palców księcia szalenie ją rozpraszał i Jane za wszelką cenę starała się o nim nie myśleć. Nie może się zbłąźnić u Almacka!

Usiłowała się skoncentrować na kroku walca. Jako dobra tancerka potrafiła docenić kunszt partnera, który w niczym jej nie ustępował. Poza tym był to doskonały pretekst do tego, by nie rozmawiać w tańcu i nie patrzeć na księcia, co już do reszty wytrąciłoby ją z równowagi. Patrzyła więc na wirujące dokoła nich pary, a szczególnie na Philipa i Sophię, która - Jane nie miała co do tego wątpliwości - cały czas paplała. Lord Philip uśmiechał się, robiąc wrażenie po chłopięcemu szczęśliwego. Było to naprawdę niezwykle przeobrażenie.

- Chyba nie jest tak źle, prawda? - powiedział ironicznie książę po tym, jak dwukrotnie okrążyli w milczeniu salę. - Rozumiem, że gdyby pani miała wybór, panno Verey, to by pani ze mną nie tańczyła mimo pani sympatycznej uwagi! Ma pani zręczny sposób udzielania reprimendy. Było to dla mnie zbawienne doświadczenie.

Jane uniosła brwi i przygryzła usta, próbując powstrzymać uśmiech. Błysk w oku księcia był zaraźliwy.

- Pan mnie zaskakuje, książę! Myślałam, że pana godność osobista jest znacznie bardziej odporna.

Alex Delahaye uśmiechnął się; nagle wydał jej się bardzo młody, chłopięcy, jak jego brat.

- Cóż, pozory potrafią mylić, panno Verey! Nie uważa pani?

Nagle Jane stała się czujna. Nie było najmniejszego powodu, żeby słowom księcia przypisywać jakieś podwójne znaczenie, mimo to miała się na baczności. Alex Delahaye był zbyt spostrzegawczy i Jane nie mogła sobie pozwolić na to, żeby mu zaufać.

- Owszem, muszę przyznać, że tak się czasem zdarza - powiedziała ostrożnie. - W tym towarzystwie niewiele wi dać poza samymi tylko pozorami.

Jane zobaczyła, że uśmiech księcia ustępuje wyrazowi autentycznego rozbawienia.

- To prawda, panno Verey, ale czasem to właśnie te pozory potrafią zwieść. Czego świetnym przykładem może być chociażby wizyta mojego brata w Ambergate.

Jane dosłownie podskoczyła w ramionach Aleksa; nie miała wątpliwości, że nie uszło to jego uwagi. Błyskawicznym spojrzeniem obrzuciła jego twarz i stwierdziła, że w uśmiechu księcia jest teraz coś wyzywającego.

- Nie rozumiem, co Wasza Książęca Mość ma na myśli - powiedziała z największym opanowaniem, na jakie pozwalały jej emocje - ale nie żałuję wyniku wizyty lorda Phi-lipa. Uważam, że jego konkury w ogóle nie były potrzebne!

- Czy może raczej podjęła pani stosowne kroki, by nie doszły one do skutku? - zapytał książę, a jego leniwe spojrzenie było tym razem dość czujne. - Mam dziwne podejrzenie, panno Verey, że wystrychnęła pani mego brata na dudka!

- Ależ skądże znowu, Wasza Książęca Mość! - Jane unikała wzroku Aleksa, wpatrując się w wirujących dokoła tan-

cerzy. - Cokolwiek pański brat osiągnął, zawdzięcza tylko sobie.

Na moment ramię księcia, otaczające jej talię, zeszywniało. Spojrzał na nią z nie ukrywaniem rozbawieniem.

- Brawo, panno Verey! Ma pani całkowitą rację, że nie dyskrecje mojego brata związane z wizytą w Ambergate bardzo źle świadczą o jego wychowaniu. Ale może został sprowokowany? Może przedstawiła mu się pani jako zupełnie inna panna Jane Verey niż ta, którą mamy okazję podziwiać dziś wieczór?

Jane zawahała się. Nie miała pojęcia, co księżę mógł wiedzieć, a czego się tylko domyślał. Żałowała, że w ogóle wdała się w tę żalospną aferę! Jakżeż łatwo się zdradzić przy okazji takiej mistyfikacji...

Widząc wahanie Jane, księżę powiedział łagodnie:

- Philip naturalnie opisał już spotkanie w Ambergate, może teraz pani zechciałaby przedstawić swoją wersję wydarzeń?

Podjęła decyzję.

- Nie sądzę, księżę, żeby to było celowe. Raczej ambasujące i zbędne. Jak pan widzi, wszystko zostało dziś wieczór zapomniane i wybaczone.

Księżę skinął głową.

- Ma pani rację. Może rzeczywiście lepiej tego nie ruszać. Proszę jednak zaspokoić moją ciekawość, panno Verey! Jak pani się przebrała? Musi być pani utalentowaną aktorką...

Jane poczerwieniała; ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Mógł ją równie dobrze nazwać utalentowaną kłamczuchą.

- Za pozwoleniem Waszej Księżęcej Mości wolałabym zmienić temat...

- Słusznie, skoro mogłoby to ukazać panią w niezbyt korzystnym świetle... - zgodził się książę. - To przebranie, cały ten podstęp...

- Ale, książę...

- Nie, nie - mruknął Alex - proszę nic więcej nie mówić, panno Verey.

Chciałbym pani oszczędzić upokorzenia.

W oczach Jane błysnął niepokój.

- Chyba wręcz odwrotnie, Wasza Książęca Mość. I odniósł pan pełny sukces!

- Ależ skąd! - W udawaniu oburzenia Alex okazał się nie gorszym aktorem niż Jane. - Pani się myli, panno Verey! W takich sytuacjach wina nigdy nie leży po stronie damy!

Jane uśmiechnęła się z przymusem. Zupełnie nie wiedziała, jak to się stało, że książę zrzucił na nią całą winę i jednocześnie tak zręcznie wykręcił kota ogonem, żeby wyglądało, iż jest po jej stronie!

- Widzę, że Wasza Książęca Mość jest bardzo rozpieszczony - powiedziała niemądrze. - I nie przyzwyczajony, by ktoś się sprzeciwiał jego woli - oto prawdziwa przyczyna pańskiego gniewu.

Oczy Aleksa zwężyły się w wyrazie niedowierzania i rozbawienia, po czym książę wybuchnął śmiechem.

- Cóż za bystra młoda dama z pani, panno Verey, i jaka przy tym śmiała! Ma pani rację, bardzo nie lubię, gdy ktoś pokrzyżuje mi plany. Niestety, pani spryt tylko mnie utwierdził w przekonaniu, że jest pani odpowiednią kandydatką na żonę dla mojego brata. - Tym razem pod pozorami delikatności w głosie Aleksa zabrzmiał stanowczy ton. - Zamierzam doprowadzić do tego małżeństwa mimo pani wysiłków, by temu przeszkodzić!

Jane omal się nie potknęła i nie pomyliła kroku. Nigdy nie przypuszczała, że książę nie zmieni decyzji i że mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, będzie w dalszym ciągu obstawał przy swoim. Chyba jasno dała do zrozumienia, zarówno słowem, jak i czynem, że nie poślubi lorda Philipa? Jednak Alexander Delahaye albo jej nie słyszał, albo całkowicie lekceważył jej słowa. Jego ostatnie protekcyjne uwagi świadczyły o tym, że traktuje ją jak przemądrale dziecko, z którym się można trochę pobawić, ale od którego ostatecznie należy egzekwować bezwzględne posłuszeństwo.

- Bardzo mi przykro to słyszeć, Wasza Książęca Mość
- powiedziała wolno. - Nie żartowałam mówiąc, że konkury lorda Philipa były niepotrzebne, i nie zamierzam w tej sprawie zmienić zdania.

- Proszę jednak zrozumieć - mówił dalej łagodnie Alex
- że Philip potrzebuje mądrej żony, a pani okazała się ze wszech miar odpowiednią kandydatką, panno Verey. Gdy mężczyźni brak... pewnych przymiotów, dobrze jest, by ży ciowa partnerka wypełniła te luki. Idealna kombinacja!

Znów Jane mignęli Philip i Sophia i ich jasne, pochylone ku sobie głowy. Śmieli się z tego, co właśnie powiedział Philip. Jane poczuła ukłucie.

- Czy nie sądzi pan, książę, że dla lorda Philipa możliwość samodzielnego wybrania sobie żony byłaby znacznie korzystniejsza? - zapytała desperacko. - Zapewne czułby się bardziej z taką osobą związany.

- Na szczęście nie musimy się przejmować jego życzeniami - odparł książę surowo. - Wybrałem panią i Philip doskonale o tym wie. Najważniejsze są dla niego finansowe korzyści płynące z tego związku.

Jane poczuła, jak w obliczu arogancji księcia traci zimną krew.

- Ale nie muszą być najważniejsze dla mnie! Bardzo panu dziękuję!

Książę zaśmiał się rubasznie.

- Są jeszcze inne korzyści... mam bardzo mocną pozycję towarzyską, panno Verey. Słowo tu, aluzja tam... A reputacja to krucha rzecz. Proszę pomyśleć, jak przykre byłoby dla pani matki, gdyby drzwi najlepszych domów przed panią zamknęto. Jestem przekonany, że tego by pani nie chciała. A i panna Marchmont ucierpiałaby przy okazji...

Jane przez dłuższą chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Słyszała w tle muzykę i miała uczucie, że Alex Delahaye i ona są zupełnie sami. Jego twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- Rozumiem, że pan mi grozi, książę - powiedziała wolno. - Pomimo różnicy zdań uważałam pana za człowieka prawego, ale być może się myliłam. Czuję się w obowiązku ostrzec pana, że nie należę do osób podatnych na przymus.

- Istotnie, było to bardzo niezręczne z mojej strony. Nigdy bym się do tego nie zniżył, panno Verey. Bardzo panią przepraszam. Może wobec tego jest pani bardziej podatna na perswazję rodziny? Zainwestowanie pieniędzy w Ambergate byłoby wielką pomocą dla pani brata. Gdybyśmy byli spowinowaceni, mógłbym mu pomóc...

Jane rzuciła mu ponure spojrzenie.

- Widziałam, z jaką łatwością zyskał pan jego zaufanie. Simon nie zasługuje na fałszywą przyjaźń!

Książę objął ją mocniej w tali. Jane brakło tchu, jakby muzyka wokół niej wirowała coraz szybciej i szybciej.

- Och, moja przyjaźń byłaby prawdziwa - powiedział miłym tonem. - Bardzo szanuję pani brata i nigdy bym mu nie podsunął fałszywej monety. Chciałem jedynie pani pokazać, że istnieją różne drogi wiodące do celu! Muszę panią ostrzec przed próbami skrzyżowania ze mną szpad. Miałyby pani niewielkie szanse na zwycięstwo...

Jane obawiała się, że książę ma w tym wypadku rację. Połączone siły Aleksa i lady Verey byłyby z pewnością trudne do pokonania, zwłaszcza przy wsparciu lady Eleanor Fane i Simona. Mogliby w swoim dążeniu do obopólnie korzystnego związku stopniowo łamać jej opór, całkowicie ignorując życzenia. Jane zauważyła zafascynowaną twarz lady Jersey, która przyglądała im się z obrzeży parkietu. Zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Będę pamiętała o pańskim ostrzeżeniu, Wasza Książęca Mość!

- Moja ciekawość nie została jednak zaspokojona, panno Verey - powiedział wolno Alex. - Czy pani nieugięta postawa w sprawie małżeństwa oznacza, że jest pani zaangażowana uczuciowo gdzie indziej?

- Nie, książę - odparła Jane stanowczym tonem - nie jestem.

- A zatem ma pani romantyczne usposobienie? Szkoda, myślałem, że jest pani znacznie bardziej praktyczna. Nie podejrzewałem w pani tak sentymentalnej osoby.

- Nie uważam, by oczekiwanie związku opartego na wzajemnym szacunku, jeśli już nie miłości, należało poczytywać za sentymentalizm - odparła wzburzona. Wyglądało na to, że z jednego konfliktu popadła w drugi. Czy ten koszmarny taniec nigdy się nie skończy? Nie zjedzie

przecież w trakcie walca z parkietu! - To może raczej poglądy Waszej Księżęcej Mości na małżeństwo są jakieś dziwne. Może stanowią wynik osobistych doświadczeń, które kazały księciu tak stanowczo odrzucić miłość romantyczną!

Wiedziała, że posunęła się za daleko, zanim jeszcze błysk w jego ciemnych oczach powiedział jej, że trafiła w czuły punkt. Zdrady i flirty Madeline Delahaye były tajemnicą poliszynela, ale Jane zdawała sobie sprawę, że mówienie o tym przy księciu dowodziło szczególnego braku delikatności z jej strony. Zamknęła oczy w oczekiwaniu zasłużonej reprimendy. Co innego bronić własnych ideałów i zachowań, a co innego dotykać czyjeś tragedii osobistej.

- Może ma pani rację, panno Verey - powiedział z goryczą książę Delahaye. Jego usta tworzyły cienką linię, ale oprócz gniewu Jane dostrzegła w twarzy Aleksa ból. Ogarnęło ją współczucie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że tak bardzo kochał żonę, że jeszcze osiem lat po jej śmierci można go było zranić. Jak mogła tak bezmyślnie odgrzebać sprawy, których nie należało ruszać.

- Bardzo mi przykro... - zaczęła, ale natychmiast przerwał jej ostrzej i bardziej gwałtownie niż dotychczas.

- Zupełnie niepotrzebnie, panno Verey! Nie musi mi pani okazywać współczucia. Nie potrzebuję go od pani!

Jane z trudem powstrzymała łzy. Jakby tego było mało, że miał ją za oszukaniec, to jeszcze teraz posądzenie, że chciała go zranić! Zamierzała raz jeszcze przeprosić Aleksa, ale w jego nieprzejednanej, surowej twarzy było coś, co ją powstrzymało.

Muzyka ucichła i Jane złożyła głęboki ukłon. Czowała, że

cała dygocze i że ogarniają gniew i rozpacz. Z jednej strony gotowała się ze złości na aroganckie zachowanie Aleksa, z drugiej palił ją wstyd na wspomnienie tego, co mu powiedziała. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z efektem, jaki wywarła na niej fizyczna bliskość księcia. Była przygnębiona. A co gorsza, nie mogła się wycofać, nie mogła się ukryć przed wścibskimi spojrzeniami i natrętnymi pytaniami bliskich. Jej karnet był wypełniony, a to znaczyło, że do końca wieczoru musi się uśmiechać. Nawet wtedy, kiedy lord Philip poniewczasie i z dość nadąsaną miną poprowadzi ją do kontredansa. Pod koniec wieczoru Jane życzyła zarówno całej rodzinie Delahaye'ów, jak i pozostałemu towarzystwu, żeby ich pochłonęło piekło.

Księżę, wracający o świcie do Haye House pod absurdalnie romantycznym księżycem w pełni, przeżywał różne dziwne i nieznane uczucia. Nie przyjął zaproszenia Simona i Henry'ego, by iść zaraz po balu do Brooksa, ale umówił się tam z nimi nazajutrz wieczorem. W tym momencie wiedział tylko jedno: że potrzebuje samotności.

Panna Verey... Po starciu podczas walca praktycznie go zignorowała i nawet nie mógł mieć do niej o to pretensji. Wstydził się swojego zachowania i uważał je za niewybaczalne. Do Almacka nie chodzi się po to, żeby wysłuchiwać gróźb i impertynenecji. Panna Verey jest młoda i niedoświadczona i nie zasługuje na takie szorstkie traktowanie.

Problem polegał na tym, że go zbyt szybko rozszyfrowała. To prawda, że był zły, ponieważ próbowała pokrzyżować mu plany. Rzeczywiście w swoich kalkulacjach nie uwzględniła uczuć Jane, ale teraz, kiedy ją poznał, nie mógł jej dłużej

lekceważyć. Lekceważyć Jane! Zaśmiał się smutno. To było absolutnie niemożliwe!

Wyprostował ramiona. Nie był przyzwyczajony do poczucia winy. Za sprawą panny Verey je miał i na dodatek zmusiła go, by zweryfikował własne sądy! No cóż, Philip musi się ożenić, co do tego nie ma wątpliwości. Jego mariaż z panną Verey był gorącym życzeniem ich dziadka, a któż sobie poradzi z kimś takim jak Philip, jeśli nie dziewczyna, która już dała się poznać jako uosobienie bystrości i sprytu? Poza tym Alex był przekonany, że panna Verey szybko zmięknie. Pobyt w mieście ją przekona, że Philip nie jest złą partią. Wszystkie młode panny chcą dobrze wyjść za mąż, dlaczego ona miałaby stanowić wyjątek? Ten pokaz krnąbrności to niewątpliwie tylko pozory i z pewnością skończy się uległością i posłuszeństwem.

Sprawa została załatwiona. Alex westchnął głęboko. Będzie w dalszym ciągu starał się doprowadzić do zaręczyn, choć w nieco subtelniejszy sposób. Panna Verey wkrótce się podda i zapomną o całym tym zamieszaniu. Zmarszczył brwi. Ta decyzja powinna mu była przynieść ulgę, a jednak dalej czuł się niezadowolony. I to z bliżej nie określonej winy panny Verey. Co za uparta, nieznośna smarkuła! Kto by pomyślał, że Clarissa Verey, osoba o kurzym mózdzku, może być matką tak nietuzinkowej córki!

Dotarł do portyku Haye House i miał już wejść na stopnie, kiedy stało się coś niezwykłego. Z idealną wprost dokładnością przypomniał sobie delikatność ciała Jane Verey, przezroczystość jej skóry i blask wielkich oczu. Wyobraźnia, zwykle poddana rygorom zdrowego rozsądku, tym razem podsunęła mu obraz nagiej Jane, którą trzy-

mał w ramionach, i jej rozchylonych warg przy jego ustach. Wrażenie było tak silne i tak szokujące, że Alex stanął jak wryty. Natychmiastowe ostre pragnienie, jakiego doznał, przekonało go o sile wyobraźni.

- A niech to wszyscy diabli - powiedział z mocą i zapukał do drzwi znacznie silniej, niżby tego wymagały okoliczności.

- Och, Jane! - Sophia leżała zwinięta w kłębek w nogach łóżka przyjaciółki, z brodą wspartą na ręce. - Powiedz, czy nie był to najpiękniejszy wieczór od stu lat? A lord Philip... czy nie jest naj... - Urwała, rumieniąc się lekko. - Wiem, że opuścił Ambergate w nieprzyzwoitym pośpiechu - dodała gwałtownie. - Zresztą przyznał, że zachował się w sposób niegodny dżentelmena, ale... ale przecież nie jest wcale taki zły. Wydał mi się nawet czarujący i wesoły, i w ogóle taki, jaki powinien być młody mężczyzna!

Jane odłożyła szczotkę do włosów i przyjrzała się odbiciu przyjaciółki w lustrze.

- Widziałam, że rozmowa z nim pochłonęła cię bez reszty - powiedziała prowokacyjnie. - Bawiłaś się lepiej ode mnie.

Oczy Sophii migotały w świetle płomienia świecy.

- Możliwe, bo ty musiałaś być grzeczna dla tego groźnego księcia. A ja i lord Philip mieliśmy sobie masę rzeczy do powiedzenia. Czuję się tak, jakbym go znała od zawsze. - Twarz Sophii zachmurzyła się na moment. - Chyba nie masz do mnie o to żalu?

Jane potrząsnęła głową.

- Jeśli o mnie chodzi - najmniejszego. Ale... - zawahała

się. - Czy lord Phillip mówił ci, że księżę Delahaye ma plany co do jego przyszłości...
bardzo konkretne plany?

- Tak. - Sophia objęła tekami kolana. - Ale jestem przekonana, że nie muszę się
martwić o plany księcia dotyczące ożenku lorda Philipa, bo... bo... - Sophia
zawstydzila się nagle. - Bo lord Philip nie może ożenić się z nikim poza mną! Och,
Jane, to on jest tym mężczyzną, o którym śniłam przed laty w wigilię świętej
Agnieszki. Poznałam go natychmiast, gdy tylko go zobaczyłam!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jane gapiła się na przyjaciółkę w osłupieniu.

- Co ty opowiadasz! To jakaś dziecinada!

Twarz Sophii się wydłużyła.

- Ale, Jane, ja myślałam, że ci to nie przeszkadza. Przed chwilą powiedziałaś...

- Wiem. - Jane szybkim ruchem położyła rękę na dłoni przyjaciółki. - Mnie to naprawdę zupełnie nie przeszkadza, wiesz, że o żadnych konkurach między mną a lordem Philipem mowy być nie może! Ale legenda o wigilii świętej Agnieszki jest tylko legendą, niczym więcej.

Sophia nie dawała za wygraną.

- Wiem tylko, że wtedy, tamtej nocy, śniłam o lordzie Philipie i teraz go spotkałam! Dla mnie to jest bardzo proste.

Jane wiedziała, że nie ma co z przyjaciółką dyskutować. Sophia, na ogół delikatna, uległa dziewczyna, czasem potrafiła być niesamowicie uparta. A poza tym, kto wie? Śniła o przystojnym młodym mężczyźnie i teraz uważa, że go spotkała. Z pewnością zakochała się po uszy. Ale najdziwniejsze było to, że lord Philip wyglądał na równie zakochanego. Jane, wspominając nieokrzesanego młodego człowieka, który odwiedził Ambergate, zaczęła się zastanawiać, czy to przypadkiem frustracja i złość nie były przyczyną jego ka-

rygodnych zachowań. Nie ulegało wątpliwości, że Alexander Delahaye jest człowiekiem apodyktycznym i potrafi wystawić na próbę cierpliwość świętego, o czym sama miała okazję się przekonać, więc cóż mówić o bracie...

Przysunęła się do Sophii i uściskała ją serdecznie.

- Och, Sophy, tak mi przykro! Nie chciałam wyjść na nie dowiarka! Cieszę się, że jesteś szczęśliwa!

Sophia uścisnęła Jane w odpowiedzi i natychmiast odzyskała humor.

- Ach, jakież to podniecające, Jane! Bardzo żałuję, że tamtej nocy nie przyśnił ci się twój przyszły mąż! To by było fantastyczne.

Jane próbowała pohamować uśmiech.

- Jeśli mam być szczerą, to owszem, śnił mi się tamtej nocy mężczyzna, ale...

Sophia złapała ją za ramię.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Kto to był?

Jane spuściła oczy.

- Ach, to nic takiego, Sophy! Obudziłam się w nocy i spotkałam na korytarzu mężczyznę, a potem o nim śniłam, ale okazał się po prostu jednym z gości rodziców...

Sophia zmarszczyła czoło. Skupiła się na tym, co było naprawdę ważne.

- Ale kto to był, Jane?

- To był książę Delahaye - odparła z ociąganiem Jane. Sophia zapiszczała i przytknęła dłoń do ust. Jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe.

- Jane! No dobrze, książę, ale...

- Mówiłam ci, że legenda nie może być prawdą - powiedziała szybko Jane. - A poza tym widziałam go na jawie

i chociaż później mi się przyśnił, to jestem pewna, że nie można tego traktować poważnie.

Sophia nie podzielała jej pewności. Z uporem potrząsnęła głową.

- Ale poszłaś spać bez kolacji? I nie patrzyłaś za siebie, mam nadzieję?

- Nie - przyznała Jane, żałując, że w ogóle o tym wspomniała. - To prawda, że zachowałam wszystkie warunki, ale...

- A więc to musi się sprawdzić! - Niebieskie oczy Sophii otworzyły się jeszcze szerzej. - Och, Jane, księżę Delahaye, tylko pomyśl!

Jane myślała. Z drżeniem, częściowo wywołanym lękiem, a częściowo rozkoszą, wspominała dziwne wrażenie, jakie wywarł na niej Alex. Czy wyjście za niego za mąż byłoby takie straszne? Zaraz jednak uświadomiła sobie, że księżę chciał, by poślubiła jego brata i że jest w dalszym ciągu zakochany w swojej zmarłej żonie. Jakich jeszcze potrzebuje argumentów, żeby zrozumieć, iż to wszystko jest z jej strony tylko głupim urojeniem? Wślizgnęła się do łóżka.

- To musi być nonsens, Sophy - powiedziała z mocą. - Jeżeli Alexander Delahaye okaże się moim przyszłym mężem, to dostaniesz ode mnie te jedwabne rękawiczki, które ci się tak podobają, i do tego jeszcze słomkowy kapelusik ze wstążkami pod kolor. To najlepszy dowód, jak bardzo jestem pewna, że nigdy do tego nie dojdzie!

Wyglądało na to, że Sophia tak samo pragnie zobaczyć lorda Philipa, jak Jane tego uniknąć. Przy śniadaniu Jane słyszała, jak jej przyjaciółka podśpiewuje, i dostrzegła na jej

twarzą wyraz rozmarzenia. Kiedy zaczęli schodzić się goście, błękitne oczy Sophii tak patrzyły w drzwi, jak oczy psa wyczekującego pana. Za każdym jednak razem kiedy nowo przybyły okazywał się nie tym, na kogo czekała, na jej twarzy pojawiał się wyraz rozczarowania. Cała gromada czujnych matek w towarzystwie swoich pełnych nadziei córek wypełniła różowy salonik, a lorda Philipa jak nie było, tak nie było.

Szmer rozmów i brzęk filiżanek stawał się coraz głośniejszy. Kilka pań zauważyło nieobecność lorda Philipa i z fałszywymi uśmiechami dogadywało Jane. Wiele panien spoglądało spod rzęs na Simona, który sprawiał wrażenie, że się gdzieś bardzo spieszy. Niejedna debiutantką westchnęła nad smutną, romantyczną historią Aleksa Delahaye.

Otworzyły się drzwi i wszedł lord Philip. Panie zaczęły szczebiotać, wyraźnie podekscytowane. Jane dyskretnie podeszła do grupy debiutantek i usiadła pośrodku nich, spokojna, że nie znajdzie się tam już miejsce dla lorda Philipa. Zobaczyła, że lady Verey spogląda w jej stronę znacząco, więc odwróciła się, udając pogrążoną w rozmowie. Kiedy ponownie uniosła wzrok, lord Philip siedział już obok Sophii, zarumienionej z radości.

Lady Verey jednak nie podzielała jej uczuć. Kiedy goście opuścili ich salon, wzięła córkę na bok.

- Jane Verey - skarciła ją ostro - jesteś prowokatką! Lord Philip przyszedł tu specjalnie, żeby się z tobą zobaczyć. Jeżeli sądzisz, że pobudzisz jego zainteresowanie, udając obojętność, to jesteś bardzo niemądra. Mężczyzna potrzebuje czasem delikatnej zachęty - tu uśmiech, tam miłe słówko... Postaraj się być dla niego miłsza...

Jane miała ochotę odpowiedzieć, że lord Philip ma dość zachęty z zupełnie innej strony, ale ugryzła się w język. Sophia zrobiła się biała jak ściana i udawała, że nie słyszy, co mówi lady Verey. Mruknąwszy pod nosem jakąś wymówkę, wymknęła się z pokoju. Lady Verey prawie tego nie zauważyła.

- Chyba mama widzi - powiedziała przymilnie Jane - że lord Philip nie szuka mojego towarzystwa, tak zresztą jak i ja jego. Zupełnie do siebie nie pasujemy.

Lady Verey poczuła się dotknięta.

- Nie pasujecie do siebie!? Co za nonsens! Jest moim gorącym życzeniem, by lord Philip wznowił starania! Jutro będzie na kolacji u lady Winterstoke i oczekuję zdecydowanej zmiany w twoim zachowaniu wobec niego! Proszę cię, Jane, żebyś mu okazała przychylność.

- Za pozwoleniem - odezwał się kamerdyner Golding, który niepostrzeżenie wszedł do salonu. - Dla panny Jane jest bukietek. - Strzelił z palców i lokaj podbiegł z małym, ale wytwornym bukietkiem różowych różyczek.

Wyraz irytacji na twarzy lady Verey ustąpił szerokiemu uśmiechowi.

- To niewątpliwie od lorda Philipa! Co za głuptas, z pewnością wstydział się wręczyć go osobiście!

Jane wzięła bukietek, zastanawiając się, jak jej matka może gorąco popierać człowieka, który jeszcze miesiąc temu był wobec niej tak niegrzeczny. Widocznie wolała potraktować zachowanie lorda Philipa jako chwilowy wybryk, przejaw chłopięcej beztroski. Sama musiała jednak przyznać, że kwiatki były piękne: każdy pąk, w kolorze nasyconego różu, dopiero zaczynał się rozwijać. Wyjęła karteczkę i oddała

kwiaty lokajowi, żeby je wstawił do wazonu. Miała ochotę je odesłać, ale zdawała sobie sprawę z tego, że byłoby to w najwyższym stopniu nie na miejscu i że lady Verey nigdy by się na to nie zgodziła. Nie potrafiła się jednak oprzeć ciekawości, co zawierał bilecik. Cóż mógłby jej mieć do powiedzenia lord Philip, co by nie było albo ordynarne, albo nieszczerze?

Jednak zamaszyste czarne litery wyszły spod innej ręki. Liścik nie zawierał żadnej treści, tylko nazwisko: Alexander Delahaye.

Jane wstrzymała oddech i przycisnęła bilecik do piersi w obawie, że matka mogłaby jej go wyrwać. Lady Verey w dalszym ciągu szczebiotała na temat lorda Philipa i tego, w jak trafny sposób wybrał kwiaty, a Jane tego nie prosto- wała. Pod pierwszym lepszym pretekstem wymknęła się na górę, do swojej sypialni. Bukiecik stanął na stoliku przy oknie, ciesząc oko różowością pąków, lekko muśniętych złotem. Jane zawahała się. Mogła podrzeć bilecik i wyrzucić, zamiast tego jednak schowała go do szuflady, gdzie spoczął na miękkim pościeli z jedwabnych wstążek.

Sensacją przyjęcia u lady Winterstoke okazała się obecność nie lorda Philipa Delahaye, tylko jego starszego brata. Od lat panie z najlepszych domów starały się wyciągnąć księcia z odosobnienia, które sam sobie narzucił, na próżno kusząc go wykwinnym jedzeniem i towarzystwem. Od lat odrzucał wszelkie zaproszenia. Tego wieczoru zrobił wyjątek, pojawiając się wraz z lordem Philipem w przekonującym akcie braterskiej solidarności i ku niekłamanemu zadowoleniu tryumfującej lady Winterstoke.

Na widok braci serce Jane zamarło. Wyglądało na to, że księżę i lord Philip nieustannie deptają jej po piętach, przysparzając samych kłopotów. Ostatecznie to Alexander Delahaye poprzysiągł sobie, że zwalczy jej opór i doprowadzi do małżeństwa z Philipem. Wiele myślała nad bukietem, który jej przysłał, i ostatecznie doszła do wniosku, że próbował w ten sposób wpłynąć na jej uczucia w sprawie tego mariażu. No cóż... - ładna buzia Jane przybrała wyraz zacieklego uporu - nic z tego nie wyjdzie. Mimo romantycznych pozorów tego gestu Alex Delahaye próbował nią manipulować.

Kiedy więc przed kolacją lady Winterstoke przyprowadziła do nich księcia i lorda Philipa, Jane miała bardzo surowy wyraz twarzy.

- Zamierzałem spytać, jak się pani bawi - Alex przeciągał słowa - ale ma pani tak nieprzystępną minę, że nawet nie śmiem! Czyżby nie służył pani Londyn?

Jane rozejrzała się, czy przypadkiem nie ma w pobliżu jej matki, ale szczęśliwie lady Verey była pogrążona w rozmowie z lordem Philipem, mającej na celu odwrócenie jego uwagi od Sophii. Jane posłała księciu olśniewający uśmiech.

- Nie jest tak źle, Wasza Księżęca Mość! Teatry i koncerty są źródłem wspaniałej rozrywki. Najgorzej przedstawia się sprawa towarzystwa: ci sami ludzie mówią te same rzeczy na tych samych przyjęciach.

Alex uśmiechnął się.

- To bardzo szczerą opinią, panno Verey! Nie boi się pani narazić na szwank pozycji towarzyskiej, zajmując tak ekscentryczne stanowisko? Na młodych damach wyrafinowane uroki miasta robią na ogół wielkie wrażenie!

- A mnie się wydaje, że w salonach zbyt wiele mówi się

nonsensów - powiedziała rzeczowo Jane. - Jeżeli ludziom odpowiada towarzystwo i różne rozrywki, to ich sprawa, jeśli zaś wolą inaczej spędzać czas, to powinni mieć wolny wybór.

- Jakież to niezwykle, a zarazem jakie prawdziwe! - odparł Alex uprzejmie. - Pani jest osobą nieustraszoną, panno Verey. Nie znam drugiej damy, która by się ośmieliła głosić takie poglądy, nawet gdyby je wyznawała.

- Jeśli wierzyć pogłoskom, pan również nie gustuje w urokach tutejszej socjety - odcięła się Jane, czując, że przestaje panować nad językiem. - Słyszałam, że księżę De-lahaye zamyka się w północnej warowni, mając za towarzystwo jedynie książki.

- I wierne psy - dodał Alex. - Proszę nie zapominać o psach, panno Verey! I cóż jeszcze o mnie mówią?

- O, wiele rzeczy - odparła Jane, bawiąc się wachlarzem - ale żadna z nich nie nadaje się do powtórzenia przez młodą damę w towarzystwie.

Roześmieli się oboje i przystanęli, patrząc na siebie w milczeniu, w którym wyczuwało się napięcie.

Zaledwie o krok od nich Sophia szczebiotała z jedną z przyjaciółek. Jane usiłowała przerwać milczenie.

- Chciałam panu podziękować za kwiaty, są bardzo ładne.

- Dojrzałem w nich podobieństwo do pani - powiedział nagle Alex. - Proszę mi wybaczyć, panno Verey, ale muszę iść.

Jane brakło tchu; była speszona. Wyobrażała sobie księcia jako mężczyznę nawykłego do prawienia komplementów, ale jego nieoczekiwane słowa i szybka rejterada nie miały nic wspólnego z obyciem, jakiego po nim oczekiwała. Z za-

chmurzonym czołem patrzyła, jak przemierza pokój, zatrzymuje się, by zamienić parę słów z jakimś dystyngowanym dżentelmenem w mundurze, a następnie wpada w zasadzkę efektownej blondynki w obcisłej czerwonej sukni z jedwabiu. Jane poczuła, jak ogarnia ją przygnębienie.

Wymówiwszy się przed matką, wymknęła się do salonu dla pań, żeby nie musieć prowadzić konwersacji z lordem Philipem. Poprawiając fryzurę, doszła do wniosku, że księżę może ją ubiec, aranżując sprawy tak, by to lord Philip poprowadził ją do kolacji. Miejsca przy stole z pewnością były już wyznaczone, ale wystarczyłoby jedno słowo Aleksa, by lady Winterstoke zmieniła plany. Zerkając w stronę korytarza, czy nie jest obserwowana, postanowiła okrężną drogą dotrzeć do jadalni i sprawdzić bileciki.

Jej podejrzenia potwierdziły się w pełni. Lord Philip miał siedzieć obok niej i jednocześnie bardzo daleko od Sophii. Jane dokonała niewielkiej poprawki. Była już w drodze powrotnej do salonu, kiedy w drzwiach zderzyła się z szeroką męską piersią.

- Och!

- O, widzę, że znów się spotykamy, panno Verey - powiedział księżę Delahaye tonem zwodniczo łagodnym, któremu Jane nauczyła się już nie ufać. - Czyżby pani coś zgubiła?

- Nie! - Jane zdawała sobie sprawę, że się rumieni w poczuciu winy. - To znaczy... to znaczy zablądziłam!

- Rozumiem. Myślałem, że to dobry apetyt kazał pani wyprzedzić nas wszystkich w wyścigu do stołu.

Jane była zaskoczona.

- A któż to panu powiedział, że ja tak lubię jeść, jeśli wolno spytać?

- Chyba... moja ciotka, lady Eleanor. Wspominała kiedyś, że ma pani wielkie upodobanie do słodczy. - Alex po dał Jane ramię i razem poszli w stronę salonu. - Może to nie-elegancko z mojej strony, że o tym mówię, ale muszę wy znać, że bardzo to pani służy, panno Verey! Nie wszystkie młode damy mogą sobie folgować przy stole tak, by się to nie odbiło na ich wyglądzie.

Jane w poczuciu ulgi, że nie została złapana na gorącym uczynku, a jednocześnie pełna wyrzutów sumienia, że znów pozwoliła sobie na mistyfikację, zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Alex przyglądał jej się z nie ukrywanym zainteresowaniem.

- Nie wiem, czy to poczucie winy, czy zadowolenie tak wpływa na pani wygląd, panno Verey. Wolałbym jednak, żeby przyczyną tych rumieńców były tylko moje komplementy...

- Z pewnością większość młodych kobiet poczułaby się wyróżniona komplementami Jego Książęcej Mości - odparła ze słodczą Jane.

- Z wyjątkiem pani, tak, panno Verey? Takie bowiem implikacje, jeśli dobrze zrozumiałem, zawierały pani słowa?

- No cóż, zawsze mi mówiono, że jestem inna niż wszyscy... - odparta niewinnie Jane. - Pan sam to powiedział, książę! - Dygnęła przed nim zgrabnie i podeszła do matki, starając się nie oglądać.

Alex patrzył, jak odchodzi.

- Istotnie, panno Verey - mruknął pod nosem - jest pani zupełnie inna niż wszyscy. Zaryzykowałbym nawet opinię, że jest pani wielce oryginalna!

Przyszedł kamerdyner oznajmić, że podano do stołu. Jane

z zachwytem patrzyła, jak Alex wypełnia swoje obowiązki, prowadząc do stołu szacowną hrabinę w królewskich fioletach. Uznała, że w ten sposób zyska pole do manewru, jakim miała być zmiana partnera, zwłaszcza że następną parą okazała się lady Verey z pewnym podstarzałym baronetem, który z dumą podał jej ramię, najwyraźniej pochlebiony tym wyróżnieniem. W ten sposób została usunięta ostatnia przeszkoda, zagrażająca planom Jane. Wystarczyło teraz tylko, by poproszono lorda Philipa o spełnienie powinności i poprowadzenie jej do stołu. Ale lord Philip najwyraźniej nie miał ochoty zrezygnować z towarzystwa Sophii. Jane zastanawiała się, czy zamierzają mimo wszystko zignorować, i pomyślała, że byłoby to zabawne po trudach, jakie poniosła. Ale nie, Sophia delikatnie zachęcała swego towarzysza, by poprowadził jej przyjaciółkę. Kiedy Jane zobaczyła, że lord Philip się zbliża, wyszła mu naprzeciw, by go uprzedzić. Pochyliła głowę, dotykając delikatnie jego rękawa.

- Bardzo mi przykro, milordzie - powiedziała z ujmującym uśmiechem - ale wydaje mi się, że zaszła pomyłka. Tak się składa, że widziałam plan stołu, i zauważyłam, że lady Winterstoke popełniła błąd i zamiast mnie posadziła koło pana pannę Marchment. - Jane zauważyła, że lord Philip posyła Sophii pełne niedowierzania spojrzenie, i dodała: - Żeby nie sprawiać gospodyni kłopotu, zamienimy się z Sophią partnerami. Myślę, że lord Blakeney zgodzi się dotrzymać mi towarzystwa, o ile pan będzie tak miły i poda ramię pannie Marchment.

- Pannie Marchment? Ależ oczywiście! - Zanim Jane skończyła mówić, lord Philip był już znów u boku Sophii i szeptał jej coś poważnie do ucha. A potem przyjaciółka

spojrzała na Jane pytająco, na co ta odpowiedziała uśmiechem i zachęcającym skinieniem głowy.

- Bardzo mi przykro, milordzie - zwróciła się do lorda Blakeneya - ale będzie pan musiał zadowolić się moim skromnym towarzystwem, zamiast panny Marchment. To wszystko jednak w imię szlachetnych celów.

Lady Winterstoke chciała, by lord Philip prowadził do stołu pannę Verey, była więc przerażona, widząc, jak mało brakowało, by wybuchł skandal towarzyski.

Kiedy jednak zobaczyła, jak lord Philip troskliwie sadza przy stole Sophię, a lord Blakeney Jane i jak wszystkie bileciki w tajemniczy sposób zmieniły miejsca, mogła tylko dziękować opatrności, że obie dziewczyny chętnie zaakceptowały zmianę partnera. Pokojówki musiały pomylić bileciki, co było bardzo irytujące, ponieważ dostały wyraźne instrukcje. Taki towarzyski skandal mógłby całkowicie zrujnować jej reputację jako gospodyni modnej w tym sezonie.

Z westchnieniem ulgi lady Winterstoke zabrała się za zupę z rzeżuchy. Rzuciła jeszcze okiem w stronę księcia Dela-haye, uświadamiając sobie, że to właśnie jemu tak bardzo zależało na tym, by lord Philip towarzyszył przy stole pannie Verey. Zauważyła również, że i Alex obserwuje Jane Verey z mieszaniną goryczy i rozbawienia.

Jane także czuła jego spojrzenie. Wiedziała, że ją rozszyfrował. Wystarczy, że sobie przypomni, jak ją spotkał w jadalni, i natychmiast się zorientuje, że go znów okłamała. Ta myśl sprawiła, że poczuła się bardziej nieszczęśliwa, niżby się mogła spodziewać. Zaciśnęła usta. Uprzedziła go, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby uniknąć zalotów lorda Phi-

lipa. Jeśli książę był o niej kiepskiego zdania, to ta sytuacja tylko umocni go w przekonaniu, że ma do czynienia z osobą nie gardzącą kłamstwem i intrygą.

Po kolacji rozpoczęto tańce w salonie. Wirująca w ramionach lorda Blakeneya Jane stwierdziła, że bawi się świetnie. W chwilę później zobaczyła księcia Delahaye znów rozmawiającego z elegancką blondynką, i zmieniła zdanie. Mimo wszystko wieczór był żalosnym nudziarstwem.

- Lady Francine Dennery - wyjaśnił lord Blakeney w odpowiedzi na jej nie zadane pytanie. - Jest wdową po je denastym hrabim Dennery i plagą dwunastego, który nie znosi swojej niegodziwej macochy! Nikt tak naprawdę nie wie, skąd ona pochodzi, ale wszyscy się orientują, dokąd zmierza. Ma zamiar uwieńczyć swoją karierę księżącą koro ną!

Wyglądało na to, że lady Dennery znalazła odpowiednią ofiarę. Jej nachylona jasna głowa niemal dotykała ciemnej głowy księcia, a na czerwonych ustach gościł prowokacyjny uśmiech. Jane zobaczyła, jak lady Dennery musnęła palcami dłoń księcia w intymnym, wiele mówiącym geście. Odwróciła się szybko.

Ostatnim tańcem tego wieczoru był kadryl i Jane obiecała go Henry'emu Marchnightowi. Była więc bardzo zaskoczona, kiedy zamiast Henry'ego podszedł do niej książę Delahaye.

- Marchnight polecił mi, żebym panią w jego imieniu przeprosił i zaproponował w zastępstwie moją skromną oso bę - powiedział, uśmiechając się do lady Verey w sposób, który - ku zaniepokojeniu Jane - sprawił, że wszelkie opory

biednej matki zostały przełamane. - Jego siostra potknęła się o falbanę sukni i skrzyła nogę, w związku z czym Henry musi ją natychmiast odwiedzić do domu. Obiecałem mu, że postaram się wynagrodzić pani straty.

- Jestem przekonana, Wasza Książęca Mość, że Jane czuje się wielce zaszczycona - pospieszyła z zapewnieniem lady Verey, widząc, że córka nie kwapi się z odpowiedzią. - Jane - dodała ostro - podziękuj księciu za jego uprzejmość!

Jane odniosła wrażenie, że Alex się skrzywił.

- Zapewniam panią, że cała przyjemność po mojej stronie - rzekł - ale jeśli panna Verey jest memu towarzystwu nierada...

Jane napotkała jego spojrzenie. Spodziewała się w nim znaleźć kpinę, jakież jednak było jej zaskoczenie, kiedy w oczach księcia nie dostrzegła nawet uśmiechu. Z jakichś względów odczuła nagłą potrzebę podtrzymania go na duchu. Było to śmieszne - Alex jako książę korzystał z wszelkich możliwych przywilejów, jakie wynikały z jego starszeństwa, i z pewnością nie potrzebował zapewnień takiej młodej dziewczyny jak ona, że jego towarzystwo jest jej miłe. A jednak...

- Dziękuję, książę - wymamrotała - będzie mi bardzo miło zatańczyć z panem.

Alex wziął ją za rękę z tak uszczęśliwioną miną, że poczuła przyspieszone bicie serca. Omal się nie cofnęła, z przerażeniem stwierdzając, że pod wpływem dotyku księcia jej puls zaczyna szaleć. Świadomość, że w jego bliskości jest tak bezbronna, zarówno w sensie psychicznym, jak i fizycznym, była szokująca. Jane nie umiała sobie poradzić z własnymi uczuciami; wiedziała tylko jedno: że wplątuje się w coś, co jest zbyt skomplikowane, by mogła nad tym zapanować.

- Ten wieczór z pewnością zapisze pani po stronie swoich sukcesów, nieprawdaż, panno Verey? - powiedział Alex tak cicho, że nikt poza nią nie mógł tego słyszeć. - Podziwiam pani manewry przy stole. Pogratulować strategii!

W tym momencie wypadła figura taneczna, która ich rozdzieliła.

- Dziękuję Waszej Księżęcej Mości - odparła Jane, kiedy się znów połączyli.

Alex skwitował to szerokim uśmiechem, który wydał się Jane niepokojący.

- Widzę, że darowała sobie pani zbyt liczne zaprzeczenia. I to też w pani podziwiam, panno Verey. - Uśmiech znikł z twarzy księcia i zastąpiło go ostre spojrzenie. - Na punkty pani wygrywa, ale gra się jeszcze nie skończyła, panno Verey! Jeszcze zobaczymy, kto będzie triumfował na końcu.

Serce Jane zamarło, ale na jej twarzy odmalował się wyraz najczystszej niewinności.

- Będziemy zatem księcia często widywali...

- Mam nadzieję.

- Czy wybiera się pan we czwartek na bal maskowy do lady Aston?

Słyszałam, że pana brat jest zaproszony...

- Bal maskowy! - Alex robił wrażenie zaskoczonego. - Co za okazja do wprowadzania ludzi w błąd, panno Verey!

Taniec się skończył. Jane dygnęła.

- Tak, Wasza Księżęca Mość, już nie możemy się doczekać! Mam różowe domino, które, jak mi mówią, może zrobić furorę!

Alex ujął dłoń Jane i pocałował; jego oczy śmiały się do niej.

- Czyżby pani zdradzała tajemnice wrogowi, panno Verey?

- Może tak, a może nie. - Wyrwała mu rękę, zanim zdążył poczuć jej drżenie i odkryć, jak reaguje na jego bliskość. Tej tajemnicy nade wszystko nie chciała zdradzić. Sama nie wiedziała, dlaczego wspomniała księciu o balu maskowym; z punktu widzenia jej planów byłoby lepiej, gdyby Aleksa na nim nie było. Jednak pragnienie zobaczenia go było bardzo silne i bardzo niebezpieczne. Wołała nie analizować powodów tego stanu zbyt dokładnie.

Kiedy ją odprowadzał do lady Verey, zauważyła znaczące spojrzenie, jakie mu rzuciła lady Dennery. Jane natychmiast poczuła się niedojrzała i naiwna - jak mogła ulec czarowi mężczyzny, który najwyraźniej wołał bardziej wyrafinowane towarzystwo? Niewątpliwie odprowadzi ją do matki i zaraz o niej zapomni. Co to za głupota z jej strony - spodziewać się czegokolwiek więcej! Ale o taką naiwność może mieć pretensję tylko do siebie.

Kiedy nazajutrz rano Jane zeszła na dół, zastała Simona samego w saloniku śniadaniowym. Był w stroju do konnej jazdy i przeglądał „Morning Post”, ale kiedy Jane usiadła naprzeciwko niego, odłożył gazetę.

- Dzień dobry, siostrzyczko, jak się miewasz?

Nalał jej kawy, a Jane nałożyła sobie sporą porcję jajecznicy na bekonie.

- Dziękuję, bardzo dobrze. - Posłała mu poważne spojrzenie. - Simon, muszę cię o coś zapytać. Jak to się stało, że tak szybko zaprzyjaźniłeś się z księciem Delahaye? Jest to dla mnie wyjątkowo niefortunna sytuacja, bo akurat potrze-

buję twojej pomocy w walce z tym idiotycznym przedsięwzięciem, jakim jest pomysł wydania mnie za lorda Philipa.

Simon zmarszczył czoło. Był przyzwyczajony do bezpośredniości siostry, ale kilka lat spędzonych z dala od niej uspiło jego czujność i napełniło fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Patrzył na nią krytycznie, gdy pochłaniała śniadanie z szybkością świadcząca zarówno o wspaniałym apetycie, jak i niedostatku dobrych manier. Musiał jednak przyznać, że wyrosła na wyjątkowo atrakcyjną młodą dziewczynę o kruczoczarnych włosach i pięknie zarysowanych czarnych brwiach, które tylko podkreślały błysk inteligencji w orzechowych oczach. Z pewnością nie była wiejską gąską, ale też Simon nie mógł jej sobie wyobrazić w roli panny szukającej męża w eleganckim towarzystwie. No cóż, pomysł, żeby wyszła za mąż z rozsądku za lorda Philipa, też wydawał się absurdalny. Tylko że Simon wiedział, jak bardzo zależało na tym ich matce, a i Alex Delahaye zdawał się na to nalegać... Westchnął zatroskany. Nie ma dwóch zdań, czeka go trudne zadanie.

Niecierpliwie bębnienie szczupłych palców siostry po stole uświadomiło mu, że Jane czeka na jego odpowiedź.

- Alex i ja nie jesteśmy takimi znów bliskimi przyjaciółmi - zaczął kręcić.
- Alex! - przerwała mu Jane z pogardą w głosie. - To ciekawe, w każdym razie jesteście co najmniej po imieniu!

Simon znów westchnął. Z gniewnego błysku w oczach siostry wywnioskował, że sprawa nie będzie łatwa.

- Alex Delahaye jest przyjacielem Henry'ego March-
nighta... - powiedział ostrożnie. - Poprosił Henry'ego, żeby
nas sobie przedstawił, bo... bo chciał uniknąć trudności...

trudności, jakie mogłyby powstać w związku z zachowaniem lorda Philipa wobec ciebie. Wyprawa do Ambergate i pogłoski... - brnął Simon.

- Trudności? - Jane natychmiast zmieniła temat. - Po wiedz mi, Simon, co tak naprawdę mówił o mnie lord Philip.

Simon poruszył się na krześle, unikając wzroku siostry. Nie chciał od nowa wywoływać fali złośliwych plotek.

- Nic specjalnego! Teraz, kiedy, wszystko już jakoś zostało zażegnane, lepiej do tego nie wracać. Alex wolał uniknąć nieporozumień czy też obawiał się, że wyzwe Philipa na pojedynek... tak jakby nie szkoda było mojego czasu na takiego głupiego szczeniaka!

- Rozumiem. - Jane wolno mieszała kawę. - Skoro sam jesteś o nim tak kiepskiego mniemania, to chyba nie powinieneś się dziwić, że odrzucam jego konkury. A zatem mogę liczyć na twoje wsparcie?

Simon zorientował się, że popełnił błąd taktyczny. Najwyraźniej o dziesiątej rano Jane miała umysł świeższy od jego własnego. Uśmiechnął się niepewnie.

- Kłopot polega na tym... - zawahał się. Wiedział, że za chwilę Jane nie zostawi na nim suchej nitki. - Kłopot polega na tym, że właśnie dziś rano mamy zawrzeć transakcję... -Przyglądał się, jak siostra odstawia filiżankę i przygważdża go wzrokiem niepokojąco wielkich oczu. - Wiedząc o moich kłopotach finansowych, związanych z Ambergate, Alex zgodził się dać mi awansem na bardzo dogodnych warunkach pewną sumę.

- Mówisz jak Pettishaw - powiedziała Jane ze zwodniczym spokojem. - Czy chcesz powiedzieć, że sprzedajesz mnie lordowi Philipowi w zamian za pożyczkę, która umo-

żliwi ci poprawienie kondycji Ambergate? Wiem, że dom koniecznie wymaga remontu, ale czy nie uważasz, że szczęście twojej siostry jest zbyt wysoką za to ceną?

- Do diabła, Jane! To nie jest powieść z biblioteki objazdowej - mówił bezładnie Simon, którego nękały wyrzuty sumienia. - Nic takiego nie miałem na myśli! Oczywiście, że nie musisz wychodzić za niego za mąż, jeśli nie masz ochoty, ale ... - Spojrzał szybko na jej twarz. - Gdybyś tylko zechciała przez kilka tygodni być dla niego miła... niesłuchanie by mi to pomogło! Prawda jest taka, że nigdy nie miałbym szansy uzyskać pieniędzy na takich dogodnych warunkach, więc skoro Alex zaoferował pomoc...

- Właśnie, niby dlaczego miałby oferować pomoc? - zapytała niewinnym tonem Jane. W uszach brzmiały jej słowa Aleksa Delahaye, wypowiedziane u Almacka. Zainwestowanie w Ambergate bardzo by pomogło pani bratu... zawsze jest sposób...

- Uważaj, Simon, kiedy będziesz podpisywał umowę, żeby się nagle nie okazało, że całe twoje dziedzictwo zniknie w rozległych majątkach Delahaye'ów!

Simon najwyraźniej poczuł się dotknięty.

- Co takiego, do diabła, popełnił Alex, że sobie zasłużył na podobnie obelżywe traktowanie? Robisz z niego niele-dwie lichwiarza! Z tego, co wiem, jest najuczciwszym part nerem w interesach, jakiego tylko można sobie wyobrazić. Daj że wreszcie spokój!

Jane wzdrygnęła się, trochę zawstydzona. Przecież nie powie Simonowi o tym, jak jej groził u Almacka, a skoro uznał za stosowne ją przeprosić, to dalsze podejrzenia pod jego adresem są po prostu niegodziwe. Jednakże... mimo wszystko

czuła się nieswojo. Myśl o tym, że Alex miałby udział w Ambergate i że jego przyjaźń z Simonem się zacieśnia... nie, tego było zdecydowanie za wiele. Grzanka stanęła jej w gardle. Z niechęcią patrzyła na maselnickę. Nie, tego dłużej nie zniesie! Alex Delahaye osiągnął to, czego nie dokazał nikt inny: zniechęcił ją do jedzenia!

Po wyjściu Simona, w głębi duszy zadowolonego, że siostra nie wywołała sceny, Jane naląła sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i usiadła wygodnie, żeby się zastanowić nad sytuacją. Uwierzyła księciu od razu, kiedy powiedział, że gra się dopiero zaczęła. Nie należało go lekceważyć. Lekko speszona pomyślała, że Alex szybko się na niej poznał. Protekcyjne traktowanie, jakie jej okazał u Almacka, ustąpiło miejsca czemuś znacznie bardziej niepokojącemu - czujnemu respektowi, jaki się okazuje prawdziwym przeciwnikom. Bariery wydawały się takie groźne... W mniejszym czy większym stopniu miała przeciwko sobie własną rodzinę, która byłaby najszczęśliwsza, gdyby mogła ją widzieć jako żonę lorda Philipa, tak samo jak księżę i lady Eleanor. A co gorsza, musiała się jeszcze bronić przed swoim własnym przewrotnym sercem, które mimo jej oporów miało w sobie znacznie więcej ciepłych uczuć dla Alexandra Delahaye, niż wymagałby spokój jej ducha.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Och, Jane! Powiedz, czy to nie cudowne? - wykrzyknęła Sophia. Jej oczy lśniły zza maski jak gwiazdy, gdy obserwowała kolorowy tłum w salonie lady Aston. Drżącymi palcami wygładzała różowe domino. - Nie mogę się doczekać, kiedy przyjdą księżę i lord Philip. Założyłam się z lordem Philipem, że mnie nie znajdzie w tym tłumie!

Jane spojrzała na rozpromienioną twarz przyjaciółki i pomyślała, że mimo przebrania rozpoznanie jej nie zajmie lordowi Philipowi więcej niż dwie minuty. Wyglądało na to, że przy każdej okazji coś nieodpartego ciągnęło tych dwoje ku sobie.

Tego wieczora lady Verey, z nagłym bólem głowy, została w domu. Jane i Sophia przybyły więc pod wątpliwą opieką kuzynki, pani Brantledge. Dama miała własną córkę, którą pragnęła wprowadzić do salonów i która, jak by to można określić bez zbytniej życzliwości, w wieku dwudziestu trzech lat siała rutkę. Szczęśliwie ostatnio pojawił się na horyzoncie starający, którego zarówno panna Brantledge, jak i jej matka za wszelką cenę usiłowały zachęcić. Simon Verey zgodził się wprawdzie towarzyszyć siostrze, ale poszedł wprost do pokoju karcianego i wszystko wskazywało na to, że nie ruszy się z niego do końca wieczoru. Dziewczęta pozostały więc zdane na siebie, co było nawet po myśli Jane,

która mogła w ten sposób z większą swobodą realizować swoje plany.

Sophia złapała ją za rękę.

- Jane! Przyszedł! Jest lord Philip!

Jane była zdumiona, że jej przyjaciółka w kłębiącym się przy drzwiach tłumie dostrzegła lorda Philipa, jednak Sophia robiła wrażenie całkowicie pewnej. Okazało się, że miała rację, już po chwili bowiem lord Philip, czarujący w czarnej pelerynie, znalazł się przy nich.

- Panno Verey? - zagadnął ostrożnie, zwracając się do różowego domina - czy zrobi mi pani zaszczyt i zechce ze mną zatańczyć?

- Z przyjemnością, sir - odparła cicho Sophia.

Lord Philip zeszywniał. Jego wzrok powędrował od różowego domina do ubranej w podobne, tylko szafirowe, Jane, która uśmiechnęła się zachęcająco, ale w milczeniu. Lord Philip ponownie zwrócił się do Sophii, ale tym razem jego ton zmienił się całkowicie, znacznie złagodniał.

- To wielka przyjemność móc panią znów oglądać - powiedział. - Mam nadzieję, że czuje się pani dobrze? Stanowczo zbyt długo się nie widzieliśmy!

- Dziękuję, czuję się bardzo dobrze - odparła Sophia, równie podekscytowana i szczęśliwa jak on. - To wstyd, milordzie, że nie widzieliśmy się cały długi dzień!

- Czy może wraz z panem przyszedł i pański brat? - Jane nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. Tłumaczyła sobie, że ta wiadomość jest jej niezbędna ze względów strategicznych, ale kiedy lord Philip potrząsnął głową, była bardzo rozczarowana.

- Obawiam się, że Alex odwołał swoje przyście. Chyba

ze względu na jakieś zobowiązania wobec lady Dennery. Twierdzi, że w jego wieku opera jest znacznie stosowniej sza niż bal. - Lord Philip rozłożył ręce. - Dał mi swój strój i polecił tańczyć z piękną damą w różowym dominie, a ja zamierzam skorzystać z jego rad. - Podał ramię Sophii i ruszyli w stronę parkietu.

Jane westchnęła. Poczula się nagle jakaś pusta, jakby cała radość i podniecenie wieczoru gdzieś uleciały. Na myśl o własnej przewrotności zmarszczyła czoło. Czy mogło ją spotkać coś lepszego? Lady Verey i księżę nieobecni, Simon zajęty i nie ma nikogo, kto by zauważył, że zamieniły się z Sophią na stroje!

Na lewo od niej pani Brantledge stała pogrążona w rozmowie z inną matką.

- Co za wspaniała koligacja dla mojej ukochanej Evelyn! Ojciec pana Coombersona zrobił wielką fortunę, ale to człowiek niepracujący i dobrze wykształcony, z piękną posiadłością w Hertfordshire! Jestem przekonana, że skończy się to małżeństwem. - I pani Brantledge zaczęła szczegółowo omawiać perspektywy Evelyn.

Wszystko wskazywało na to, że Jane jest jedyną panną bez partnera, co by jej wcale nie przeszkadzało, gdyby nie miała w tak irytujący sposób myśli zaprzątniętych osobą księcia Delahaye. To, że krążyły akurat wokół niego, było zupełnie niezrozumiałe, jako że od kiedy zaczęła bywać, poznała kilku młodych mężczyzn dobrze urodzonych i o nieposzlakowanej reputacji, a przecież żaden z nich w najmniejszym nawet stopniu nie wzbudził w niej zainteresowania, gdy tymczasem osoba Aleksa Delahaye, całkowicie niedostępna i zupełnie wobec niej obojętna, nie dawała jej spokoju.

No cóż, zawsze na pociechę miała jedzenie, a już poczuła, że jest głodna... Szepnąwszy słówko pani Brantledge, wymknęła się z sali balowej. W sąsiednim pokoju na długim stole przygotowano wspaniały bufet i poustawiano krzesła, tak by goście mogli się podczas jedzenia zbierać w grupki. Na stole piętrzyły się najwspanialsze potrawy, wokół których unosił się smakowity zapach. Jane napłynęła ślinka do ust.

W pokoju nie było żywego ducha. Podeszła na palcach i sięgnęła po porcję pieroga z kurczakiem. Był wyborny, lekki i delikatny, z kruszonką na wierzchu. Oblizała palce i popatrzyła niepewnie na puste miejsce na półmisku. Ktoś je z pewnością zauważy.

- Szanowna pani sama?

Podskoczyła gwałtownie. Nie słyszała żadnych kroków, chociaż pilnie uważała na czujną zawsze służbę. Mimo to niemal dokładnie za nią stał mężczyzna w ciemnozielonym dominie.

Wzrok widocznych zza maski czarnych oczu wędrował od jej zarumienionej twarzy, na której malowało się poczucie winy, do pustego miejsca na półmisku.

- Mogłaby pani tak poukładać pozostałe kawałki - dora dził z lekkim uśmiechem - żeby nie było nic widać. Jestem przekonany, że nikt by nie zauważył braku - pod jednym wszakże warunkiem: że usunie pani i to... - Mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął policzka Jane. Na podłogę spadł okruch ciasta.

Nie miał rękawiczek, a jego dotyk niemal parzył. Jane zrobiła gwałtowny krok do tyłu. Natychmiast, mimo domina i maski, poznała, z kim ma do czynienia. Wiedziała to z całą pewnością, gdy tylko jej dotknął.

Lokaj i pokojówka wnieśli wielkie srebrne patery owoców, przerywając ciszę.

- Może powinienem zaprowadzić panią z powrotem na salę balową - powiedział łagodnie Alex Delahaye. W jego głosie była jakaś niezrozumiała nuta. Podał jej ramię, a ona przyjęła je w milczeniu. Czuła się tak, jakby od jego dotyku świerbiło ją całe ciało. Ich wzajemne rozpoznanie się nie było sprawą imion czy nawet twarzy, tylko czymś znacznie głębszym.

- Musi mi pani powiedzieć, jak mam się do niej zwracać - rzekł książę, przeciągając słowa i prowadząc ją wzdłuż kolumnady otaczającej salę balową i z dala od ciekawskich spojrzeń pani Brantledge. - To ważne, żeby na balu maskowym jak najwcześniej ustalać takie rzeczy; może być pani równie dobrze księżną jak dójką w przebraniu!

Jane uśmiechnęła się lekko, wspominając przyjemne uczucie, jakiego doznała, kiedy książę zwrócił się do niej per „szanowna pani”. No cóż, celem balu maskowego jest właśnie anonimowość, choć dla niej nie ulegało wątpliwości, że została rozpoznana. Stała się czujna. Dlaczego udaje, że jest zajęty gdzie indziej, a potem przychodzi? Po co wyszukał ją w tłumie? I czy pamiętał, że miała być ubrana w różowe domino?

- O, nie jestem nikim tak interesującym, jak jedna ani druga - odparła z uśmiechem, grając na zwłokę. - Jestem tylko młodą damą, która właśnie przyjechała do miasta.

- Skoro nie mogę oczekiwać od pani żadnej pomocy, muszę być oficjalny. - Wzrok Aleksa, który spoczął na jej twarzy, był ciepły i pełen zachwytu. - Młodą damą... raczej bardzo piękną młodą damą, ośmielę się dodać. Czy pani mama

zdaje sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczny może być bal maskowy dla samotnej młodej osoby? Jest z pewnością wielu mężczyzn, którzy nie mają tylu skrupułów co ja i chętnie wykorzystaliby sytuację...

Jane zdawała sobie sprawę, że księżę może mieć rację. Zanim tu dziś przyjechała, zastanawiała się, na czym polega atrakcyjność balu maskowego. Teraz miała okazję przekonać się o tym na własnej skórze. Korzystając ze swobody, jaką zapewnia przebranie - maska i domino - można udawać, kogo się chce, i do woli flirtować. To bardzo kuszące, nawet dla tak zrównoważonej dziewczyny jak ona.

- Pragnę zachować swoje imię w tajemnicy, sir - powiedziała - tak zresztą jak i pan, proszę więc mnie nazywać jak się panu podoba.

- Ach... - Teraz widziała, że się uśmiecha. - Ale w ten sposób mógłbym panią obrazić, mówiąc do niej na przykład „kochanie"! Pani osoba skłania do pieśczośliwych zdrobnień.

- Dziękuję panu, sir, ale dość już tego! - Jane uznała, że czas najwyższy przywołać na pomoc całą swoją strategię. - Posuwał się stanowczo za daleko. - Powiedziałam, że jestem młodą damą! - podkreśliła to ostatnie słowo - i musi pan mi uwierzyć, sir. Bez wątpienia moja opiekunka to potwierdzi, gdy tylko mnie pan do niej odprowadzi.

On skłonił głowę.

- Dobrze powiedziane i dobrze przyjęte! A skoro tak, to może szacowna opiekunka zechciałaby jeszcze trochę zaczekać? Rzadko się zdarza, by inteligencja i diament pierwszej wody szły w parze.

- Diament, sir?

- Diament to ostrość i piękno... proszę mi nie mówić, że pani mnie nie rozumie. Mówią, że diament tnie diament.

Jane wstrzymała oddech. Musiała przyznać, że utarczka była interesująca, ale niekoniecznie mądra... Przypomniała sobie przestrogi matki, która powtarzała jej zawsze, że kobieta nie powinna do końca zdradzać swojej inteligencji. „Bo ty, Jane, masz umysł przerażająco matematyczny i bardzo cię proszę, żebyś to ukrywała, jak tylko możesz. Mężczyźni cię nie zrozumieją i nie będą chcieli się do ciebie dostosować...”

A jednak książe Delahaye zawsze sobie cenił możliwość skrzyżowania z nią szpad, tak jak choćby teraz.

- Czy myśmy się już może kiedyś spotkali, sir? - zapytała niewinnie, sondując, jak dalece książe zaangażuje się w grę pozorów.

- Ależ skąd! - odparł książe gładko. - Nigdy bym nie zapomniał!

- To niezwykle! Mogłabym przysiąc... Dziwne...

- Że ma pani uczucie, jakbyśmy się kiedyś poznali? Bardzo mi to pochlebia!

- Chciałam powiedzieć, że dziwne jest pana zachowanie, sir, jak na tak krótką znajomość - zakończyła słodkim głosem Jane.

Odpowiedział jej śmiech.

- Ja z kolei też mam dziwne uczucie: że im dłużej prze-bywam w pani towarzystwie, tym bardziej muszę się przyzwyczajać do takich połajanek!

- Nic prostszego, jak ich unikać, sir! - podsumowała uprzejmie Jane. - Moja opiekunka jest zaledwie parę kroków od nas i może mnie pan przekazać - z rąk do rąk.

Zaległa cisza. Kolumny rzucały długie cienie, a Jane doznała złudzenia, że są zupełnie sami, jakby w odległości kilku jardów nie było sali balowej ani czterystu rozbawionych osób.

- Obawiam się, że pani propozycja jest mało atrakcyjna
- rzekł ksiązę słodkim tonem. - Wolę z panią zatańczyć!

Jane szeroko otworzyła oczy.

- Cóż za arbitralny sposób zapraszania do tańca, milordzie!
- Pani mi przypisuje tytuł... ?

- Wysoki. Stosownie do pańskiego zachowania, sir! Ksiązę roześmiał się.

- No, proszę, tańczymy! Muzyka właśnie zaczęła grać.

- Walc! - Jane ociągała się.

- Domyślam się, że pani tańczyła u Almacka?

Jane zrozumiała, że ksiązę ją prowokuje. Któż by wiedział to lepiej od niego?

- Jak pan wie, sir! Ale... - Nagle zrobiła się czujna.

Porwał ją na parkiet z tak dobrze jej znaną lekkością.

Była wielka różnica pomiędzy szermierką słowną a tą znacznie bardziej niepokojącą intymnością. Mocno przytulona do księcia, otoczona wirującymi parami, czuła się przeraźliwie bezbronna. Jakaś dziwna świadomość, która przenikała jej ciało, znajoma i podniecająca, groziła przekroczeniem granic zdrowego rozsądku, do czego jeszcze zachęcała beztroska atmosfera maskarady.

- Do kolacji został jeszcze jeden taniec - zauważył Alex, gdy cichły ostatnie takty walca. Jane otrząsnęła się z rozmyślań. - Mam nadzieję, że go pani nie zechce opuścić...

- Nie... naturalnie, że nie. - Zarumieniła się na wspomnienie tego, jak ją ksiązę zaskoczył z ustami pełnymi pieroga. - Ten taniec mam już zamówiony, sir. Muszę pana poprosić, żeby mnie pan odprowadził do opiekunki.

- Wielka szkoda. Proszę tylko nie zapomnieć i zaraz po skończonym tańcu pospieszyć do jadalni, żeby przed innymi zdążyć do stołu i poczęstować się jeszcze kawałkiem pieroga, zanim ktokolwiek panią zauważy - rzekł gładko ksiązę.

- To bardzo nieelegancko z pańskiej strony wypominać takie rzeczy - mruknęła Jane pod nosem. Widziała, jak jej oficjalny partner zbliża się do pani Brantledge. - Co może być bardziej upokarzającego, niż zostać złapanym na lasowaniu!

- Ale to może świadczyć o bardzo interesującym rysie charakteru.

- Ze lubię jeść?

- Ze jest pani skłonna podjąć ryzyko, żeby osiągnąć cel.

Znów ich spojrzenia się spotkały i tym razem Jane dostrzegła w jego oczach lekką kpinę. Odwróciła wzrok. Czym był ten dziwny pociąg, to niepojęte pragnienie, którego nie mogła porównać z żadnym z dotychczasowych doświadczeń? Powtarzała sobie, że zdrowy rozsądek wymaga, by trzymać się od Aleksa z daleka, ale jednocześnie ze wstydem musiała przyznać, że wcale nie ma na to ochoty. Nie była pewna jego następnego ruchu. Przypominało to pochłaniającą ich bez reszty grę w szachy, z dodatkową atrakcją w postaci przedziwnej zmysłowej bliskości. Zmarszczyła czoło. Być może Alexander Delahaye był przyzwyczajony do takich wyrafinowanych gier, ale czy ona im sprosta?

- Przepraszam bardzo - powiedziała nagle - ale czeka na mnie lord Harvey.

Księżę skłonił się.

- Oczywiście. Spotkamy się później. Być może.

Jane, cała rozdygotana, miała nadzieję, że tak się nie stanie. Teraz, kiedy doszedł do głosu zdrowy rozsądek, postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby unikać tego człowieka. Ze swojego miejsca na parkiecie obserwowała, jak właściciel zielonego domina okrąży salę i zajmuje pozycję przy drzwiach do pokoju jadalnego i oparty szerokimi plecami o ścianę, przygląda się jej z nieukrywanym zainteresowaniem. Wzdrygnęła się lekko. Stanowczo za bardzo się w to wikła! Coraz mocniej angażuje się uczuciowo, a tymczasem Alex najwyraźniej nie zamierza pomóc jej się wycofać!

Obecność lorda Harveya podziałała na nią kojąco. Próbował nawiązać rozmowę i Jane podczas kolejnych figur kon-tredansa zaczęła się odprężyć, chociaż badawczy wzrok księcia, który nieustannie na sobie czuła, był bardzo deprymujący. Dopiero pod koniec tańca zauważyła Philipa i Sopię. Przyjaciółka prezentowała się wspaniale w jej różowym dominie. Jane zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie w stronę Aleksa i z ciężkim sercem stwierdziła, że i on patrzy na Sopię i Philipa. Wiedziała, że księżę bez trudu doda dwa do dwóch i wyjdzie mu cztery.

Wkrótce okazało się, że Simon porzucił stolik karciany i również tańczy - z drobną dziewczyną o bardzo jasnych włosach. Jane zastanawiała się, kto to może być. Wyraz twarzy brata mimo maseczki zwrócił jej uwagę. Westchnęła ci-

cho. A więc i Simona ugodziła strzałą Amora! Wyglądało na to, że jest otoczona romansującymi parami, a jej głupie serce wybrało tak bardzo niewłaściwy obiekt uczuć.

Przynajmniej raz uroki stołu nie miały dla niej powabu. Nie dlatego jednak, że się martwiła o tamten uszczknięty kawałek pieroga, tylko dlatego, że jak kotka na gorącym dachu cały czas szukała wzrokiem księcia Delahaye. Tymczasem zielone domino zniknęło. Jane, posiliwszy się nieco, odzyskała kontenans. Jej karnecik był wypełniony i czas szybko upływał aż do chwili, kiedy Sophia dotknęła lekko jej ramienia.

- Jane! Zostało już tylko dziesięć minut do zdejmowania masek. Czy nie uważasz, że powinnyśmy zamienić się na domina?

Wymknęły się więc do gabinetu lorda Astona. Tu szybko zamieniły stroje i Sophia pospieszyła na salę balową, by na zdejmowanie masek posłusznie stawić się u boku pani Brant-ledge. Jane odczekała chwilę, żeby ich nie widziano razem. Uśmiechała się do siebie na myśl o tym, jak sprytnie to wszystko zaplanowała i jak dobrze wypadł finał. Lady Verey wiedziała, że domino córki było różowe, a Sophii niebieskie. Znajdzie się wielu takich, którzy jej opowiedzą, jak to lord Philip obtańcowywał różowe domino... Jednak jej uśmiech zbladł, kiedy pomyślała o księciu Delahaye. On też wiedział, że jej domino miało być różowe. A to znaczyło, że albo nie rozpoznał jej wcześniej i po prostu flirtuje z ładną dziewczyną, albo że podjął grę, żeby się przekonać, dokąd ona prowadzi, albo że wreszcie Jane się pomyliła i zielone domino nie należało do księcia... Dała spokój. Wszystko to było zaplątane jak pajęczyna, a ona już się w niej i tak pogubiła...

Spojrzała na zegar i postanowiła odczekać jeszcze minutę, zanim wróci na salę balową. Na okrągłym stoliku przy oknie stały rzeźbione marmurowe szachy lorda Astona. Podeszła i bezmyślnie przestawiła królową.

- Sama na zdejmowanie masek?

Nie usłyszała, jak wchodził. Obróciła się na pięcie z bijącym sercem; wstrzymała oddech.

- Pan mnie przestraszył! Właśnie miałam wracać na salę...

Wzrok zielonego domina padł na szachy.

- Piękny komplet. Czy może pani gra?

- Tak - odparła Jane - ojciec mnie nauczył. - Odstawiła królową na miejsce.

- To gra wymagająca sprytu i dobrej strategii.

- O ile jest się w niej biegłym... - Jane dostrzegła w jego oku iskierkę humoru i uśmiechnęła się mimo woli. - Ja nie uważam się za dobrego gracza...

- Podejrzewam, że to zbytnia skromność. A w jakie jeszcze gry pani grywa, jeśli można wiedzieć?

- W każdym razie nie w hazardowe, jeśli to miał pan na myśli. - Jane zabrakło tchu. Dokładnie wiedziała, co miał na myśli. Lada moment zdejmie maskę, a ją zrużga za ostatni fortel. Musi wiedzieć, że zamieniła się z przyjaciółką na domina i że to Sophia, a nie ona, spędziła wieczór z lordem Philipem.

- Bardzo przepraszam, sir... - Była rada, że głos jej nie zdradził. - Muszę wracać do mojego towarzystwa. Będą się o mnie niepokoiли.

Wysoki zegar szafkowy wybił godzinę i Jane nerwowo drgnęła.

- Czas zdejmować maski - powiedział właściciel zielonego domu, wpatrując się w nią. - Mam nadzieję, że będę mógł liczyć na ujawnienie tożsamości tak fascynującej towarzyszy. Zapewniam panią, że to jedyny powód, dla którego tak długo zabawiłem na balu...

Wyciągnął rękę, żeby zsunąć kaptur z głowy Jane, i sięgnął do troczków maseczki.

Czując jego palce między swoimi puklami, zaczęła drżeć na całym ciele. Maską opadła i Jane poczuła się jak naga. Teraz już nie miała najmniejszej szansy na ucieczkę. Jedynym wyjściem było udawanie niewinnej.

- Pan ma nade mną przewagę, sir - powiedziała zduszonym głosem. Przez moment muskał dłonią jej policzek, co tylko wzmogło drżenie, a potem szybkim, niecierpliwym ruchem zerwał maskę.

- Nie sądzę, panno Verey, przez cały wieczór wiedziała pani, kim jestem, nieprawdaż?

Jane odchrząknęła.

- Przez cały wieczór, sir?

- No i cóż, panno Verey, gdzież jest ta pani uczciwość, o której tyle było mowy? Czy dalej wypiera się pani tego, że już wcześniej spędzała ze mną czas?

Orzechowe oczy Jane wytrzymały jego spojrzenie.

- Skąd ja mogłam wiedzieć, sir? Wszyscy goście byli w maskach...

Po wyrazie twarzy księcia poznała, że jej nie wierzy i że walczą w nim rozgoryczenie z rozbawieniem. Zrobił krok do przodu, a jej serce podeszło do gardła. Cofnęła się instynktownie i błyśnięcie płomienia świecy na moment wydobył z mroku różowe domino, kładąc na nim ruchome cie-

nie. Alex cofnął się, a jego głos nabrał zupełnie innych tonów.

- Różowe domino, panno Verey?
- Jak pan widzi, sir.
- Zapewne panna Marchmont nosi niebieskie?
- Istotnie.
- Ale wcześniej to pani miała na sobie niebieskie domino, chyba się nie mylę, prawda?
- Może pan w to wierzyć, Wasza Księżęca Mość.

Księżę wyglądał tak, jakby nie wiedział, czy ma nią potrząsnąć, czyją pocałować. Przez chwilę Jane, przygwożdżona jego spojrzeniem, nie mogła się ruszyć.

- Och, panno Verey - przemówił wreszcie - pani naprawdę ani na chwilę nie można spuścić z oka!

Złożył lekki ukłon i patrzył, jak Jane dosłownie ucieka z sali balowej. Dębowe drzwi zatrzęsły się za nią z impetem.

Alexander Delahaye, opadłszy na fotel, przejechał dłonią po rozwichrzonych czarnych włosach. Tylko największym wysiłkiem woli pozwolił Jane odejść. Jego instynkt, który przemówił głosem silniejszym niż kiedykolwiek dotychczas, podpowiadał mu, że powinien porwać ją w ramiona, przycisnąć do piersi i całować do utraty tchu.

Gdy tylko zobaczył ją w pokoju jadalnym, z miejsca wiedział, że to ona, choć miała na sobie niebieskie domino. Pamiętał, jak wspominała o różowym, i od razu podejrzewał, że zrobiła mu kolejny kawał. A kiedy zobaczył Philipa emablującego różową damę, był już całkiem pewien.

Mimo to jakiś dziwny impuls skłaniał go do flirtu z tą dziewczyną. Zupełnie nie mógł zrozumieć tego kaprysu, wiedział tylko, że sprawia mu wielką przyjemność. Dowcip

Jane i jej gotowość do tego, by skrzyżować z nim szpady, były niezwykle ekscytujące. Stanowiła intrygującą zagadkę, była jednocześnie śmiała i po dziecięcemu naiwna, to ryzykowała odważny krok do przodu, to znów się cofała. Alex westchnął. Nie takie uczucia powinien żywić do przyszłej żony brata. Wyciągnął długie nogi i pożądliwie spojrział na karafkę brandy, stojącą na biurku lorda Astona. Musiał się napić.

Wieczór nie był udany dla Simona. Zgubił anielską piękność, która wcześniej ofiarowała mu jeden taniec, a teraz zniknęła również i jego siostra.

Przypomniawszy sobie poniewczasie, że obiecał matce opiekować się dziewczętami, zaczął ich gorączkowo wypatrywać.

W jednej z alków zobaczył osobę w niebieskim dominie, pogrążoną w rozmowie z mężczyzną w czerni, który robił wrażenie kompletnie ogłupiałego. Simon zmarszczył brwi. Czy Jane była w różowym dominie, czy w niebieskim? Czy to Sophia? Twarz miała odwróconą, ale jasne loki wymykające się spod kaptura świadczyły o tym, że nie mogła to być Jane. Zatraskany Simon zajrzał do pustej jadalni, a stamtąd do oranżerii.

Przechadzało się tam wiele osób, ale nie było wśród nich Jane. Na koniec wyszedł do ogrodu, gdzie po dusznych wnętrzach domu wieczorne powietrze wydawało się przyjemnie chłodne i orzeźwiające. Dochodzące zza krzaków chichoty i szelesty świadczyły o tym, że nastawione romansowo pary pogłębiały znajomość we względnej intymności ciemnych zakątków. Ani przez chwilę nie spodziewał się znaleźć wśród nich siostry. Ale i tak miał ochotę ją udusić. Wrócił na taras.

- Proszę mnie puścić, sir! Pańskie sugestie są nie smaczne!

Simon odwrócił się gwałtownie. Wiedział, że to nie Jane, ale poznawał ten głos. Przesuwające się po tarasie cienie ukazały kruchą postać dziewczyny szamoczącej się rozpaczliwie w uścisku krzepkiego typu, znacznie przewyższającego ją wzrostem. Rozległ się odgłos jak gdyby rozdieranego materiału i okrzyk mężczyzny, który przypierając dziewczynę do parapetu, wyginał ją do tyłu, jakby chciał ją przełamać na pół. Simon rzucił się do nich i złapał mężczyznę za kołnierz.

- Słyszał pan, co powiedziała ta pani! Proszę ją natychmiast zostawić w spokoju!

Mężczyzna był bardzo pijany. Gwałtownie puścił dziewczynę i zamierzył się pięścią na Simona, chybił jednak i trafił w kamienny gzyms. Z rykiem wściekłości i bólu pobiegł w ciemną noc. Zaległa cisza. Dziewczyna wyglądała rozdarte domino, spod którego wystawała srebrzysta suknia z tiulu.

- Pan jest bardzo miły. - Jej głos drżał lekko ze zdenerwowania i Simon instynktownie podał jej rękę.

- Pani pozwoli, że ją odprowadzę do opiekunki - powiedział szorstko. - Chociaż łyk świeżego powietrza może się wydać pożądany, to jednak samotne przebywanie tutaj jest z pewnością niebezpieczne.

Wydało mu się, że widzi w ciemności błysk uśmiechu.

- Och, ja nie mam żadnej opiekunki, która by się mną zajęła - odparła z mieszną goryczy i rozbawienia - ale dziękuję panu bardzo za uprzejmość.

Simon wpatrywał się w dziewczynę w ciemności. Z jej słów wynikało, że jest mężatką czy gorzej - a może lepiej? - kobietą lekkich obyczajów, która przyszła na bal maskowy

szukać bogatego protektora. Była to rzecz ogólnie znana, ale Simon z całą stanowczością odrzucał taką możliwość. Kobieta ani nie mówiła, ani nie zachowywała się jak kurtyzana, a co więcej, miała okazję próbować wzbudzić jego zainteresowanie, czego jednak nie robiła. Nie zachęcała również pijanego lorda Hewetsona, którego właśnie przed chwilą przegonił...

- Kim pani jest? - zapytał nagle Simon. - Przecież z pewnością przyszła pani tutaj w towarzystwie. Musi pani mieć jakąś opiekę! Pani pozwoli, że ją odprowadzę na salę.

- Dziękuję panu bardzo, proszę się nie fatygować - powiedziała cicho, ale stanowczo dziewczyna. Mówiła z akcentem, który dodawał jej uroku, nieuchwytnym, ale pełnym słodyczy. - Proszę mnie źle nie zrozumieć, sir. Jestem zupełnie sama, ale nie potrzebuję pańskiej opieki. Przepraszam bardzo... - I z tymi słowami odeszła. Simon słyszał, jak jej kroki cichną na kamiennym tarasie.

Po chwili ruszył za nią, starając się mieć ją cały czas na oku i rozpamiętując to, co usłyszał. Zupełnie przy tym zapomniał, że postanowił odnaleźć Jane i Sophie i odwieźć je do domu.

Widział, jak dziewczyna spieszy skrajem sali balowej w stronę głównych drzwi i jak wlecze za sobą podarte domino. Kaptur miała jednak starannie naciągnięty na głowę i ciasno zebrany przy twarzy, ale jej długie srebrzyste włosy powiewały za nią, kiedy szła. Po raz pierwszy do niego dotarło, że nieznajoma mogła mówić prawdę, twierdząc, że przyszła zupełnie sama. A jeżeli tak, to istotnie jej konduita była podejrzana, żadna bowiem szanująca się kobieta nie przy szłaby na bal bez opiekuna. Mimo to...

Powietrze przeszył krzyk. Zaskoczony Simon zobaczył, jak w drzwiach zatrzymuje dziewczynę księżna Merrion. Jedna ciągnęła w jedną stronę, druga w drugą i razem przedstawiały komiczny widok. Księżna nie przestawała krzyczeć.

- Moja suknia! Ona ma na sobie moją suknię!

Wszyscy gapili się w tamtym kierunku. Głos księżnej był wyjątkowo przenikliwy. Simon usiłował się przepchnąć przez tłum.

- Ależ, szanowna pani, musiała nastąpić pomyłka.

Dziewczyna cały czas usiłowała się uwolnić. Kaptur zsunął jej się z głowy, długie srebrnoblond włosy rozsypały się po ramionach. Szczupła twarz o wydatnych kościach policzkowych przypominała ilustracje z bajki. W dalszym ciągu miała na sobie maskę, zza której było widać błękitne oczy. Simon wpatrywał się w nieznajomą kompletnie oczarowany.

Stara księżna uczyła się dziewczyny jeszcze mocniej.

- Pomyłka?! Obiecałam Celestynie za tę suknię majątek! Zapewniła mnie, że drugiej takiej nie ma. Zobowiązała się dostarczyć mi ją jutro! Skąd wzięłaś tę suknię?

Kim jesteś?

Ostatnim wysiłkiem dziewczyna wyrwała się i wybiegła na korytarz. Zielone domino zsunęło jej się z ramion na podłogę.

- Zatrzymać ją! Ona mi ukradła suknię! - wrzeszczała histerycznie księżna.

Przez chwilę nikt się nie ruszał, po czym wybuchła ogólna paplanina, ale nikt nie pobiął za nieznajomą.

- Kuchenna przebrana w suknię swojej pani - powiedział ktoś z obecnych.

- Piekielnie ładna dziewczyna...

- Zawsze na te przyjęcia dostanie się jakaś hołota...

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Simon schylił się i podniósł domino w kolorze jaszczurzej zieleni. Delikatny słodki zapach, który pozostał w jego fałdach, przypomniał mu właścicielkę. Ze zdumieniem stwierdził, że ogarnia go fala pożądania. Wiedział, że musi odnaleźć dziewczynę. Obojętne, kim jest, musi ją koniecznie raz jeszcze zobaczyć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Największy problem z sezonem towarzyskim - powiedziała do siebie Jane, szykując się na kolejne przyjęcie - polega na tym, że nie ma czasu, żeby sobie cokolwiek przemyśleć i zaplanować.

Bez trudu mogła uwierzyć zapewnieniom panny Brant-ledge, że w ubiegłym sezonie była na pięćdziesięciu balach, dwudziestu sześciu kolacjach i czternastu piknikach. Z pewnością dokładnie wszystkie je policzyła. I jeżeli celem tego całego przedsięwzięcia było polowanie na męża do ostatka sił, to istotnie gra warta była świeczki. Ale te towarzyskie spotkania nie stwarzały okazji do tego, by Jane mogła rozwijać swoją intrygę i uniknąć małżeństwa z lordem Phili-pem.

Nagłym ruchem złożyła wachlarz, w wyniku czego jedna z listewek pękła. Wieczorem zostali zaproszeni przez księcia Delahaye na koncert do Vauxhall Gardens. Jednakże naturalną radość Jane, wynikającą z perspektywy odwiedzenia tak wytwornego miejsca, przyćmiewała myśl o tym, że będzie pod ścisłą obserwacją i że tak długie przebywanie w bliskości księcia, po raz pierwszy od czasu balu maskowego, może być dla niej krępujące.

Wspomnienie wieczoru sprzed tygodnia w dalszym ciągu budziło w niej niepokój. Obiecywała sobie, że już więcej nie

będzie o tym myślała, ale na próżno. Wyobraźnia uparcie przywoływała tamten moment w mrocznym gabinecie, kiedy była pewna, że księżę ją pocałuje. Spojrzenie, w którym mieszały się gorycz i czułość, przykuło ją do miejsca. Chciała, żeby ją pocałował, desperacko pragnęła znaleźć się w jego ramionach, a siła tego pragnienia zdumiewała ją i przerażała. Z pewnością uleganie tak silnym emocjom nie było w dobrym tonie... Ale wzajemny szacunek i zaufanie, jakie pewnego dnia Jane spodziewała się znaleźć w małżeństwie, były w porównaniu z nimi blade i zimne.

Alex najwyraźniej nie podzielał jej uczuć. Miał w ubiegłym tygodniu wiele okazji nawiązania z nią kontaktu - już choćby po to tylko, żeby udzielić jej reprimendy z powodu ostatnich wybryków - a jednak tego nie zrobił.

Najwyraźniej znacznie więcej sobie wyobrażała na podstawie jego zachowania, niż to wynikało z intencji Aleksa. Flirt, który jej się wydawał tak ekscytujący, jemu szybko się znudził, jak każda drobna rozrywka, o której łatwo zapominamy. Ze wstydem Jane wspominała teraz odczucia, jakie budził jego dotyk, i przyjemność, jaką znajdowała w towarzystwie księcia. A poza tym Alex był ostatnio zbyt zajęty koszmarną lady Dennery, żeby móc choć przez chwilę pomyśleć o Jane. Całe towarzystwo o nich mówiło; widziano ich na przejażdżce w Hyde Parku, no i Alex towarzyszył jej na wielu przyjęciach... Jane z westchnieniem próbowała doprowadzić do porządku pęknięty wachlarz, ale po chwili odrzuciła go ze złością. Na pewno wieczorem będzie i lady Dennery, co bynajmniej Jane nie zachwyciło. Pod jednym tylko względem sprawy układały się pomyślnie. Lord Philip i Sophia byli najwyraźniej w sobie zakocha-

ni i co za tym idzie, skłonni udzielić Jane tyle cichego poparcia, ile tylko potrzebowała. Wystarczyło, by wspomniała Sophii, że chce się z nią zamienić na partnera do tańca czy spaceru, a jej życzenie było natychmiast spełniane. Jednakże pod czujnym okiem lady Verey nie było to możliwe tak często, jak by Jane sobie życzyła. Musiała wytrzymać kilka koszmarnych tańców z lordem Philipem, podczas których odzywał się monosylabami albo wcale. Zdecydowała, że wkrótce zażąda od niego znacznie bardziej aktywnego udziału w realizacji jej planów.

Tego wieczoru dostali się do Vauxhall od strony rzeki. W zapadającym zmierzchu ogrody wyglądały szczególnie pięknie, z alejkami i altankami, które wydobywało z mroku żółte światło latarni. Jane uznała, że cała ta sceneria jest bardzo romantyczna, i jej zmysł humoru żywo zareagował na wizję złe dobrego towarzystwa. Lord Philip i Sophia byli bez wątpienia jedyną romansującą parą w tej grupie i nawet gdyby intencje lorda Philipa były najczystsze, to i tak nie mógł się otwarcie zadeklarować. Lady Dennery ściagała zaś księcia Delahaye z determinacją, mającą niewiele wspólnego z romantycznością. Simon był jakiś milczący i samotny, a ona czuła się wśród tej bajecznej iluzji zupełnie nie na miejscu.

Koncert i kolacja, mimo dość kąśliwych uwag lady Dennery, były wspaniałe.

- Co za czarujące dzieci! - powiedziała do lady Verey, kiedy dziewczęta zostały jej przedstawione. Zupełnie jakby były z Sophią raczkującymi brzdącami! A potem bez przerwy rzucała pod adresem księcia drobne uwagi i komentarze na temat ich zachowania, czego Jane miała serdecznie dosyć.

- Widzę, panno Verey, że dopisuje pani apetyt! - rzekła

na przykład, filuternie, skubiąc deser i uśmiechając się do Aleksa. - Przekona się pani zapewne, że dżentelmeni preferują panny o nie tak wielkim upodobaniu do jedzenia. Z pewnością lord Philip przyzna mi rację!

Philip, który spoglądał czule na Sophię i nie dosłyszał komentarza, mruknął pod nosem coś nieobowiązującego. Policzki Jane płonęły. Śmiech lady Dennery jednakże przygasł, kiedy spojrzała na jej zgrabną figurkę.

- Uważam, panno Verey, że powinna pani już teraz się trochę hamować! Mówią, że nadmierne objadanie się świadczy o niestałości charakteru. Kto wie, czym się skończy taki brak dyscypliny.

Lady Verey i lady Eleanor, oburzone taką wulgarnością, wymieniły spojrzenia. Szczęśliwie Jane i Sophia, nie biorąc tej niegrzecznej uwagi do siebie, nawet wyrazem twarzy nie zdradziły, że ją w ogóle słyszały. Simon, napotkawszy wzrok matki, wstał i zaproponował w przerwie koncertu małą przechadzkę. Podał ramię Sophii i wkrótce dołączyli do nich Jane i lord Philip. Inni nie skorzystali z propozycji, a Jane z największym trudem powstrzymała się od uwagi dotyczącej zbawienego wpływu ruchu na dobrą figurę.

Błądząc w tłumie, podziwiali małe jeziora i grotty. Cała czwórka starannie unikała rozmowy na temat lady Dennery, a w szczególności tego, że mogłaby zostać następną księżną Delahaye.

Sophia i Philip zatrzymali się, żeby podziwiać grupkę marmurowych rzeźb, a Simon i Jane poszli przodem.

- Czy dobrze się tu bawisz, czy tęsknisz za Ambergate, Jane? - zapytał nagle Simon, wskazując na zatłoczone ogrody.

Uśmiechnęła się.

- Trochę jedno i trochę drugie. Cieszy mnie sezon towarzyski, ale nie będę żałowała, kiedy się skończy. - Posmutniała na myśl o tym, że do tej pory sprawa jej małżeństwa z lordem Philipem będzie musiała zostać ostatecznie rozwiązana. Usiłując okazać dobry humor, uśmiechnęła się do brata.

- A co z tobą, Simon? Pewnie za jakieś dwa miesiące wrócisz do domu, co?

- Owszem, spędzę trochę czasu w Ambergate - przyznał - ale w sierpniu Alex zaprosił mnie do Yorkshire na polowanie.

- O! Na polowanie? - Jane stwierdziła, że jest zła właściwie bez żadnego powodu. Wyglądało na to, że księżę De-lahaye przeszkadza jej dosłownie we wszystkim. - Rozumiem, że będzie to już po tym, jak mu pomożesz w wydaniu mnie za lorda Philipa, tak?

Simon obrzucił ją ironicznym spojrzeniem.

- Wobec tego musimy się pospieszyć, żeby nam Philip nie uciekł z Sophią!

Jane z westchnieniem wsunęła bratu rękę pod ramię.

- A więc zauważyłeś to! Rzeczywiście, trochę za bardzo się z tym afiszują! Ale rozwiązując w ten sposób jeden problem...

- ...stwarzają zarazem następny - dokończył ponuro Simon. - Alex byłby wściekły i nadałoby to sprawom bardzo niepożądany bieg.

- Tak... - Jane rozejrzała się dokoła, żeby sprawdzić, czy Sophia i Philip ich nie słyszą. Ku jej zdumieniu, nie było ich w zasięgu wzroku. Po obu stronach zwirowanej alejki ciągnęły się puste ścieżki, zacienione przez wysokie żywopłoty.

- Och, to bardzo z ich strony nierozważne. Wymykać się razem w takim miejscu! Sophia powinna bardziej dbać o reputację, bo jeżeli zamiary lorda Philipa wobec niej nie są uczciwe. .. - Jane urwała pod wpływem nagłego poczucia winy. Uświadomiła sobie bowiem, jak bardzo ich zachęcała do tego, by wspólnie spędzali czas.

Simon z marszem na czole rozglądał się po tłumnie zebranych gościach.

- Nie mogli odejść daleko. Powinniśmy ich spotkać, idąc w stronę pawilonu.

- Simon zawiesił głos, patrząc ponad głowami tłumu. - No cóż, ja muszę...

Jane zauważyła, że jej brat wpatruje się w kruchą blondynkę, która szybko się od nich oddalała. Obok niej, niemal biegnąc, szedł postawny mężczyzna w kamizelce w czerwono-białe pasy i mówił coś w podnieceniu. Jane widziała, jak kobieta stanowczo potrząsa głową, a potem mężczyzna usiłuje złapać ją za ramię. Skręcili w jedną z ciemnych alejek i w tym samym momencie Simon puścił ramię siostry i bez słowa ruszył za nimi.

Nagle osamotnienie było doświadczeniem dziwnym i niezbyt miłym, ale Jane, rozsądna dziewczyna, uznała, że bez trudu trafi z powrotem do rotundy. Dokoła roilo się od ludzi, więc czuła się bezpieczna. Znacznie bardziej niepokojące wydało jej się zachowanie Simona. Musiał poznać albo dziewczynę, albo jej towarzysza, ale dlaczego tak bez słowa rzucił się w pogoń za nimi? Jane ruszyła wolno w kierunku rotundy. Mijając staw z posągami, odniosła wrażenie, że widzi Sopię i Philipa znikających za zakrętem jednej z alejek na prawo. Jednocześnie mignęła jej charakterystyczna postać idącego w jej stronę księcia Delahaye. Nie była pewna, czy

ją widział, ale wolała nie czekać, żeby się przekonać. Pierwsze trudne pytanie - dlaczego jest sama - niebezpiecznie wiązało się z drugim: gdzie są Sophia i Philip. A jeśli Alex spotka ich na którejś z ciemnych ścieżek... Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, Jane dała nura za żywopłot i pospieszyła za znikającą parą.

Mimo że w odległości zaledwie kilku jardów tłum był gęsty, to tutaj, pomiędzy wysokimi żywopłotami, panowały ciemności i cisza. Doszła do skrzyżowania alejek, gdzie marmurowa nimfa wspierała się na omszałej altanie. Rozejrzawszy się dokoła, odniosła wrażenie, że jest w labiryncie. Lada moment całkowicie straci orientację i zabłądzi. Już miała machnąć ręką na Sopię i zawrócić, kiedy usłyszała jakiś cichy odgłos.

Doszła do wniosku, że jednak alejka nie jest tak opustoszała, jak jej się na początku wydawało. Postawny mężczyzna, którego wcześniej widziała, przeciął jej drogę, skręcając w równoległą alejkę. Nie było już z nim dziewczyny, a on sam czał się w cieniu żywopłotu. Z jakichś względów Jane cofnęła się, mając nadzieję, że biel zwiewnej sukni jej nie zdradzi. W zachowaniu mężczyzny było coś ukradkowego, co ją głęboko zaniepokoiło. Nagle zamarła. Przed sobą, w miejscu, gdzie zbiegało się pięć alejek, zobaczyła altanę, a zaraz potem wysoką postać Aleksa, który wszedł do środka, żeby obserwować stamtąd kłębiące się dokoła tłumy. Zobaczyła też postawnego mężczyznę skradającego się cicho jak kot zacienionym brzegiem pobliskiej alejki. Światło księżyca migotało na białych paskach jego kamizelki, a także na srebrnym ostrzu noża, który trzymał w ręce. Wszystko to razem byłoby może i zabawne,

gdyby nie ukradkowe i bezgranicznie przerażające zachowanie mężczyzny, który z każdym krokiem był bliżej stojącego tyłem i niczego nie podejrzewającego księcia...

Jane nie czekała ani chwili dłużej. Rzuciła się alejką, robiąc możliwie jak najwięcej hałasu, wbiegła po stopniach altanki i... wpadła prosto w objęcia Aleksa. Na lewo usłyszała szelest liści i zobaczyła poruszające się cienie, kiedy mężczyzna zniknął tak samo cicho, jak się pojawił.

- Wasza Książęca Mość!

- Panna Verey? Ja pani szukałem! - W głosie Aleksa była nuta leniwego rozbawienia. - Co takiego pani...? - Jego ton stał się poważniejszy, kiedy poczuł, że Jane cała drży i osuwa się na niego. Wziął ją za ramiona i lekko potrząsnął.

- Co się stało? Czy ktoś wyrządził pani krzywdę? Proszę powiedzieć!

- Nie! Pan musi stąd iść! - Jane ze wstydem zauważyła, że głos jej się łamie. Teraz, kiedy minęło już bezpośrednio niebezpieczeństwo, stwierdziła, że nie może ani stać, ani normalnie mówić. Twarz Aleksa była bardzo blisko jej twarzy; jego oczy płonęły. Gdyby jej nie podtrzymał, z pewnością by upadła.

- Jane? Musi mi pani powiedzieć, co się stało.

Jane głęboko zaczerpnęła tchu.

- Pan musi stąd uciekać, Wasza Książęca Mość! Tu... tu jest człowiek z nożem.

Alex szybko rozejrzał się dokoła.

- Złodziej kieszonkowy...

- Nie! - Jane w podnieceniu uderzała pięściami o jego pierś. - Morderca! On ma nóż...

- Dobrze, natychmiast stąd idziemy. - Ujął jej dłonie

w swoje w uspokajającym geście. Widząc, że Jane dygocze, otulił ją swoim płaszczem, jednocześnie sprowadzając po stopniach altany i kierując w stronę zatłoczonych alejek.

- Czy da pani radę dojść do innych, panno Verey? Tam już będzie zupełnie bezpiecznie.

Czując w tali silne ramię Aleksa i wciąż trzymając rękę w jego dłoni, chwiejnie dotarła do głównej alejki. Kiedy dołączyli do grupy wracającej do rotundy, Alex puścił ją i podał jej ramię w bardziej już oficjalny sposób. Jane wydała długie pełne ulgi westchnienie.

- Dzięki Bogu! Co za potworna historia! - Rzuciła okiem na twarz Aleksa - zmarszczył czoło. Pociągnął ją w stronę jednej z alków i posadził.

Widząc wyraz zdziwienia na jej twarzy, powiedział szybko:

- Zaraz wrócimy do reszty towarzystwa, ale najpierw musi mi pani powiedzieć, co się stało.

Jego ton był tak rzeczowy, że nie wahała się ani chwili.

- Już wcześniej widziałam tego człowieka, kiedy spacerowałam z Simonem - powiedziała tak spokojnie, jak tylko mogła. - Był to tęgi mężczyzna w opiętej kamizelce, a nie jakiś obdartus. Tuż przedtem, nim zobaczyłam pana w altanie, usłyszałam hałas i zobaczyłam, jak ten człowiek skrada się do pana alejką. I miał w ręce nóż! Widziałam go!

Alex milczał. Ściągnął brwi; wyglądał tak, jakby myślami błądził gdzieś daleko poza granicami ogrodów, które ich otaczały. Czegokolwiek jednak dotyczyły, z pewnością nie były przyjemne. Jane wzdrygnęła się.

- Przypadkowy złodziej - rzekł po chwili od niechcienia.

- Oddzielenie się od reszty towarzystwa było bardzo nierozsądne z mojej strony. Vauxhall słynie z wszelkiego rodzaju złodziejasków i kryminalistów. Przykro mi, że miała pani takie szokujące przeżycie, panno Verey, ale proszę o nim jak najprędzej zapomnieć. Mężczyzna stracił okazję i już z pewnością dawno sobie poszedł.

Jane nie odpowiedziała. Jakiś głos wewnętrzny kazał jej zaprotestować, powiedzieć, że ten człowiek nie był tylko zwykłym złodziejaskiem, ale nie miała na to żadnych dowodów. Takie wyjaśnienie było najprostsze.

Ostatecznie kto mógł się skradać za Alekssem z zamiarem morderstwa? Sama myśl o tym wydawała się śmieszna.

- Uważam, panno Verey - rzekł książę z namysłem - że nie powinniśmy innych niepokoić tą historią. Szczególnie dla pań byłoby to przykrym przeżyciem. Co mi przypomina, że powinienem zapytać... - bruzda na czole Aleksa zrobiła się głębsza - co też pani robiła sama w tych ciemnych alejkach, jeśli wolno wiedzieć?

Zawahała się. Sprawa była delikatna - nie chciała przysparzać kłopotów innym.

- Przypadkowo zostałam rozdzielona z moim towarzystwem - powiedziała wymijająco - i właśnie ich szukałam, kiedy zobaczyłam pana i... i tego złodzieja.

- Rozumiem - odparł sucho Alex. - To wszystko wydaje się bardzo niejasne. A więc była pani sama, tak?

- Co pan chciał przez to powiedzieć...? - Urwała i zarumieniła się. - Wasza Książęca Mość!

- Co chciałem powiedzieć?

- Czy w tej sytuacji byłoby lepiej, żebym była z kimś czy sama? - Jane błysnęła szybkim refleksem.

Alex uniósł brew i pomógł jej wstać.

- O, widzę, że już pani odzyskała kontenans, panno Verey! Szczerze mówiąc, nie wiem.

Wolno ruszyli w stronę rotundy. Muzyka znów zaczęła grać.

Sophia i Philip siedzieli w odległości paru jardów jedno od drugiego. Ona jak gdyby zawstydzona; on podejrzanie wesoły. Simon, który napotkał wzrok siostry, miał bardzo niepewną minę. Jane uniosła ostrzegawczo palec do ust i Simon posłusznie zachował milczenie. Nie chciała, żeby powiedział cokolwiek, co mogłoby podważyć i tak niezbyt wiarygodną wersję wydarzeń, jaką przedstawiła księciu.

Dopiero kiedy odwracała się w stronę orkiestry, zauważyła, że Alex również pochwyił ten tajny znak i że teraz przyglądał jej się z zainteresowaniem i głębokim namysłem.

Nazajutrz rano lady Eleanor Fane zjawiała się w Haye House o porze, którą w towarzystwie uważano za niecywilizowaną. Kiedy puściła kołatkę, przeżyła moment wahania, bo przypomniało jej się właśnie, jak wiele uwagi wczoraj wieczorem poświęcił Alex lady Dennery. Jeżeli udało jej się na dobre zyskać jego względy, to mało prawdopodobne, żeby dziś rano księżę przyjmował gości... Lady Eleanor mocno zacisnęła wargi, ale drzwi zaczęły się już otwierać. Za późno!

Kamienna twarz Tredpole'a nie zdradzała niczego.

- Dowiem się, czy Jego Książęca Mość jest w domu - mruknął. Jego stateczny krok, kiedy szedł przez hol, mówił, że choć wynik tej misji może być wątpliwy, to z pewnością

Tredpole sprostą każdej sytuacji. Zostawszy sama w salonie, lady Eleanor krytycznie spojrzała w lustro, bawiąc się laseczką, zakończoną srebrną gałką.

Szczęśliwie książę nie kazał jej długo czekać.

- Jego Książęca Mość prosi panią do biblioteki, milady - mruknął Tredpole i ruszył przodem.

- Uff. - Lady Eleanor odczuła ulgę, że nie zastała swego chrzestnego syna in flagranti.

Alex siedział za biurkiem, popijając kawę, której aromatyczny zapach unosił się w powietrzu. Lady Eleanor z uznaniem pociągnęła nosem.

- Jeszcze jedną kawę, Tredpole! - zarządził z uśmiechem Alex, wychodząc zza biurka, by ucałować ciotkę. - Co ciocię sprowadza tak wcześnie, jeśli wolno spytać? Mogło się okazać, że jestem zajęty!

Lady Eleanor spojrzała na siostrzeńca karcącym wzrokiem.

- Może w tym właśnie tkwi przyczyna twego podejrzenia dobrego humoru, Alexandrze! - odparła cierpko. - Ale nie zamierzam cię o nic wypytywać.

Kiedy siostrzeniec uśmiechnął się jeszcze bardziej, lady Eleanor dodała:

- Chciałam cię spytać o inną damę, o pannę Verey. Do szłam mianowicie do wniosku, że nie ma postępów w konkurach Philipa. Według informacji Marii Winchester widziałam go wczoraj wieczorem w ciemnych alejkach z panną Marchment! Błagałam Marię, żeby w imię naszej przyjaźni zatrzymała to dla siebie, ale jeżeli Philip prowadzi inną grę... Jednocześnie mówi się, że lord Blakeney interesuje się panną Verey - czy miałyby to oznaczać zaręczyny, czy nie. W każdym razie ostatnio bardzo jej nadskakiwał.

Uśmiech Aleksa znikł.

- Blakeney? Czy ciocia jest pewna?

- A cóż to ma za znaczenie: Blakeney czy inny dżentelmen? - zapytała lady Eleanor z niesmakiem. - Najpierw ta historia podczas kolacji u lady Winterstoke, a teraz to! Wydaje mi się, że ta mała flirciara próbuje cię omotać.

Alex siedział na krawędzi biurka, machając nogą.

- Tak ciocia myśli? Czy to jeszcze nie za wcześnie na takie obawy?

Lady Eleanor pociągnęła duży łyk mocnej kawy.

- Tu jest potrzebne energiczne działanie, a nie taka zaba wa w kotka i myszkę! Wszyscy odnieśli wrażenie, że z upo dobianiem krzyżowałeś szpady z tą smarkulą! - Lady Eleanor, zajęta opróżnianiem filiżanki, nie zauważyła przelotne go smutku na twarzy siostrzeńca. - Podczas kiedy ty się za bawiasz, Philip zawraca w głowie innej pannie! Uważam, że to przede wszystkim ta sprawa powinna zaprzętać twoje myśli!

Alex ani nie był zdziwiony, ani specjalnie zmartwiony wystąpieniem ciotki.

- Ciocia ma zapewne na myśli pannę Marchment? Philip już tyle razy zakochiwał się i odkochiwał, że straciłem rachubę! Ciocia sama doskonale o tym wie! To po prostu nic nie znaczy - i tak ożeni się z tą, przy której są pieniądze!

- Panna Marchment nie jest żadną ladaco, która miałaby zabawiać Philipa do czasu jego ożenku - ucięła lady Eleanor. - Dziewczyna zakochała się w nim po uszy i tym razem... tym razem, Alex, podejrzewam, że z wzajemnością. Książę oglądał przycisk do papieru i gdy obracał go w rękach, światło zapalało błyski w ciemnoniebieskim wnętrzu

tego pięknego przedmiotu. Siedział z pochyloną głową, więc ciocia nie widziała jego twarzy.

- Jestem przekonany, że ciocia się myli - powiedział spokojnie. - Philip jeszcze nigdy nie okazał prawdziwego zainteresowania żadną przyzwoitą panną!

- Nigdy do tej pory! - Lady Eleanor w podnieceniu stuknęła laską w podłogę. - Jeżeli nie zaczniesz działać szybko, Alex, to sprawa małżeństwa z panną Verey przepadnie raz na zawsze i jak się wywiążesz z obietnicy danej swemu dziadkowi?

Jej siostrzeniec uniósł głowę, ale spojrzenie ciemnych oczu było nieprzeniknione.

- Niewątpliwie powinienem o tym pomyśleć... - rzekł.

- Podejrzewam jednak, że szanowna ciocia przyszła tu nie tylko po to, żeby mnie złąć za brak działania, czyżbym się mylił? Dałbym głowę, że ciocia ma gotowy plan!

Lady Eleanor uśmiechnęła się wreszcie, udobruchana żartobliwym tonem księcia i wspaniałą kawą.

- No cóż... pomyślałam, że czas wyciągnąć do was po mocną dłoń! Otóż doszłam do wniosku, że dobrze byłoby zaprosić Vereyów do Malladon!

Alex delikatnie odłożył przycisk.

- I ciocia chce, żebym urządził przyjęcie w Malladon? Teraz? W środku sezonu?

- Dokładnie tak właśnie pomyślałam. - Lady Eleanor nachyliła się. - Ale ktoś mówi o przyjęciu, po prostu zaprosz kilka osób, i to wcale niekoniecznie na długo! A ja wystąpię w roli gospodyni.

- To bardzo miło z cioci strony - zauważył nie bez ironii Alex. Jednak lady Eleanor nie dała się zbić z pantafiku.

- Wiem, że mamy środek sezonu, ale pomyślałam sobie, że kilka dni na wsi to jest właśnie to! Problem z sezonem towarzyskim polega na tym, że w jednym miejscu kłębią się za duże tłumy. W małej grupie łatwiej zapanować nad sytuacją.

- Cóż, kiedy jedną z metod panny Verey jest manipulowanie innymi w celu odwrócenia uwagi od siebie - rzekł Alex w zadumie. - To prawda, że w mniejszej grupie byłoby jej trudniej się wymykać. Szanowna ciocia zdaje sobie chyba sprawę, że zaproszenie musiałyby objąć i pannę Marchmont? Wymaga tego zwykła uprzejmość.

- Naturalnie nie możemy zostawić biedaczki samej - zgodziła się z księciem lady Eleanor. - To bardzo nieładnie z mojej strony mówić o niej takie rzeczy. Jest słodkim stworzeniem, tyle że zagraża twoim planom.

- Plany zawsze można zmienić, proszę cioci - zauważył Alex i zanim lady Eleanor zdążyła poprosić o dalsze wyjaśnienia, podjął: - Cieszę się jednak, że szanowna ciocia zbliżyła się do mojego sposobu myślenia. Początkowo bowiem ciocia miała mi za złe, że widzę w pannie Verey kogoś więcej niż tylko bystrą i czarującą dziewczynę!

Lady Eleanor wygładziła spódnice.

- No cóż, muszę przyznać, że w pierwszej chwili trudno mi było wyobrazić sobie Jane Verey jako przebiegłą intrygantkę - tak jak ty ją widziałeś! Teraz jednak przekonałam się o tym na własne oczy. Och, Jane naturalnie jest bystra i czarująca, co do tego nie mam wątpliwości, ale na tym właśnie polega problem! Dzisiejsze dziewczęta - dodała lady Eleanor z naciskiem - bywają inteligentniejsze, niż powinny. Trochę więcej kobiecej skromności wyszłoby im tylko na dobre.

- Ależ, proszę cioci... - Alex wyprostował się i podszedł do kominka. - Ciocia jest stanowczo za surowa. Trudno zarzucić pannie Verey brak przyzwoitości. Może być trochę samowolna, ale z pewnością to piękna i interesująca... - Widząc zdumienie na twarzy lady Eleanor, Alex urwał i dokończył pośpiesznie: - Prawdę mówiąc, idealna żona dla Philipa!

- Dla Philipa! Naturalnie! - Wargi lady Eleanor drgnęły z lekka, kiedy zaczęła do niej docierać pewna prawda. - Jestem przekonana, że po wyjściu za mąż panna Verey szybko się ustakuje. Chciałabym nade wszystko uniknąć potwornego skandalu, gdyby tak Philipowi strzeliło do głowy związać się z Sophią Marchment! Do tego nie można dopuścić, bo chociaż panna jest również z przyzwoitej rodziny, to jednak Marchmentowie nie mają ani posiadłości, ani koneksji, ani majątku, a to w żadnym razie nie wchodzi w grę! Dlatego też należy jak najszybciej skojarzyć Philipa z panną Verey!

- Rzeczywiście! - Alex odwrócił się. - Mam nadzieję, że bardziej intymna atmosfera domowa będzie sprzyjała naszym planom. A jeśli sprawa przyjmie niekorzystny obrót, to zawsze możemy skompromitować pannę Verey, zmuszając ją w ten sposób do zaręczyn.

Lady Eleanor była zaskoczona.

- Aleksie! Tego nie zrobisz, twoja podstępność...

- Może się równać jedynie z podstępnością panny Verey, zapewniam ciocię! Jeżeli mnie przechytrzy, to bez słowa, honorowo, uznam się za pokonanego. A jeśli nie... no cóż, wtedy zobaczymy, kto ostatecznie wygra.

Lady Eleanor więcej się już nie odezwała, ale wychodząc, raz jeszcze przyjrzała się dokładnie nieprzeniknionej twarzy siostrzeńca, próbując ocenić, czy chwilę wcześniej, kiedy odniosła

wrażenie, że Alex zdradził się ze swoimi uczuciami do panny Verey, uległa złudzeniu, czy też nie. Sposób, w jaki jego głos złagodniał, kiedy mówił o jej urodzie i wdzięku, a także nuta zaangażowania, którą w nim pochwyciła... Lady Eleanor przypomniała sobie nagle, jak żywe zainteresowanie okazał księżę, kiedy wspomniała lorda Blakeneya i jego umizgi do Jane. Wracając do swojego domu przy Lower Brook Street, uśmiechała się lekko. Może jej się to śniło, ale chyba jednak nie. A jeśli Alex był świadom swoich uczuć do Jane, to jakie miał wobec niej zamiary? Chyba nie jej małżeństwo z Phili-pem? Im więcej o tym myślała, tym bardziej podejrzane wydawały jej się niektóre uwagi księcia, aż nagle zadała sobie pytanie, do małżeństwa z którym to z braci Delahaye miałaby doprowadzić ewentualna kompromitacja panny Verey.

Zupełnie nieświadome czekającego je zaproszenia Jane, Sophia i lady Verey spędziły rano na bardzo ważnych sprawunkach na Bond Street. O dziwo, Simon wyraził chęć wzięcia w nich udziału. Wymamrotał coś na temat kapelusza, który powinien sobie sprawić, a Jane, dziwnie przejęta kupnem białej wieczorowej sukni z bladozłotą narzutką, początkowo nie zwróciła uwagi na przenikliwe spojrzenia, jakimi jej brat obrzucał personel sklepu. Dopiero kiedy Simon zajrzał za zasłonkę i przestraszył sprzedawczynię, która miała im zaprezentować suknię, Jane odciągnęła go na bok.

- Simon! Co ty na miłość boską wyprawiasz? - syknęła mu do ucha. - Wyrzucą nas ze sklepu, jeśli będziesz podglądał dziewczęta w bieliźnie. Simon spojrzał na nią z rozpaczą.

- To jest sklep Celestyny, prawda? - zapytał.

- Naturalnie. A ta tam, która tak patrzy na ciebie spod oka, to sama Celestyna. Ale powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

Simon spojrział na matkę i Sophię, które paplały na temat bladzielonej sukni.

- Chodź na chwilę na zewnątrz, to ci powiem.

I wyrzucił z siebie całą historię spotkania na balu maskowym, łącznie z tym, jak tańczył z dziewczyną, jak ją później stracił z oczu i ponownie odnalazł na tarasie, kiedy bardzo potrzebowała jego pomocy.

- To była najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem, Jane - powiedział bez ogródek. -

W pierwszej chwili pomyślałem, że to kobieta lekkich obyczajów, która przyszła na bal maskowy, żeby... - Simon urwał, uśmiechając się na widok zdziwionego spojrzenia Jane.

- Ale nie, daję głowę. Potem pomyślałem, że to pokojówka przebrana w suknię swojej pani, ale... - Simon zmarszczył nos. - Służącą też nie jest, mogę przysiąc.

Jane zeszła na bok, przepuszczając jakąś parę.

- Ale nie zdradziła ci swojego nazwiska?

- Nie, powiedziała tylko, że na bal przyszła sama. Uciekła ode mnie - zakończył Simon. - Po tym, jak ją uratowałem przed Hewetsonem, po prostu odeszła. Miała po szamotaninie z nim podarte domino i stara księżna Merrion ją wypatrzyła i jakoby poznała na niej swoją suknię. To było coś niesamowitego, Jane! Księżna cały czas wrzeszczała i coś bredziła, i przysięgała, że dziewczyna ukradła jej suknię, ponieważ Celestyna ją zapewniła, że drugiej takiej nie będzie, a potem dziewczyna obróciła się na pięcie, odeszła i wszyscy

się zastanawiali, kim ona jest. Nie rozumiem, jak mogło ci to umknąć... - Simon zmarszczył czoło. - Ale właściwie to gdzie w tym czasie byłaś? Jane, która uświadomiła sobie, że musiała być wtedy zamknięta w gabinecie z księciem Delahaye, wolała puścić pytanie brata mimo uszu. Musiałaby udzielić zbyt wielu niebezpiecznych wyjaśnień, a także zastanowić się nad swoimi uczuciami. Odpowiedziała wzruszeniem ramion.

- Bóg jeden raczy wiedzieć, Simon. A jakiej ona była po staci?

Simon był zmieszany.

- Postaci? Kto? Księżna Merrion?

- Ależ skąd! Widzę, że razem z sercem straciłeś i głowę! - powiedziała z całą otwartością Jane. - Miałam na myśli twoją młodą damę! Jeżeli jest mała i drobna, to suknia uszyta na księżnę Merrion mogła być na nią dobra. Księżna Merrion jest w końcu niską osobą! Ale jeśli ta dziewczyna była wyższa, to mało prawdopodobne, by chodziło o tę samą suknię, a zatem księżna się pomyliła.

Simon robił wrażenie zakłopotanego.

- Czy ty zdajesz sobie do licha sprawę, co mówisz, Jane? Ja wiem tylko jedno: że muszę ją odnaleźć! Wczoraj wieczorem...

- Właśnie! - wykrzyknęła Jane ze złością, przypomniała sobie bowiem nagle, że powinna zganić brata za to, że ją wczoraj w Vauxhall opuścił bez słowa. - Jak śmiałeś mnie wtedy zostawić samą? Przecież Bóg wie co mogło się zdarzyć!

Simon zmieszał się.

- Masz rację, Jane, bardzo cię przepraszam! Ale ja ją znów zobaczyłem i nie myślałem o niczym innym, jak tylko

o tym, żeby za nią pobiec! I tak się to na nic zdało, bo mi zniknęła. Ale sama widzisz, że muszę ją znaleźć!

- Dlaczego? - zapytała bez ogródek Jane. - Czy ty się nad tym zastanowiłeś, Simon? Twierdzisz, że nie była służącą, ale właściwie skąd wiesz? Mogła być guwernantką, sprzedawczynią w cukierni albo...

Simon zrobił się purpurowy na twarzy.

- Nigdy nie myślałem, że jesteś taką snobką, Jane!

- Nie bądź głupi, wiesz, że nie to miałam na myśli! - Jane zmarszczyła brwi.

- Zastanów się, co by sobie pomyślała taka dziewczyna, gdyby przyszedł do niej pan z Anglii i powiedział, że chce ją poznać?

- No cóż, mógł... - Simon przerwał w pół słowa.

- No właśnie - rzekła sucho Jane.

- Musiałbym ją zapewnić o moich uczciwych intencjach...

- Intencjach? To znaczy, że chcesz się z nią ożenić?

Simon przecesał palcami jasne włosy.

- Do diabła, Jane, sam nie wiem! Wiem tylko tyle, że muszę ją odnaleźć. Ja... - Urwał, zdając sobie sprawę, że omal nie powiedział: „...ją kocham”. Wszystko to wydało się takie dziwne. Widział dziewczynę tylko dwa razy, i to bardzo krótko. Nawet nie znał jej imienia, a mimo to... - Chyba masz mnie za kompletnego wariata - zakończył ponuro.

Jane smętnie zwiesiła głowę. Pomyślała o Aleksie i o tym, że nie ma moralnego prawa oceniać innych.

- Nie, Simon, mam szacunek dla twoich uczuć. Zaraz pójde i zobaczę, może Celestyna będzie mogła nam pomóc.

Zaczekaj tu na mnie!

Po chwili Jane, Sophia i lady Verey wyszły ze sklepu, mó-

więc jedna przez drugą. Idąc wolno, w słońcu, Jane pochwyciła spojrzenie brata. Wzięła go pod rękę i została z nim trochę z tyłu.

- No i? - zagadnął Simon, nie mogąc się doczekać.
- Rozmawiałam z Celestyną - powiedziała Jane ściszym głosem. - Jest taka dziewczyna, ma na imię Therese.

- Poczula, jak ramię Simona zadrżało. - Staraj się zachowywać tak, jakbyśmy rozmawiali o czymś zupełnie obojętnym
- zwróciła bratu uwagę z humorem. - Chyba że zamierzasz już teraz, tak wcześnie, wtajemniczyć mamę w swoje plany. Mam nadzieję, że mówimy o tej samej osobie - szczupłej, drobnej i bardzo jasnej blondynce, tak? Simon bez słowa skinął głową.

- Celestyna powiedziała, że ona pracowała u niej na akord. Zszywała różne części garderoby z kawałków - dodała Jane, widząc, że jej brat jest zupełnie oszołomiony. - Dla krawcowej to bardzo korzystne, jeśli może zatrudniać ludzi tylko wtedy, kiedy ich potrzebuje. Mówi, że Therese była bardzo dobrą szwaczką, ale musiała ją zwolnić z powodu skarg księżnej Merrion. Therese pożyczyła sobie jakoby jej suknię na bal maskowy i księżna zagroziła, że wycofa od nich wszystkie swoje zamówienia...

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Therese... - powiedział wolno Simon - czy ona jest Francuzką?
- Tak, emigrantką, jak twierdzi Celestyna. Niewiele więcej o niej wie - ostrzegła Jane. - Powiedziała też, że Therese była bardzo zamknięta w sobie i małomówna.
- Ale czy podała Celestynie jakiś adres...? Przecież musiała. ..

Jane obrzuciła brata surowym spojrzeniem. Bardzo teraz przypominała swoją matkę.

- I ty uważasz, że Celestyna byłaby skłonna udzielić takiej informacji? Ona już wobec mnie była bardzo podejrzliwa, a twoje zaglądnienie do szaf i szukanie po kątach na pewno nie pomogło. A jeszcze jak jej powiedziałam, że mi polecono Therese i że chciałabym, żeby coś dla mnie uszyła, to już z pewnością wzięła mnie za oszustkę.

- Jane!

Jane zaczęła czegoś szukać w torbie.

- O, proszę, to jest adres, który mi dała. Nie zdziwiłabym się, gdyby zdążyła już wysłać umyślnego z ostrzeżeniem.

Simon złapał świstek papieru i tryumfalnie uniósł go w górę.

- Dzięki ci! - pocałował siostrę w policzek i... już go nie było.

Lady Verey i Sophia odwróciły się, patrząc na Jane w zdumieniu.

- Simon zapomniał o kapeluszu, który miał sobie kupić

- wyjaśniła, czepiając się pierwszego lepszego pretekstu, jaki jej przyszedł do głowy. - Miał tam na kartce zapisane szczyt góry. Dołączmy do nas później, na lunch.

I może przyprowadzi mamie synową - dodała w myśli, patrząc na niczego nie podejrzewającą matkę i zastanawiając się z pewnym niepokojem, co by lady Verey zrobiła, gdyby się tak rzeczywiście stało.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Simon nie pojawił się przez cały dzień. Jane gubiła się w domysłach i umierała z niepokoju. Powinna była go uprzedzić, że może go spotkać rozczarowanie, ale wiedziała, że i tak by jej nie słuchał. Trwał w radosnym podnieceniu i był głuchy na wszystko. Znacznie bardziej niepokoiła ją wiadomość, że widział Therese poprzedniego dnia w Vauxhall: Gdyby okazała się tą samą dziewczyną, którą widziano z napastnikiem Aleksa, to Simon nawet nie zdawał sobie sprawy, w jak niebezpieczną historię mógł się wpakować. Umysł Jane tak był tym zaprzątnięty, że zaniepokojona jej milczeniem lady Verey zapytała córkę, czy dobrze się czuje.

Po południu Jane towarzyszyła matce w wizytach u przyjaciół, a potem szykowała się na wieczorek muzyczny. Kiedy pokojówka pomagała jej włożyć nową białozłotą suknię, Jane złapała się na tym, że zastanawia się, czy będzie tam również Alex. Cóż to zresztą miało za znaczenie; gdyby nawet był, to i tak z uwieszoną u jego ramienia lady Dennery... Podczas gdy Cassie czesała jej włosy, przeciągając po nich szczotką przepisowe sto razy, Jane oglądała w lustrze swoją przygnębiającą twarz. Zbyt często zapominała o tym, że książe Delahaye przeznaczył ją na żonę dla swojego brata, a kiedy

sobie to uświadamiała, natychmiast popadała w przygnębienie, jakiego nie doświadczyła nigdy dotychczas.

Simona zobaczyła dopiero w holu - czekał tam na nią w towarzystwie lady Verey i Sophii. Był zaczerwieniony i nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. Zły nastrój Jane jeszcze się pogłębił. Mina Simona świadczyła o tym, że jego misja się nie powiodła, a co gorsza, najwyraźniej próbował topić smutki w alkoholu, którego zapach unosił się w powietrzu. Lady Verey ostentacyjnie otworzyła w powozie okno, posyłając synowi spojrzenie pełne głębokiej dezaprobaty.

Kiedy wchodzili do salonu lady Wingate, Jane musiała złapać brata pod rękę, żeby się nie przewrócił.

- Simon! Co się z tobą działo po południu? - syknęła. - Jesteś pijany!

- Troszszszeczkę - wybełkotał Simon i opadł na krzesło obok siostry. - Jeden i dwa małe drinki u White'a. Był tam Henry Marchnight...

Jane zacisnęła usta.

- Można by oczekiwać, że uchroni cię przed kłopotami - wyszeptała ze złością, rozglądając się, czy nikt nie przysłuchuje się ich rozmowie. - Powiedz mi, co się stało. Nie znalazłeś Therese?

- Poszedłem pod ten adres - wymamrotał Simon. - To było coś okropnego,

Jane: biedna, brudna ulica i... - Urwał w pół zdania. - Pora była nieodpowiednia... w każdym razie nie zastałem jej w domu. Drzwi otworzyła jakaś starucha, która twierdziła, że nigdy nie słyszała o żadnej Therese, ale ja jej nie uwierzyłem. - Z ponurą miną wsadził ręce w kieszenie. - Jestem przekonany, że ona tam mieszka.

- Skąd możesz to wiedzieć? - zapytała Jane, podejrzewając, że jej brat po prostu uparcie odmawia przyznania się do porażki.
 - Bo kiedy już miałem odejść, ktoś ze środka zawołał coś po francusku i starucha zatrzasnęła mi drzwi przed nosem - wyjaśnił Simon z nieodpartą logiką. - Z czego widać, że to dom emigrancki. - Simon zająknął się trochę na słowie „emi-grancki”. - Ja tam pójdę drugi i trzeci raz, jeśli będzie trzeba, aż się zgodzi ze mną rozmawiać! Ach, Jane, żebyś wiedziała, jakie to frustrujące!
 - I dlatego sobie popiłeś. Zrób z tym coś i wytrzeźwiej, Simon! - powiedziała Jane, w dalszym ciągu zła, ruchem ręki oddalając kelnera z tacą pełną kieliszków wina. - Naprawdę, Simon, myślałam, że jesteś bardziej zdyscyplinowany. Cuchniesz alkoholem i wyobrażasz sobie, że to przypadnie kobiecie do gustu? Simon robił wrażenie całkowicie przegranego.
 - Wiem, ale tak strasznie się czułem...
- Jane rozejrzała się dokoła, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Muzycy w rogu stroili instrumenty, a księżę Delahaye sadzał właśnie lady Dennery w pierwszym rzędzie. Jane pomyślała z goryczą, że jasnie wielmożna lady Dennery zamierza zrobić ze swego wejścia całe przedstawienie. Jej jasne, upięte wysoko włosy były ozdobione brylantami, a błękitna suknia niewiele pozostawiała wyobraźni. Za nią sunął orszak wielbicieli i rozplotkowanych przyjaciółek, usiłujących zwrócić na siebie uwagę. Jane, skulona w swoim fotelu, z rozgoryczeniem stwierdziła, że niepotrzebnie traci czas,

zaprzątając sobie głowę Alekssem, który z pewnością nawet nie pamiętał o prostodusznej dziewczynie z prowincji .

Wystąpiła lady Wingate, żeby powiedzieć, że recital się rozpoczyna i czas kończyć rozmowy. Muzyka była bardzo dobra i raz czy dwa za sprawą lirycznych arii Jane poczuła, jak ją ściska w gardle i łzy napływają do oczu. Co do Simona, to wręcz przeciwnie, zasnął ku jej wielkiemu wstydkowi i Jane w momentach ciszy musiała go trącać, żeby nie chrapał.

- Wygląda na to, że książę i lady Dennery są na bardzo bliskiej stopie - wyszeptała Sophia do ucha Jane, kiedy ogłoszono przerwę i znów rozległ się szmer rozmów. - Ale, Jane, spójrz na tę suknię, czy widziałas w życiu coś podobnego? Jestem przekonana, że musiała ją zwilżyć, i to z powodu takiego niewinnego muzycznego wieczoru!

- To w bardzo złym tonie! - powiedziała lady Verey, która usłyszała rozmowę dziewcząt. - Jestem rada, że nie ma tu dziś lady Eleanor! Nie sądzę, żeby sobie życzyła takiej koneksji dla Delahaye'ów.

Lorda Philipa też nie było tego wieczoru, co się wyraźnie odbiło na humorze Sophii. Jane, uwięziona między swoją markotną przyjaciółką a ponurym bratem, sama też nie miała powodów do radości. Co gorsza, ze swego miejsca doskonale widziała lady Dennery, która wysławszy księcia po napoje chłodzące, flirtowała z jakimś innym dżentelmenem.

Jane wstała, przeprosiła towarzystwo i ustawiła się w kolejce do bufetu. Uznała, że jedzenie jest w tej sytuacji jej jedyną pociechą, że lepiej dla poprawy samopoczucia coś zjeść niż - jak jej brat - sięgać po alkohol.

- Dobry wieczór, panno Verey. Jak się pani podoba muzyka?

Jane właśnie wahała się między lodami a puddingiem owocowym, kiedy u jej boku pojawił się książę Delahaye. Jego pytanie było jedynie wyrazem zwykłej uprzejmości i rzeczywiście, Jane widziała wzrok księcia wędrujący nad jej głową ku lady Dennery, która błyszczała niby zdobiące jej głowę brylanty. Jane karciała się w myśli za to, że poświęciła księciu choćby chwilę uwagi, podczas gdy on w najmniejszym nawet stopniu jej nie odwzajemniał.

- Dobry wieczór, Wasza Książęca Mość - odparła chłodno. - Muzyka jest bardzo ładna, nie sądzi pan? A może nie miał pan okazji zauważyć?

Wzrok Aleksa ześlizgnął się z lady Dennery i spoczął na twarzy Jane.

Przelotny uśmiech księcia wywołał u dziewczyny przyspieszone bicie serca, mimo że obiecywała sobie opierać się jego urokowi.

- Och, zauważyłem, panno Verey, znacznie więcej, niż sobie pani wyobraża! Zauważyłem na przykład, że pani brat jest dziś wyraźnie nie w formie, że panna Marchmont straciła nieco ze swojej radosnej werwy, a i pani też jest nie w humorze. Czy mogłaby mnie pani wyjaśnić co do przyczyn tego stanu?

- Nie, nie, dziękuję bardzo! - odparła ostro Jane, zaskoczona spostrzegawczością księcia. Spojrzała w stronę lady Dennery, która śmiała się do karmiącego ją winogronami mężczyzny. - Byłoby dobrze, gdybyśmy we własnych sprawach byli tak spostrzegawczy, jak Wasza Książęca Mość jest spostrzegawczy w cudzych.

- To prawda! - Alex uśmiechnął się kapryśnie, nie spe-

szony w najmniejszym stopniu. - Wiadomo, jak trudno dostrzec we własnym oku belkę, nieprawdaż, panno Ve-rey? Ale, właśnie, żebym nie zapomniał: najprawdopodobniej lady Eleanor złoży państwu jutro wizytę, by w moim imieniu zaprosić ich do Malladon. Poczuliśmy nagłą potrzebę ucieczki od rozrywek Londynu do wiejskiego zacisza, w którym można odpocząć po przeżyciach wielkiego miasta.

Jane patrzyła na niego zdezorientowana. To nagłe zaproszenie wydało jej się wysoce podejrzanym. Miała ponure przeczucie, że pęta się zaciska, że Alex, zmęczony jej niechętnym nastawieniem do małżeństwa z lordem Philipem, postanowił położyć kres tym gierkom. Początkowo dał jej trochę swobody, a nawet do pewnego stopnia sam podjął grę, ale wreszcie stracił cierpliwość. Patrzyła na niego spod rzęs. Uśmiechał się do niej uprzejmie, ale w jego spojrzeniu kryło się wyzwanie, które tylko potwierdziło jej wątpliwości. Z całą pewnością miał jakiś plan związany z Malladon.

- Nie wiem, czy mama będzie chciała opuścić Londyn w pełni sezonu - powiedziała ostrożnie, badając grunt. Mimo to wiedziała, że jest mało prawdopodobne, by lady Verey odmówiła. Będzie się czuła pochlebiona, wdzięczna lady Eleanor za okazanie względów.

Uśmiech Aleksa stał się bardziej widoczny.

- Och, jestem przekonany, że lady Verey przyjmie za proszenie! - rzucił od niechcienia. - Zwłaszcza że to przebież na krótko. A zresztą korzyści z wyjazdu przewyższają związane z nim straty. Jestem pewien, że celem pani matki, gdy decydowała się na spędzenie sezonu w Londynie,

była pani przyszłość. A co do tego panuje między nami cał-kowitą zgodność. Uczucie, że została schwytana w pułapkę, było coraz silniejsze. Jakżeż trafnie Alex podsumował reakcje lady Verey! Jej matka nie robiła tajemnicy z tego, że liczy na skojarzenie Vereyów z Delahaye'ami za pomocą węzła małżeńskiego i że taka zachęta i aprobaty ze strony księcia i lady Eleanor nie może zostać odrzucona. Ta trójka połączyła swe wysiłki, by złamać opór jej i lorda Philipa, i będzie walczyła aż do ich kapitulacji.

- Przykro mi, że okazuje pani tak niewiele entuzjazmu w tej sprawie - rzekł książę z przekąsem. Ani na chwilę nie spuszcza! z oka twarzy Jane. Obawiała się, że jej skrzępowanie musi być widoczne. Zdenerwowana przygryzła wargę.

- Szach-mat, panno Verey! - dodał łagodnie Alex. - Pani wie, że już wkrótce będzie musiała się poddać. Ma pani wszystkich przeciwko sobie.

Chmurne orzechowe oczy Jane napotkały wzrok księcia.

- Szach, może - odparła - ale nie szach-mat, sir! Proszę uważać; nadmiar pychy może się zemścić!

Alex wybuchnął śmiechem.

- Ach, jakież to odświeżające móc czasem skrzyżować z panią szpady, panno Verey. Jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo, kto by w obliczu oczywistej klęski tak wytrwale stawał mi opór!

Skłonił się i wolnym krokiem odszedł do lady Dennery, wślizgując się na miejsce obok niej i z całą swobodą dosłownie wyplaszając kilku rywali. To jeszcze bardziej zaniepokoiło Jane. Księżciu najwyraźniej nie przeszkadzało, że musi

dzielić względy lady Dennery z tyloma innymi! Wszystko razem było zbyt wyrafinowane, żeby Jane mogła to zrozumieć czy ocenić.

Rozbrzmiała znów muzyka. Jane zajęła swoje miejsce obok Sophii, patrząc na coraz smętniejszą minę przyjaciółki, zmuszonej spędzić wieczór bez lorda Philipa. Uświadomiła sobie, że powodzenie planu Aleksa mogło oznaczać dla Sophii pogrzebanie wszelkich nadziei. Zaciśnęła zęby. Teraz, kiedy opracowywała nową strategię, potrzebowała sprzymierzeńców.

Jane zamierzała obmyślić następny ruch, gdy tylko znajdzie się w łóżku. Zasnęła jednak natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Wkrótce obudziła się nagle, bez żadnego wyraźnego powodu, i leżała w ciemności, zastanawiając się, co ją mogło zaniepokoić.

Raptem usłyszała dźwięk, jak gdyby ktoś rzucił w jej okno żwirem, i szept:

- Jane? Jesteś, Jane?

Wymknęła się z łóżka i wychyliła przez okno wśród powiewających firanek.

- Kto tam? To ty, Henry? Co, na miłość boską...

Na dole, pod oknem, stał Henry Marchnight, podtrzymując jakąś postać, w której Jane, wiedzona jak najgorszym przeczuciem, poznała Simona.

- Henry? Czy Simonowi coś się stało?

- Nie, nic mu się nie stało - odparł Henry cierpko. - Bądź dobrą dziewczynką i zejdz na dół otworzyć nam drzwi. Nie chciałbym postawić na nogi całego domu.

Uspokojona Jane narzuciła peniuar i zbiegła na dół. W holu

paliło się tylko jedno światło i zza drzwi prowadzących do pomieszczeń dla służby dochodziły przyciszone głosy. Delikatnie otworzyła zasuwę.

- Dzięki Bogu!

Henry był już pod drzwiami i zaraz wszedł, żeby zdeponować swój ciężar, w najmniejszym nawet stopniu nie troszcząc się o jego dobro. Jane cofnęła się przed odorem alkoholu, kiedy brat zatoczył się w stronę schodów i nie trafiając na poręcz, osunął się na dolny stopień. Wydawało jej się, że podczas koncertu Simon wytrzeźwiał, ale najwyraźniej musiał to szybko nadrobić w klubie.

- Na miłość boską, ależ on jest pijany!

- Ciesz się, że nie musiałaś go nieść przez całą drogę do domu tak jak my - powiedział Henry z goryczą.

Drzwi się zamknęły i Jane, obróciwszy się, stanęła jak wryta. Była przekonana, że Henry jest sam, a tymczasem z mroku wyłoniła się wysoka postać równie znajoma jak niespodziewana.

- Czy możesz go sam wtaszczyć na górę? - zapytał Henry'ego księżę Delahaye, jednocześnie rzucając Jane mroczne spojrzenie. - Muszę zamienić z panną Verey parę słów.

- Mogę zawołać do pomocy służącego Simona - zaofiarowała się Jane.

Zdażyła wyciągnąć rękę w stronę drzwi do pomieszczeń dla służby, kiedy palce Aleksa zamknęły się na jej nadgarstku.

- Nie - powiedział tonem tak stanowczym, że dziewczyna natychmiast zamilkła. Po raz pierwszy jej wzrok powędrował od Henry'ego do Aleksa i zauważyła dziwny wygląd mężczyzn. Zniknęli gdzieś eleganccy dżentelmeni należący do śmietanki towarzyskiej, a na ich miejsce pojawiły się po-

dejrzone typy w zaszarganych czarno-białych strojach. Henry, z burzą jasnych włosów i powyciąganą białą koszulą przypominał podupadłego poetę, Alex zaś, w ponurym czarnym płaszczu, wyglądał jak typowy rozbójnik. Musiała zasłonić ręką usta, żeby się nie roześmiać, ale jej oczy dosłownie iskrzyły humorem.

- O Boże, wyglądacie...

- Dziękuję bardzo, może sobie pani oszczędzić wyrażania opinii - rzekł sucho Alex. - Pani twarz mówi wszystko, panno Verey! Proszę cię, Henry, zanim obudzimy cały dom...

Ale było już za późno. Drzwi pod schodami otworzyły się i wyszła z nich Cassie, trzymając świecę wysoko w górze. Wydała stłumiony pisk.

- Boże, miej nas w swojej opiece! Panno Jane! O, i panicz! Znów zamroczony! George! - zawołała w stronę schodów. - Chodź i pomóż położyć panicza do łóżka! Jest pijany jak bela!

Jane uświadomiła sobie, że Alex w dalszym ciągu trzyma ją za rękę. W zamieszaniu obrócił ją twarzą do siebie. Nagle dotarło do niej, że mimo ich komicznego wyglądu sprawa jest śmiertelnie poważna. Alex robił wrażenie ponurego i zdeterminowanego.

- Panno Verey... czy możemy porozmawiać na osobności?

Jane szeroko otworzyła oczy.

- Teraz? Nie, wykluczone!

Ponurą twarz Aleksa rozjaśnił jak gdyby cień uśmiechu.

- Obawiam się jednak, że będziemy musieli! Zapewniam

panią, że jest pani przy mnie najzupełniej bezpieczna. Po prostu muszę pani zadać kilka pytań.

- Myślę, że sprawa może poczekać do rana...?
- Obawiam się, że nie - powiedział Alex bardzo stanowczym tonem.
- Radzę ci zrobić, jak mówi Alex, Jane - odezwał się Henry Marchnight trzeźwo. Wspólnymi siłami taszczyli z George'em Simona na górę i nagle Jane i Alex znaleźli się sami w mrocznym holu. Ten puścił jej rękę i cofnął się o krok, żeby mogła iść przodem. Ruszyła w stronę salonu, biorąc po drodze lichtarz. Drzwi zamknęły się za nimi z denerwującym trzaskiem.
- Wasza Książęca Mość, to naprawdę nie przystoi... -powiedziała słabo Jane, opadając na fotel i ciasniej otulając się peniuarem.
- Wiem. - Alex uśmiechnął się nagle ze zniewalającym wdziękiem. - Jak mus, to mus, panno Verey! Nie będę pani trzymał długo, ale sprawa jest bardzo ważna. - Usiadł naprzeciwko niej, wychylony do przodu, przygważdżając ją surowym wzrokiem, od którego Jane przeszły ciarki. - Czy Simon wpadł w tarapaty?

Jane spojrzała mu prosto w oczy.

- Nic o tym nie wiem, Wasza Książęca Mość. Jakie znów tarapaty?

Alex poprawił się na krześle.

- Znaleźliśmy go z dala od jego zwykłych szlaków, w oko licznosciach, które sugerowałyby jakąś nieczystą sprawę. Leżał w rynsztoku, narażony na okradzenie - albo coś znacznie gorszego! Simon nie ma zwyczaju upijania się do nieprzytomności

i wystawiania na rogach ulic w Spitalfields, więc... - Książę nie dokończył, i patrzył zmrużonymi oczyma na Jane.

- Czy pani wie cokolwiek na ten temat, panno Verey?

Jane zdawała sobie sprawę, że wyraz twarzy ją zdradza.

Była przekonana, że Simon nadużył alkoholu w swoim klubie, ale gdy tylko książę wspomniał Spitalfields, wiedziała, że brat musiał, zgodnie ze swoim postanowieniem, udać się tam na poszukiwanie Therese. Widząc, że Jane się waha, Alex powiedział sucho:

- Z pewnością jest pani doskonale zorientowana, panno Verey. Ma pani twarz pełną ekspresji! Proszę powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi!

Jane nienawidziła wyniosłego tonu Aleksa.

- A co pan ma do tego, Wasza Książęca Mość, jeśli wolno spytać? Proszę mi wybaczyć, ale to pan i Henry Marchnight snujecie się po Londynie jak chuligani.

Alex uśmiechnął się niechętnie.

- Punkt dla pani, panno Verey! Zgoda, że nasze zachowanie może się wydawać podejrzanе. Czy jednak nie widzi pani, że i jej działania są takie?

- Moje!?! - Jane spojrzała na księcia z niedowierzaniem. - Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Nie? - Alex przestał się uśmiechać. Jego twarz była jak wykuta z kamienia.

- Proszę wziąć pod uwagę okoliczności. Wczoraj wieczorem w Vauxhall spotykam panią samą, przemykającą ciemnymi alejkami. Dla wyjaśnienia tej dziwnej sytuacji opowiada mi pani naiwną historyjkę. Po kryjomu daje pani bratu znak, żeby milczał. Już wczoraj wieczorem widziałem Simona w podejrzanym towarzystwie, a w nocy

znaleźliśmy go pijanego w sztok w cieszącej się złą sławą dzielnicy. Co więcej, uważam, że pani wie, o co w tym wszystkim chodzi. - Księżę z impetem uderzył pięścią w stół. - I to właśnie wydaje mi się najbardziej zastanawiające, panno Verey!

Jane miała kompletny zamęt w głowie.

- W moim zachowaniu ubiegłego wieczoru nie było nic zastanawiającego, zapewniam pana, Wasza Księżęca Mość! Ja tylko dawałam znaki Simonowi, żeby nic nie mówił, bo... - Urwała, uświadamiając sobie nagle, że cokolwiek powie, będzie to w jakiś sposób obciążało Sophię i Philipa. Alex czekał cierpliwie, z chmurnym spojrzeniem wbitym w jej twarz.

- Odnoszę wrażenie, panno Verey, że ma pani jakieś kłopoty - powiedział po chwili. - To pewnie naturalne konsekwencje pani intryżek, jak sądzę. I czy może panią dziwić mój brak zaufania? Mimo wszystko dała się już pani poznać jako mistrzyni kręactwa.

Jane zaniemówiła.

- Jak pan śmie, sir! Do niczego takiego się nie poczuwam!

- Nie? A co z zamianą partnerów podczas kolacji u lady Winterstoke? A co z zamianą na domina podczas balu maskowego... czy taka osoba zasługuje na zaufanie...?

Wstała, sama nie wiedząc kiedy. Wyciągnęła rękę do drzwi, ale księżę był szybszy. Oparty dłonią o boazerię, zagroził jej drogę.

- O, nie, panno Verey - powiedział miłym głosem. -

W każdym razie dopóki pani mi nie powie, o co w tym wszystkim chodzi.

- To oburzające! - Jane stwierdziła, że głos jej drży. - Pan się nie może wobec mnie zachowywać w taki wyniosły sposób! Jak pan śmie zarzucać mi oszukaństwo, skoro nie robię nic złego: po prostu bronię się przed pańskim planem wydania mnie za mąż za lorda Philipa!

- Może tę sprawę przedyskutujemy innym razem, panno Verey - powiedział gładko Alex. - A teraz muszę się dowiedzieć, co to wszystko ma znaczyć! Towarzystwo, w jakie wpadł pani brat, jest bardzo niebezpieczne...

- Wiem o tym! - Jane patrzyła na niego spod oka. - Mówiłam panu, że ten człowiek chciał pana zabić! - Urwała. Błysk w oku Aleksa powiedział jej, że dała się sprowokować: że powie znacznie więcej, niżby chciała. Przygryzła wargi.

- I co jeszcze pani wie na ten temat, panno Verey? - zapytał Alex, tym razem bardzo łagodnie.

Nagle Jane ogarnął strach. W pojedynkach słownych z Alekssem zawsze było coś podniecającego, ale tym razem zupełnie straciła kontenans. Teraz miała do czynienia z czymś konkretnym, niebezpiecznym i groźnym. Przypomniało jej się, jak obojętnie mówił o jej oszustwach, o tym, że nie ma do niej zaufania, i poczuła, że zaraz się rozplacze.

Alex zrobił krok do tyłu, z ironicznym ukłonem zapraszając ją, by usiadła. Usłuchała go bez słowa, kuląc się w fotelu, zarówno dla ciepła, jak i dla wygody.

- To co, zaczynamy od początku, panno Verey?

Na chwilę zapadło milczenie. Płomień świecy migotał. Jane poddała się w końcu.

- Proszę bardzo! Nie ma w tym żadnej tajemnicy! Kłopoty Simona to głównie niepowodzenia w miłości.

- Rozumiem. A cóż to za sprawy sercowe mogły go za prowadzić do Spitalfields?

Pełen niedowierzania ton Aleksa zapalił isierki gniewu w oczach Jane.

- Z pewnością coś znacznie mniej podejrzanego od po czyniań Waszej Książęcej Mości! Simon poszukuje młodej kobiety imieniem Therese, która, jak sądzi, tam właśnie mieszka. Pragnie się z nią ożenić.

Zaległa głucha cisza.

- Naprawdę?! - Po raz pierwszy Alex robił wrażenie zaskoczonego. - Chodzi o mademoiselle Therese de Beaurain?

- Mademoiselle... - Jane urwała. - Tak się ona nazywa? Pan ją zna?

- Wiem o niej to i owo - przyznał. - Jest córką świętej pamięci hrabiego de Beaurain, który został stracony podczas rewolucji. Jej matka uciekła z maleńką jeszcze Therese do Anglii. Wydaje mi się, że panna de Beaurain musi mieć teraz około dwudziestu lat. Jej matka jest inwalidką i obie utrzymują się z nędznych zarobków Therese, pracującej jako szwaczka. W jaki sposób Simon ją poznał?

- Była na balu maskowym - powiedziała Jane cichym głosem. Nagle Therese stała się konkretną kobietą, z określoną osobowością. Jane popatrzyła na Aleksa, zatroskana.

- Simon spotkał ją po raz drugi wczoraj wieczorem w Vauxhall i pobiegł za nią, próbując nawiązać rozmowę. Ona była z tym mężczyzną w kamizelce w biało-czerwone paski, z tym, który... - Jane nie dokończyła. - Och, mam nadzieję, że Simon wie, co robi... Ufam, że panna de Beaurain nie jest zamieszana w żadną kryminalną sprawę.

- Proszę się nie martwić. - Alex mówił bardzo spokojnie.
 - O ile wiem, jest całkowicie niewinna. Nie można jej zarzuć nic, poza może upartą dumą, która doprowadziła do zerwania z angielską gałęzią rodziny.
 - Ach, jakież to smutne! - Jane wyraziła głębokie współczucie dla młodej emigrantki, która musiała tak ciężko pracować, żeby utrzymać siebie i matkę. - Czy chce pan powiedzieć, że one mają rodzinę, która mogłaby im pomóc?
 - Owszem, i to bardzo szacowną. Matka Therese jest daleką krewną generała, sir Johna Huntingtona, który kilka lat temu, dowiedziawszy się o ich losie, wezwał do siebie pannę de Beaurain i zaofiarował im dach nad głową.
 - Alex uśmiechnął się. - Wiem o tym, bo słyszałem, jak opowiadał z detalami o swojej wielkoduszności wobec ubogich krewnych! Musiał się zachowywać bardzo protekcyjnie, bo skończyło się tym, że śmiertelnie obraził dziewczynę. W każdym razie całe towarzystwo zostało uraczone opowieścią o tym, jak to jego wielkoduszność została wzgardzona i że teraz cała ta rodzina może dla niego po prostu nie istnieć! Ładna historia!
- Jane wzdrygnęła się.
- I są zdane całkowicie na siebie? Mój Boże, jakież to okrutne!
 - Rzeczywiście, wyjątkowo nieludzkie. Czy jednak Simon będzie mógł ją z tego wszystkiego wyciągnąć...? - Alex wzruszył ramionami. - Ale odeszliśmy od głównego tematu. Odetchnąłem z ulgą, że w tej nocnej eskapadzie Simona nie ma nic podejrzanego, aczkolwiek fakt, że znaleźliśmy go pijanego w pobliżu domu ukochanej, świadczyć może jedynie o tym, że wynik jego zalotów nie jest pomyślny.

- Rzeczywiście - powiedziała Jane ostrożnie - i ja też tak sądzę. - Zebrała się na odwagę. - Ale kłopoty Simona nie są, jak się domyślam, najważniejszą sprawą, o której mieliśmy rozmawiać, Wasza Książęca Mość? Simon tylko przypadkiem zetknął się z mężczyzną w kamizelce w paski - szkoda, że nie wiem, jak się nazywa, bo ciągle opisywanie go w ten sposób jest dosyć głupie. Ale to najwyraźniej on jest niebezpieczny.

- Ten człowiek nazywa się Samways - rzekł Alex, poprawiając ogień na palenisku. - I tak jak to pani słusznie zauważyła, jest niebezpieczny. Nie mam pojęcia, dlaczego mi pani nie uwierzyła, kiedy powiedziałem, że to zwykły złodziejasek. Myślałem, że potrafię lepiej kłamać.

Jane uśmiechnęła się blado.

- Nie wiem właściwie, dlaczego panu nie uwierzyłam, ale prawdopodobnie z powodu jego zachowania i tego, że nie wyglądał, jakby chciał kraść, tylko zabijać! - Mimo ciepła buchającego od kominka Jane zadrżała. Kiedy uniosła wzrok, stwierdziła, że pełen zadumy Alex obserwuje ją z uznaniem.

- Przypuszczam, że pan nie może mi powiedzieć nic więcej... - rzekła z nutą żalu w głosie.

- I słusznie pani przypuszcza - odparł Alex z lekkim uśmiechem. - Dla pani będzie bezpieczniej nie wiedzieć na ten temat zbyt wiele. Proszę się cieszyć tym, że Therese jest niewinna i że jej powiązania z Samwaysem nie są bliskie. - Książę westchnął. - Jaka szkoda, że Simon właśnie w tym czasie znalazł się w Spitalfields! To nie jest bezpieczne miejsce.

Jane jednak bała się czego innego.

- Na miłość boską! - wybuchnęła. - A pan się specjalnie nie przejmuję tym, że ktoś zamierza pana zamordować! Może na by pomyśleć, że się pan z czymś takim spotyka na co dzień!

Alex wstał i wyprostował się z uśmiechem. Jane spiesznie odwróciła wzrok.

- Zdziwiłaby się pani, panno Verey... - rzucił od niechcienia. - W każdym razie dziękuję pani bardzo za dzisiejszą pomoc. Żałuję, że nie mogę wyjaśnić pani przyczyn mojego zainteresowania, i raz jeszcze bardzo proszę o dyskrecję. Pewnego dnia być może zdradzę pani, dlaczego...

Wzrok księcia wędrował po Jane, zatrzymując się na puszystych, opadających na ramiona włosach, na delikatnych liniach ciała rysujących się pod cienkim peniuarem. Zamiast wstać z fotela, co właśnie zamierzała zrobić, zastygła w bezruchu. Nagle na twarzy Aleksa pojawił się wyraz, którego nie rozumiała, ale który przyprawił ją o suchość w gardle i przyspieszone bicie serca.

- Muszę pani także podziękować za jej troskę- dodał, cedząc słowa i zniżając głos. - Wierzę, że jest pani szczerze zaniepokojona tym, że ktoś chce mi wsadzić nóż...

- Oczywiście, że jestem zaniepokojona! - Jane podniosła głos. - Byłoby bardzo dziwne, gdybym z przyjemnością myślała o tym, że jakiś opryszek może pana zasztyletować!

Alex wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Pod wpływem jego dotyku Jane zadrżała. Stali bardzo blisko siebie i dziewczyna nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Mimo że jesteśmy wobec siebie w opozycji? - zapytał Alex. - Mimo to nie chciałaby pani, żeby stała mi się krzywda?

Jane odchrząknęła. Z jakichś powodów nie mogła oddychać.

- Nigdy nie zamierzałam być wobec pana w opozycji, Wasza Książęca Mość - odparła.

- Wierzę, panno Verey, że możemy być w idealnej zgodzie. - Głos Aleksa brzmiał jak pieszczota.

Jego usta były tuż i książę jeszcze ciągle lekko ją trzymał, ale jego dotyk, choć tak bardzo delikatny, palił ją żywym ogniem. A jednak zaledwie dziesięć minut temu nazywał ją niegodną zaufania oszukanicą, czego Jane nie była w stanie zapomnieć.

Zrobiła krok do tyłu.

- Rozumiem, że książę oboje nas uważa za mistrzów obłudy - powiedziała lodowatym tonem, pokrywając burzę uczuć strategiczną rejteradą. - Myślę, że powinien pan już iść, sir.

Otworzyła drzwi i trzymała je, wyraźnie czekając, aż wyjdzie. Ale on nawet nie drgnął. Czowała na swojej twarzy badawczy wzrok, niemal dotykalny.

- No cóż - powiedział z żalem po chwili - myślę, że na to zasłużyłem. Mogę panią tylko przeprosić za moje uwagi. Chodziło głównie o to, żeby panią sprowokować...

- Och, to już trochę lepiej, sir!

Alex roześmiał się, przyznając jej punkt.

- Porozmawiamy o tym później. Dobranoc, panno Verey!

Zegar wybił drugą. Jane wzięła do ręki lichterz, jakby był tarczą. W świetle płomienia zobaczyła, że Henry Marchnight spaceruje w holu; poza tym dom był pogrążony w ciemnościach i ciszy. Świadoma spojrzenia Henry'ego na swojej ciągle jeszcze zaczerwienionej twarzy, unikając jego wzroku,

zaczęła z przesadną gorliwością kierować mężczyzn do drzwi. Noc była pogodna, księżyc wisiał nisko na niebie. Jane drżała.

- Proszę wejść do domu - powiedział nagle Alex. - Henry i ja dopilnujemy, żeby wszystko było w porządku.

Henry nachylił się i pocałował ją w policzek. Po chwili Alex ujął jej dłoń, przyciągnął Jane do siebie i musnął wargami w najsubtelniejszym z pocałunków. Jane czmychnęła do sypialni, z dłonią nieświadomie przyciśniętą do policzka i z dziwaczną myślą, że gdyby sprawa wyszła na jaw, wszystkie dziewczyny w Londynie by jej zazdrościły. Dostać całusa od Henry'ego Marchnighta i księcia Delahaye za jednym zamachem to było coś, co się nieczęsto zdarzało! Od tego można zemdleć, i to wszystko w ciągu jednego wieczoru! Wślizgnąwszy się między wyiębione prześcieradła, długo jeszcze przed zaśnięciem myślała, jak to się stało, że jedno pożegnanie spłynęło po niej jak woda, drugie zaś czuła do tej chwili, niby wypalone na skórze piętno.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pierwszą osobą, która zjawiała się nazajutrz rano na Portman Square, był nie Alex Delahaye, tylko Henry March-night. Simon nie zdążył jeszcze wstać z łóżka, ale panie zebrały się już w salonie; Sophia i lady Verey, w pogodnym nastroju, zajęte były szyciem, Jane wpatrzona w zegar, zastanawiała się, o której godzinie przyjdą goście. Drgnęła, słysząc dzwonek, ale jej rozczarowanie, gdy zamiast księcia zobaczyła Henry'ego, było trudne do ukrycia. Gość, mrugnawszy porozumiewawczo, usiadł koło niej.

- Sługa szanownej pani, panno Verey - powiedział. - Mam nadzieję, że już pani przysłała do siebie po nocnych przeżyciach.

- Och, milordzie, nie powinnam do tego wracać, muszę jednak gorąco panu podziękować za pomoc w przyprowadzeniu Simona do domu - powiedziała z ożywieniem lady Verey. - To bardzo niefortunne wydarzenie, ale cóż, dżentelmeni korzystają ze szczególnych praw...

Henry wyciągnął długie nogi i obdarzył lady Verey jednym z tych uśmiechów, które zawsze robiły wrażenie na starszych paniach.

- Ach, to takie drobne przewinienie i nieczęsto się zdarza...

Lady Verey poruszyła się nerwowo.

- Oczywiście! I z pewnością nie zaszkodzi mu to w klubie. ..
- W klubie! - Henry musnął spojrzeniem Jane, która siedziała z niewinną miną. - Ależ oczywiście!
- Ach, jak to miło ze strony pana i Alexandra Delahaye
- gruchała dalej lady Verey. - Co za szczęście mieć takich przyjaciół!
- Tak jest, szanowna pani, radziłbym jednak nie wspominać o tym przy księciu, to człowiek ogromnie powściągliwy!
- Henry ponownie uśmiechnął się do Jane.
- Widzę, że pani wyśpiwywała na naszą cześć peany, panno Verey.
- Jane skromnie spuściła oczy.
- Były pewne spekulacje na temat wczorajszych zajęć,, i po prostu starałam się położyć im kres. Szczęśliwie usłyszałam, jak powóz się zatrzymuje, i zesłam zobaczyć, co się dzieje...
- Nawet bardzo szczęśliwie - mruknął lord Henry i pochylając się nad napojami, które właśnie serwowano, dodał:
- Widzę, że do tego, by zmyślić jakąś zgrabną historyjkę, niepotrzebna jest pani moja pomoc, panno Verey!
- Otworzyły się drzwi i wszedł Alex Delahaye. Jane zauważyła ledwie dostrzegalne skinienie, jakim powitał go lord Henry, zanim książę zdążył podejść do lady Verey, z wdziękiem pochylić się nad jej dłonią i zapytać o zdrowie.
- Przyszedłem oficjalnie zaprosić państwa do Malladon
- powiedział z uśmiechem. - Lady Eleanor zamierzała zrobić to osobiście, ale niestety, padła ofiarą zaziębienia i ból głowy uniemożliwił jej przyście. Och, z pewnością nie unie możliwi jej wizyty w Malladon... - Alex, widząc zatroskaną

minę lady Verey, pospieszył ją uspokoić. - Jestem przekonany, że już wkrótce poczuje się lepiej. Ale ponieważ zaplanowałem wyjazd na jutro rano, nie chciałem ani chwili dłużej zwlekać z zaproszeniem. Mam nadzieję, że szanowna pani zechce je przyjąć.

Jane zobaczyła, że matka kręci się nerwowo, i uznała to za zły znak. Lady Verey była wyraźnie podniecona, co znaczyło, że czuje się mile połączona i nie można mieć najmniejszej nadziei na to, że odmówi.

- Och, Wasza Książęca Mość, to wielkie wyróżnienie, będziemy uszczęśliwieni... jutro, raczył pan powiedzieć? Z pewnością da się to załatwić...

Alex napotkał spojrzenie Jane. Dostrzegła w jego oczach szelmowski błysk, świadczący o tym, że udało mu się pokrzyżować jej plany.

- Bardzo mi miło - rzucił.

Jane, zaprzętnięta wydarzeniami ubiegłej nocy, zdążyła już zapomnieć o zaproszeniu. Była zbyt zmęczona, by o tym myśleć w łóżku, rano zaś leżała długo, zastanawiając się, jakie sprawy mogły sprowadzać lorda Henry'ego i Alexandra Delahaye do Spitałfields. Najwyraźniej było coś, o czym woleli nie mówić, z drugiej zaś strony samo podejrzenie, że są zamieszani w jakąś aferę kryminalną, wydawało się śmieszne. Jest chyba znacznie bardziej prawdopodobne - myślała, popijając herbatę - że próbowali wytropić podejrzaną, nielegalną kombinację. Od lat domyślała się, że lord Henry jest zaangażowany w różne rządowe działania, co prowadziło do logicznego wniosku, że Alex mógł także...

- Ale czy nasza wizyta w Malladon będzie mimo wszyst-

ko Waszej Książęcej Mości na rękę? - zapytała wprost z niewinną miną.

- Och, naturalnie, panno Verey - odparł, a zmarszczki śmiechu wokół jego oczu jeszcze się pogłębiły. - Nigdy w życiu nie straciłbym takiej okazji! Proszę nie zapominać, że będzie tam również Philip, żeby dotrzymać pani towarzysztwa!

Było to dla Jane jeszcze jedno niemiłe przypomnienie. Spojrzała na przyjaciółkę, wyjątkowo tego ranka milczącą, zaczerwienioną i bez humoru. Biorąc wszystko razem, wyprawa nie zapowiadała się przyjemnie.

Malladon, położone w malowniczym krajobrazie Hertfordshire, dzieliło od stolicy pół dnia drogi. Była to posiadłość najmniej lubiana przez księcia, który uważał, że znajduje się za blisko Londynu, w okolicy zbyt sielankowej jak na jego gust.

- Philip mi mówił, że jego brat ze wszystkich majątków rodzinnych najbardziej lubi Hayenham - powiedziała nie śmiało Sophia, kiedy szykowały się do niespodziewanego wyjazdu. - Opowiadał, że jest to średniowieczny zamek, położony na dzikiej północnej skale i że książę zamyka się tam nieraz na całe miesiące! Tylko sobie wyobraź! - Sopię przejął dreszcz grozy. - To całkiem gotycka historia. Co za dziwny człowiek z tego księcia!

Jechali wśród zielonego krajobrazu; Jane, wyglądając przez okno powozu, myślała, że to bardzo podobne do Alexandra Delahaye - przedłożyć dziką północną scenerię nad sielskość łagodniejszego krajobrazu. Było w nim coś, co pozwalało sądzić, że mimo tytułów i pozycji pogardzał konwe-

nansami. Niepokój i potrzeba ryzyka, właściwe jego charakterowi, tkwiły głęboko ukryte pod pozorami ogłady i nobliwego wyrafinowania. Jane wzdrygnęła się, podobnie jak Sophia. Wiedziała, że mierzy się z trudnym przeciwnikiem i że nieoczekiwane zaproszenie, z takim entuzjazmem przyjęte przez lady Verey, z pewnością ma zwiększyć jego szanse w tej grze.

Lady Verey zasnęła, ukołysana miarowym ruchem powozu. Przed nimi lord Philip ze szczególną ostrożnością i sprawnością wioził lady Eleanor. Kawalkadę prowadził jadący w swoim powoziku książe, z lady Dennery u boku. Nikt nie miał odwagi zapytać wprost o przyczynę jej obecności, która najwyraźniej nikomu nie była w smak. Lady Eleanor zacisnęła usta w wyrazie oczywistej dezaprobaty, kiedy książe pojawił się ze swoją towarzyszką, a na obliczu lady Verey, opiekunki młodych dziewcząt, odmalował się wyraz zaniepokojenia, świadczącego o tym, że jest świadoma niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad jej podopiecznymi. Jane przepełniała zazdrość, którą pogardzała i której się wstydziała. Wyglądało na to, że Alexander Delahaye wywołuje w niej najgorsze uczucia.

Towarzystwo istotnie było dziwnie dobrane. Simon odmówił uczestnictwa w wyprawie. Wolał zostać w mieście i, jak przypuszczała Jane, oddać się poszukiwaniom Therese. Lady Eleanor ubolewała nad brakiem partnera dla Sophii, co tylko utwierdziło Jane w przerażającym podejrzeniu, że intencją całej tej wizyty było jak największe zbliżenie jej i lorda Philipa. Zauważyła też, że zarówno lady Eleanor, jak i jej matka zaczęły łączyć ich imiona, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Nie uszło to również uwagi So-

phii, która coraz bardziej traciła humor, choć nie winiła o to przyjaciółki. O mój Boże - myślała Jane, kiedy minęli malownicze miasteczko i skręcili w długi podjazd - to nie będzie nic miłego!

Kiedy zatrzymali się na zwirowanym dziedzińcu, zastali tam już resztę towarzystwa. Lady Dennery energicznie instruowała służbę, jak ma się obchodzić z jej bagażami.

- Hej, ty tam! Weź no tę walizę. Nie tak, durniu!

Lord Philip obserwował to z przerażeniem, a Jane, która ciągle jeszcze pamiętała jego prostackie zachowanie w Am-bergate, nie mogła się nadziwić, że odczuwa w stosunku do niego coś w rodzaju współczucia. Nawet on nie akceptował potencjalnej bratowej.

Przy kolacji nie było ani trochę lepiej. Do wspaniale zastawionego stołu zasiadło ich tylko siedmioro. Jane naturalnie przypadło miejsce koło lorda Philipa, Sophii zaś w znacznej od nich odległości, obok księcia. Tak była biedaczka speszona jego sąsiedztwem, że prawie się nie odzywała. Nie ułatwiała sytuacji siedząca z drugiej strony Aleksa lady Dennery, która demonstracyjnie ignorując Sophię, od czasu do czasu obdarzała ją tylko protekcyjnym uśmiechem, całą swoją uwagę poświęcając księciu. A to dotykała poufale jego rękaw, a to patrzyła mu w oczy z uśmiechem, ale przede wszystkim chłonęła każde jego słowo. Napawało to Jane tak wielkim obrzydzeniem, że nie była w stanie docenić wspaniałej kolacji. Siedzący koło niej lord Philip grymasił przy jedzeniu, mówił niewiele i nie spuszczał oczu z Sophii.

Nazajutrz Jane wstała bardzo wcześnie, bo zaraz po kolacji wymówiła się zmęczeniem i by uniknąć towarzystwa lor-

da Philipa, położyła się do łóżka. Obudziła się z uczuciem niepokoju. Dzień był piękny. Otworzywszy okiennice, zobaczyła w promieniach wczesnego słońca mieniący się różnymi odcieniami zieleni park, a w oddali lśniąca tafle jeziora. Postanowiła wybrać się na przechadzkę.

Dom był pogrążony w ciszy. Wymknąwszy się na zewnątrz, Jane podziwiała elegancką sylwetkę małego kwadratowego budynku z czerwonej cegły. Przez chwilę stała na podjeździe, a następnie ruszyła wystrzyżoną trawiastą aleją wiodącą przez park do jeziora.

Jak się okazało, nie była jedyną osobą, która wstała tak wcześnie. Kiedy wyłoniła się z cienia na żwirowanej ścieżce okalającej jezioro, zobaczyła postać stojącą koło altany. Po chwili poznała w niej lorda Philipa Delahaye. Zdumiewające. Lord Philip był znany jako śpioch, rzadko wstający wcześniej niż w południe. Gdy Jane się wahała, odwrócił głowę i dostrzegł ją. Na jego twarzy malował się wyraz rozpacz.

- Dzień dobry, panno Verey.

Wyglądało na to, że minie ją bez dalszego słowa, Jane jednak wyciągnęła rękę.

- Chwileczkę, sir, jeśli można prosić. Lord Philip zatrzymał się.

- Słucham panią!

- Muszę z panem porozmawiać - powiedziała spokojnie, postanawiając zachować zimną krew. - To sprawa wielkiej wagi. - I widząc, że Philip ma ochotę odmówić, dodała: - Bardzo proszę!

Gestem ręki zaprosił ją do spaceru żwirowaną ścieżką, ale ani jego mina, ani słowa nie były zachęcające.

- Czym mogę służyć, panno Verey?
- Chodzi o małżeństwo, o jakim zdecydowano w naszym imieniu, milordzie - powiedziała Jane, wpatrzona w odległe platany. - Nie chcę wyjść za pana za mąż i widzę, że pan nie ma najmniejszej ochoty się ze mną ożenić, dlatego proponuję, żebyśmy połączyli wysiłki, by wspólnie stawić czoło temu koszmarnemu losowi.
Lord Philip był zaskoczony.
- Czy zawsze jest pani taka szczerą, panno Verey? - zapytał po chwili.
Spojrzał na nią z ukosa, a ona odpowiedziała pogodnym uśmiechem.
- Zawsze! Doszłam do wniosku, że lepiej być szczerą, niż dać się wmanewrować w niechciane małżeństwo. Bez trudu zauważyłam, że nie jest panu obojętne panna Marchment, z czego może wynikać pana niechęć do mnie.
Lord Philip przełknął ślinę. Po raz pierwszy spojrzał Jane w oczy.
- Czy panna Marchment...? To znaczy... czy ona coś mówiła... - Urwał, a na jego chłopięcej twarzy odmalował się niepokój oczekiwania. - To jest najwspanialsza osoba, jaką spotkałem w życiu, panno Verey. Prawdziwy anioł! Kiedy uśmiechnęła się do mnie wtedy u Almacka poczułem się najszcześniejszym człowiekiem na świecie! - Twarz Philipa spochmurniała, kiedy uświadomił sobie, że te wynurzenia kieruje do swojej niedoszłej narzeczonej. - Przepraszam - mruknął - ma pani szczęście do przyjaciółek...
- Ależ proszę nie przepraszać - powiedziała Jane ze słodyczą. - Ja bardzo lubię Sopię! To najmiłsza dziewczyna pod słońcem. Chciałabym ją widzieć szczęśliwą. I dlatego

właśnie poprosiłam pana o rozmowę! Usiądźmy na chwilę i omówmy to wszystko dokładnie. Usiedli na ławeczce w cieniu altany.

- Bądźmy ze sobą szczerzy - zaczęła rzeczowo Jane. - Żadne z nas nie ma ochoty na to małżeństwo, ale zamiast narzekać, połączmy siły, to wtedy na pewno zdołamy jakoś przeciwstawić się planom pańskiego brata.

Twarz lorda Philipa pojaśniała, ale po chwili znów była pochmurna.

- Doceniam pani szczerść, panno Verey, ale jeśli i ja miałbym być równie szczerzy, to chodzi w tym wszystkim głównie o pieniądze. Alex popłaci moje długi tylko pod warunkiem, że się ożenię z panią!

Wsadził ręce w kieszenie marynarki.

- To nie znaczy, że jestem jakimś szczególnie utracjuszem, po prostu Alex przyznał mi śmiesznie niskie apanaże, więc... - nieznacznie zmarszczył czoło - nie da się tego uniknąć. Nieważne dlaczego, w każdym razie mój brat upiera się przy tym małżeństwie i żadnym innym. Boję się, że jesteśmy na nie skazani.

Dokładnie w tym momencie Jane uniosła wzrok i zobaczyła księcia Delahaye zbliżającego się do nich na wspinałym kasztanie. Dosiadał konia z nonszalancką wprawą. Jeszcze ich nie zauważył, ale Jane wiedziała, że to tylko kwestia czasu.

- Jeśli zdołamy przekonać pańskiego brata, że jesteśmy gotowi do ślubu, to zyskamy pewną przewagę - drążyła dalej. - Proszę mi zaufać, sir. Już ja wymyślę taki plan, który mi pozwoli i uniknąć tego małżeństwa, i popłacić pańskie

długi! A wtedy poślubi pan pannę Marchmont i wszyscy będziemy szczęśliwi!

Lord Philip robił wrażenie kompletnie oszołomionego.

- Naprawdę byłaby pani w stanie wymyślić taki plan? -zapytał słabym głosem.

- Czy byłabym w stanie? Skoro tak łatwo poszło mi z panem...

Lord Philip próbował zrobić minę pełną potępienia, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jane stwierdziła, że jej stosunek do niego staje się nieco cieplejszy.

- Tak - przyznał lord Philip niechętnie - podeszła mnie pani całkiem zgrabnie. Za taki nieczysty chwyt powinienem

być wobec pani bez litości. - Odchrząknął. - Mam jednak wyrzuty sumienia z powodu tamtego wieczoru. Wiem, że za chowałem się po grubiańsku, ale byłem taki zły na Aleksa za to, że mnie wmanewrował w tę sytuację... Nie chciałem obrazić ani pani domu, ani gościnności lady Verey, ani...

Philip urwał i zrobił się czerwony jak burak.

- Słyszałam, jak szła do pana pokojówka - pospieszyła z pomocą Jane. - Ale proponuję, żebyśmy nie mówili ani o tym, ani o niefortunnych plotkach na mój temat, jakie krążyły po mieście...

Lord Philip był zdruzgotany.

- Panno Verey... -jąkał się nieporadnie. - Ja nie chciałem... jak pani...?

- Proszę mi wybaczyć, wiem, że nie powinnam tego wspominać. - Jane z trudem hamowała śmiech. Zaczynała lubić lorda Philipa, który przypominał jej wyrośniętego sztubaka. - Zacznijmy wszystko od nowa - dodała życzliwie.

-Rozumiem, że może być panu z bratem niełatwo.

- Och, Alex to porządny facet - powiedział Philip wstrzemięźliwie. - Tyle że czasem lubi narzucać swoją wolę. Może nawet sama pani zdołała to zauważyć, panno Verey!

Jane widziała teraz wyraźnie zbliżającego się księcia. Pokazała zęby w olśniewającym uśmiechu.

- Może istotnie Jego Książęca Mość nie jest przyzwyczajony do grzecznego towarzystwa - zgodziła się ze słodyczą.

- W jego traktowaniu innych z pewnością brak ogłady!

Philip roześmiał się.

- Po raz pierwszy słyszę, panno Verey, żeby płeć piękna krytykowała Aleksa.

Kiedy zatrzymał się koło nich książę, Jane i Philip ciągle jeszcze się śmieli.

Philip zwrócił się do brata.

- Witaj, Alex! Cóż to, lady Dennery nie towarzyszy ci w przejażdżce?

- Szanowna lady Dennery nie uprawia tego sportu - odparł Alex bez uśmiechu. - Dzień dobry, panno Verey, sama na przechadzce?

- Ależ skąd! Ja towarzyszę pannie Verey - odparł Philip, skwapliwie i przekonująco wcielając się w rolę adoratora Jane. - Chcieliśmy się lepiej poznać! Bardzo cię proszę, nie psuj nam tego. Musimy porozmawiać na osobności! -I widząc, że Alex zaciska usta ze złością, dodał: - Ręczę za przyzwoitość!

Jane zdawała sobie sprawę, że przez cały czas, nawet rozmawiając z bratem, Alex Delahaye nie spuszczał jej z oka. Było coś deprymującego w tej skupionej na niej uwadze; nie rozumiała też, czemu ją zawdzięcza. Czyżby ich podejrzewał o jakąś grę? Musiała przyznać, że sprawy przybrały nieocze-

kiwany obrót, ale przecież zgodny z jego oczekiwaniami. Dlaczego więc był taki wściekły?

- Proszę mi wybaczyć - powiedział przez zęby. - Nie chciałem przeszkadzać państwu w romansowaniu. Zobaczymy się podczas śniadania, jeśli zdołacie się oderwać od uroków natury! Żegnam!

- No, jakoś wyszliśmy z opresji - powiedział lord Philip, kiedy księżę oddalił się galopem; robił wrażenie, jakby nie dostrzegał gniewu brata. Wstał i wyciągnął rękę do Jane, patrząc na nią ze szczerym podziwem.

- Jest pani wspaniałą dziewczyną, panno Verey! Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Alex Delahaye wyładował gniew, galopując przez park, kiedy jednak wjechał kłusem, już znacznie spokojniejszy, na teren stajni, dręczył go w dalszym ciągu irytujący niepokój. Zeskoczył ze zdyszanego konia, poklepał go z uznaniem po zadzie, a następnie z podziękowaniem przekazał stajennemu i ruszył w stronę domu. Na szczycie szerokich tarasowych stopni czekała na niego lady Eleanor. Na jej twarzy widniał wyraz zadowolenia.

- A nie mówiłam! - powitała go ciotka. - Wiedziałam, że tydzień na wsi załatwi wszystko. Panna Verey i Philip spacerują sobie razem i wyglądają na całkowicie sobą pochłoniętych! Mówiłam ci, Alex.

- Istotnie mówiła ciocia! - odparł Alex kwaśno, czując, że cała złość wraca. Widział, jak Philip nadchodzi wolno od strony jeziora, pogrążony w rozmowie z panną Verey. Ręka Jane tkwiła pod jego ramieniem w sposób świadczący o bliskości, a w ich śmiechu też była jakaś intymna nuta. Alex po-

czuł ukłucie czegoś, co bardzo przypominało zazdrość... czy może był to ból?

Czegoś podobnego nie przeżywał od lat, od tamtych koszmarnych czasów, kiedy to żona powiedziała mu, że ma dość jego mało wyrafinowanych manier i że dla urozmaicenia bierze sobie kochankę. Do dziś pamiętał wyraz jej oczu: zimne, wyzywające okrucieństwo, które prowokowało do tego, by robić wyrzuty, by wybuchnąć. Wydawało mu się niezrozumiałe, że tak bardzo mogło się między nimi zmienić. Jako młode małżeństwo - Madeline osiemnastoletnia, on dwudziestoletni - byli w sobie bez pamięci zakochani, jednak pokusy i uroki miasta zniszczyły tę miłość. Madeleine, która miała słaby charakter i łatwo ulegała wpływom, wkrótce stała się utracjuszką, ale kiedy próbował z nią rozmawiać, kończyło się to awanturą. Wreszcie zaczęła go publicznie poniżać, nazywając złym, przedwcześnie postarzałym mężem. Byłby może się nawet pogodził z brakiem wspólnych zainteresowań, ale jej ciągłe naigrawanie się i szyderstwa były zbyt bolesne, a niewierność ostatecznie przekreśliła jego wiarę w to, że cokolwiek jeszcze da się uratować. Gdyby tylko nigdy nie pojechali do Londynu, gdyby tylko w porę zabrał ją do Hayenham, gdyby okazał się silniejszy...

Ruszył za lady Eleanor do salonu, trzasnąwszy za sobą drzwiami ze szczególną zaciekłością. Przynajmniej Francine Dennery nie wstanie jeszcze przez jakieś dwie godziny i chociaż ten powód do irytacji zostanie mu na razie oszczędzony! Jej coraz mniej subtelne aluzje do ich wzajemnej relacji wywoływały w nim jedynie obojętność i Alex już teraz żałował, że pod wpływem impulsu zaprosił ją do Malladon. Lady Eleanor była zdania, że jest to równoznaczne z deklaracją,

i książkę obawiał się, że miała rację. Tej komplikacji z pewnością sobie nie życzył. Przez chwilę w wyobraźni porównywał szczupłe, ale jakżeż podniecające kształty Jane Verey z nadmiernie okrągłymi wdziękami, którymi usiłowała go częstować Francine Dennery. Jane... taka delikatna, taka słodka, niewinna, tylko czekająca na to, by ją obudzić. Alex poczuł tak wielkie pragnienie, że musiał się odwrócić.

Drzwi otworzyły się ponownie i weszli Jane i lord Philip. Alex natychmiast zauważył rumieniec na jej wysmaganych wiatrem policzkach, czarny pukiel, spoczywający w zagłębieniu szyi i ognik śmiechu w oczach. Zaciśnął pięści; coś chwyciło go za gardło. To dlatego, że go zawiodła - wytłumaczył sobie. Mimo wszystko była taka sama jak inne młode dziewczyny - może trochę bardziej uparta i rogata, ale w gruncie rzeczy chodziło jej o to samo: dobrze wyjść za mąż. Lady Eleanor miała rację, twierdząc, że Jane Verey się ustakuje i w końcu zaakceptuje zaręczyny. A on nie wierzył, że może się to okazać aż tak łatwe.

Wytłumaczył sobie, że jest rozczarowany, bo gra się skończyła, zanim się jeszcze na dobre zaczęła. Przypuszczał, że Jane Verey jest zbudowana z trwalszej materii, i świadomość, że się pomylił, była mu bardzo nie w smak. A jednocześnie wiedział, że się okłamuje. Problem polegał na tym, że miał już dla panny Verey program alternatywny, który w tej sytuacji okazał się zbędny. Mimo wszystko musi ją traktować jak szwagierkę. Co za ironia losu: tak naciskał na jej małżeństwo z Philipem... tak, ale zanim zrozumiał, że w gruncie rzeczy pragnie czego innego...

Z rozmyślań wyrwał go piskliwy głos lady Dennery.

- Do diaska! - zaklął pod nosem i zanim ktokolwiek zdą-

żył powiedzieć słowo, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Pojawił się dopiero na kolacji.

- Czy aby na pewno jesteś zadowolona z tego planu? - zapytała Jane, kiedy dziewczęta zatrzymały konie na szczycie wzgórza, spoglądając na dach położonego w dolinie Malladon. - Mam nadzieję, że nie jest ci przykro, kiedy widzisz, jak lord Philip otwarcie się do mnie zaleca? Bo jeśli tak, to powiedz tylko słowo i natychmiast przestaniemy!

Sophia odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Miała zarumienioną twarz, a w jej błękitnych oczach igrały ogniki. Wyglądała wspaniale i Jane nie mogła się nadziwić, że nikt poza nią nie dostrzegł zmiany w nastroju jej przyjaciółki. Powinna jednak się z tego cieszyć. Wzbudzenie podejrzeń lady Eleanor czy - co gorsza - księcia z pewnością przekreśliłoby jej plany.

Od trzech dni bawili już w Hertfordshire i sprawy układały się dokładnie po jej myśli. Lord Philip z całym oddaniem grał jej zalotnika, ona zaś pozornie przyjmując jego umizgi, w gruncie rzeczy stwarzała okazję do tego, by mógł adorować Sophię. Uspilo to skutecznie czujność lady Verey i lady Eleanor, dzięki czemu poczynania Sophii niemal całkowicie uchodziły ich uwagi. Lady Dennery również okazała się zagorzałym, choć nieświadomym sprzymierzeńcem, cały czas absorbując księcia swoją osobą.

Jane uśmiechnęła się z zadowoleniem. Widziała galopującego w ich stronę lorda Philipa, który wyruszył na przejażdżkę jeszcze przed nimi z zamiarem dołączenia do nich, gdy tylko przestanie być widoczny z okien domu. Lady Verey bez

obaw puszczała dziewczęta na konne przejażdżki po posiadłości. Wychowane na wsi, doskonale radziły sobie z koniem, nie widziała więc w tym żadnego zagrożenia.

Lord Philip podjechał do nich, unosząc szpicrutę na powitanie. Uśmiechnął się do Jane, a następnie zwrócił do Sophii, nawiązując rozmowę. Konie ruszyły stępą; przodem jechali Philip i Sophia; nieco za nimi Jane, pilnując, by się trzymać w dyskretnej odległości. Była rada ze swojej strategii - miała ona tę dodatkową zaletę, że gwarantowała dobry humor lorda Philipa, a i ona, zyskując w ich osobach sprzymierzeńców, czuła się znacznie silniejsza. Jedyny problem polegał na tym, by nie dać się złapać...

- Widziałem, jak Alex jechał z lady Dennery do Moreton Hall - powiedział Philip przez ramię, z uśmiechem przeznaczonym dla Jane. - Był w wyjątkowo ponurym nastroju, ale może mieć pretensję jedynie do siebie o to, że nas wszystkich ubrał w jej towarzystwo. Trudno byłoby znaleźć gorzej wychowaną i bardziej pazerną kobietę.

Sophia skarciła go za te uwagi.

- Daj spokój, Philipie, przynajmniej za jedno powinniśmy być jej wdzięczni: że tak skutecznie zajmuje uwagę twojego brata! - Wzdrygnęła się. - Ze strachem myślę o tym, że mógłby nas rozszyfrować.

- Obronię cię w razie czego, kochanie - rzekł wesoło lord Philip, a Sophia zarumieniła się na dźwięk tego pieszczotliwego słowa. Przez chwilę Jane z troską patrzyła, jak jadą alejką wśród brzoź. Ta konspiracja byłaby czymś strasznym, gdyby się okazało, że lord Philip nie ma wobec Sophii poważnych zamiarów. Ale przecież nie mogła się mylić co do jego szczerości. Zmarszczyła czoło. Była przekonana, że

jedynie konieczność zachowania tajemnicy nie pozwalała Philipowi się zdeklarować.

Księżę wrócił akurat na czas, by być świadkiem, jak cała trójka wjeżdża na dziedziniec, tym razem z Philipem u boku Jane. Oparty o drzwi stajni, rozmawiał z głównym stajennym. Kiedy go mijali, wyprostował się, a jego twarz przybrała chmurny wyraz. Nie uszło to uwagi Jane, która stwierdziła, że od kiedy zawarła przymierze z jego bratem, księżę znacznie częściej ma marsową minę. Stan wojenny zdecydowanie lepiej mu służył.

Tego dnia kolacja bynajmniej nie była pogodnym posiłkiem. Lady Denney, wyraźnie skłócona z księciem, rozładowywała zły humor w kąśliwych uwagach na temat nudnej wsi i kiepskiego towarzystwa. Alex nie zadawał sobie nawet trudu, by odpowiadać na te zaczepki, i szybko przykry nastrój udzielił się innym. Kiedy panie opuściły jadalnię, Jane z ulgą skorzystała z okazji i wymknęła się do biblioteki. Zdjęła z półki dość zniszczony egzemplarz „Toma Jonesa” i „Dialogów botanicznych” Marii Elizabeth Jackson i zwinęła się na kanapce przy oknie.

Minęło dobre półtorej godziny, zanim odgłos kroków oderwał ją od lektury, a suchy głos zapytał:

- Ucieka pani, widzę, w literaturę, panno Verey? Z pewnością uważa ją pani za przyjemniejszą od atmosfery panującej w salonie, nieprawdaż?

Przed nią stał Alex Delahaye i z ironicznym wyrazem twarzy oceniał dobór jej lektur.

- Czy studiuje pani botanikę, panno Verey? W ostatnich latach dokonano w tej dziedzinie ciekawych odkryć.

Jane skinęła głową.

- Owszem, czytałam kilka ciekawych publikacji i uczyłam się botaniki w Ambergate - przyznała.

- To ciekawy kontrast z „Tomem Jonesem” - zauważył Alex. - Nie sądzę, żeby pani mama była tym zachwycona.

Jane niechętnie odłożyła książkę.

- I ja też nie sądzę. Powiedziała mi, że w szczególności nie powinnam tego czytać przed zamążpójściem. Ale... -Urwała. Już zamierzała powiedzieć, że zamążpójścia nie ma w ogóle w planie, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Byłby to wielki błąd! Nagle nabrała przekonania, że Alex odgaduje każdą jej myśl i że bez trudu przejrzałby ją na wylot, ujawniając kolejną mistyfikację. Zarumieniła się w poczuciu winy i nagle zerwała z kanapki.

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Książęca Mość, ale muszę dołączyć do pań.

Próbowała się wymknąć, wymijając księcia, ale położył jej rękę na ramieniu.

- Chwileczkę, panno Verey. Odprowadzę panią z przyjemnością, ale przedtem chciałbym pani coś pokazać.

Pociągnął ją przez pokój do miejsca, w którym wisiał we nęcę wielki olejny obraz. Jane zauważyła go zaraz po wejściu do biblioteki, ale obraz był ukryty w mroku, więc się przed nim nawet nie zatrzymała. Teraz, kiedy Alex oświetlił go lampą, patrzyła w milczeniu jak urzeczona.

Obraz przedstawiał kobietę, delikatną blondynkę, ubraną według mody sprzed dziesięciu lat. Wyglądała bardzo młodo. Spoczywała na szezlongu w pełnej gracji pozie, z jedną ręką opartą na obroży niewielkiego pieska, który spoglądał na nią z uwielbieniem w ślepkach. Jane uznała obraz za kiepski, sztuczny i upozowany, jednak w pięknie i słodczy postaci

dostrzegła coś zniewalającego. A więc to była Madeline De-lahaye! Nic dziwnego, że pamięć tej pełnej wdzięku i urodziwej kobiety pozostała w księciu do dziś żywa. Patrząc na jej pustą, umalowaną twarz, Jane zastanawiała się, co sprawiło, że z nie zepsutej dziewczyny stała się samolubną po-szukiwaczką przygód, która zdradzała męża z taką ostentacyjną pogardą dla jego uczuć i opinii publicznej. Wspominając gorycz, z jaką Alex mówił o niej wtedy u Almacka, pomyślała, że go rozumie. Wyraźnie, ignorując niewierność żony, postanowił skupić się na tym, co było w ich małżeństwie dobrego. Fakt, że wczesny portret żony zajmował tak poczesne miejsce, świadczył o tym, że księżę celowo podkreślał swój uczuciowy stosunek do zmarłej i jej wiecznie żywą pamięć.

Jane poczuła coś w rodzaju złości na Madeline za to, że śmiała zawładnąć miłością Aleksa, po to tylko, by ją ze wzgardą odrzucić. Gdyby to ona mogła sobie zaskarbić uczucie takiego mężczyzny... Obraz nagle zamigotał, przesłonięty łzami. Jakież to niesprawiedliwe, że Alex dalej żywi tak silne uczucie dla zmarłej żony. Jak mogła się z nią równać którakolwiek kobieta? Tłumiąc łkanie, wyrwała rękę z jego uścisku i wybiegła z biblioteki.

Usłyszała, jak za nią zawołał:

- Poczekaj, Jane! - Ale duma nie pozwoliła jej na to, by zdradziła się przed nim ze łzami.

Później, kiedy siedząc już z suchymi oczyma w swoim pokoju, po raz pierwszy przyznała przed sobą, że go kocha, pomyślała z goryczą, że duma to jedyne, co jej jeszcze zostało.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- No, powiedzcie sami, czy nie jest przyjemnie? - zagadnęła lady Eleanor Fane z błyskiem powściąganej wesołości w oczach i popatrzyła na źle dobrane towarzystwo swoich gości, siedzące pod parasolami na piknikowych kocykach.

Była więc lady Dennery, o trochę zmiętej twarzy, ubrana z przesadą, co bezlitośnie podkreślało światło dnia, i w rozdrażnieniu skubiąca jedzenie. Koło niej siedział Alex Dela-haye, wyraźnie znudzony i przygaszony. Wyglądało na to, że się zamienili z bratem na role, lord Philip bowiem, pogrążony w rozmowie z Jane Verey, śmiał się i tryskał humorem. Niedaleko nich Sophia czarowała lorda Blakeneya, robiąc wrażenie bardzo szczęśliwej. Lady Verey, z uśmiechem zadowolenia na twarzy, drzemała w słońcu.

No, no - pomyślała lady Eleanor ubawiona - jeżeli Jane Verey rzeczywiście nie lubi Philipa, to naprawdę bardzo dobrze udaje! Wygląda na to, że wszystko układa się pomyślnie. A tej małej Marchment, która, wydawało się, bez reszty zawróciła Philipowi w głowie, jakoś to zupełnie nie przeszkadza. Zastanawiam się... jej wzrok ześlizgnął się na Aleksa, który siedział nachylony, słuchając pilnie tego, co mówiła Francine Dennery. Jeżeli Alex da się jej złapać, to bardzo głupio z jego strony - pomyślała lady Eleanor z przyganą. Jednakże w zachowaniu Aleksa niewiele było z adoracji ko-

chanka, a jego wzrok od czasu do czasu wędrował ku Jane Verey z trudnym do wytłumaczenia zainteresowaniem.

Przybycie lorda Blakeneya okazało się w tej sytuacji zbawienne. Pojawił się w Malladon czwartego dnia ich pobytu, po odwiedzinach u mieszkającego w sąsiedztwie starego bogatego wuja. Philip, świadom panującej wśród gości atmosfery skrepowania, nalegał, by lord Blakeney do nich dołączył, na co ten ostatni przystał bez większych oporów.

- Cała okolica trzęsie się od plotek - wyznał Jane pierwszego wieczora po przyjeździe. - Delahaye nigdy nie bywa w Malladon, a tym razem nie tylko sam przyjechał, ale jeszcze przywiózł ze sobą całe towarzystwo!

Jane uznała, że był to bardzo dziwny tydzień. Pozornie wszystko wyglądało wspaniale. Były przejażdżki konne po okolicy i spacer, i odwiedziny u przyjaciół i sąsiadów. Było nawet nieformalne przyjęcie z tańcami, Alex Delahaye jednak oświadczył, że chce już wracać do Londynu. Ten piknik miał być ostatnim wydarzeniem towarzyskim przed jutrzejszym wyjazdem.

W gruncie rzeczy jednak sprawy nie wyglądały tak dobrze, jak się wydawało. Jane, speszona swoim zachowaniem w bibliotece i uczuciem do Aleksa, robiła wszystko, co w jej mocy, żeby go unikać. Księżę ze swej strony, zajęty sprawami majątku i dręczony coraz bardziej natarczywymi aluzjami lady Dennery do przyszłości, też starał się nie wchodzić jej w drogę. Również lady Verey nie szczędziła niedwuznacznych uwag i Jane ocknęła się nagle przerażona bliską perspektywą ogłoszenia zaręczyn z lordem Philipem. A tymczasem Sophia i lord Philip zmierzali do swojego własnego finału, którym, jak się spodziewała Jane, miały być ich zarę-

czynny. Nagle wszystko wydało jej się nieznośnie skomplikowane, beznadziejne i smutne.

Jane odegnęła osę, która uporczywie atakowała jej lemoniadę, i opuściła szerokie rondo kapelusza, żeby osłonić twarz przed słońcem. Zdawała sobie przy tym sprawę, że Alex patrzy na nią. Chyba książę nie może mieć do niej pretensji - jej stosunek do Philipa jest bardzo serdeczny, co spotyka się z podobną spontaniczną reakcją z jego strony. Mimo to czuła, że jest coś, co denerwuje Aleksa, a czego zupełnie nie mogła zrozumieć. Niemal od tygodnia łamała sobie nad tym głowę.

Uniosła wzrok i napotkała spojrzenie Philipa. Uzgodnili, że Jane wymyśli jakiś pretekst do przechadzki, a Sophia i Blakeney pomogą odwrócić uwagę towarzystwa. Z cichym westchnieniem wstała i otrzepała spódnicę z okruchów.

- Dziękuję bardzo, ale muszę się przejść, żeby nieco zła godzić efekty tego wspaniałego jedzenia. Czy ktoś ma może ochotę mi towarzyszyć?

Lord Philip ochoczo wszedł w swoją rolę.

- Ja byłbym chętny, panno Verey. Panno Marchmont, Blakeney, może i wy byście się przyłączyli?

- Och, z przyjemnością, wspaniały pomysł! - podchwyciła skwapliwie Sophia. Pozwoliła, by lord Blakeney pomógł jej wstać, i poprawiła wstążki czepeczka. Jane, z miłym słówkiem podziękowania, wzięła od lorda Philipa swój szal. Lady Verey uśmiechnęła się szczerze na widok takiej harmonii.

- Mną się nie przejmuj, kochanie - powiedziała sennie. - Drzemka w słońcu dobrze mi zrobi, nie wątpię, że lady Eleanor dotrzyma mi towarzystwa. Ale może inni...

Jane zauważyła chmurę na czole księcia. Wiedziona impulsem, zwróciła się do niego:

- A może i pan by się wybrał na spacer, Wasza Książęca Mość? Lady Dennery?

Zobaczyła zdumioną minę Philipa, z trudem hamującego śmiech. Ryzyko nie było wielkie; na twarzy lady Dennery odmalowało się niemal obrzydzenie.

- O, nie, nie, nie! Za spacer bardzo dziękuję! - powie działa, jakby Jane zaproponowała coś nieprzyzwoitego. - Przypuszczam, że Alex zostanie tu ze mną i spędzimy czas na miłej pogawędce.

Jane uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Jak pani sobie życzy! - Nie śmiała spojrzeć na księcia w obawie przed jego reakcją.

- No, to idźcie, moi mili - rzekła pogodnie lady Eleanor.

- My, starsi, chętnie zostaniemy tutaj zażywać spokoju i ciszy!

Zakwalifikowanie do grona „starszych” lady Dennery przyjęła jako afront, a i czoło Aleksa zachmurzyło się. Miał taką minę, jakby zamierzał kogoś zamordować. Jane dygnęła z szelmowskim uśmiechem.

- Dziękujemy - powiedziała i cała czwórka odeszła, rozmawiając wesoło.

- Och, muszę powiedzieć, że bez żalu wrócę do miasta - westchnęła Sophia. - Wieś ma swoje uroki, ale nie jest tak ekscytująca. Lady Jersey wydaje w przyszłym tygodniu bal, który ma być gwoździem sezonu!

- Też o tym słyszałem - potwierdził Blakeney. - Podobno za temat obrała klasyczne mity i legendy. Mówią, że Fran-cine Dennery zamierza wystąpić w samym prześcieradle.

- Nie pierwszy raz - roześmiał się lord Philip, ale widząc

na twarzy Sophii wyraz niewinnego zmieszania, odchrząknął głośno.

Nagle Jane zatrzymała się i zwróciła do lorda Blakeneya.

- No nie! Zapomniałam parasolki; mama będzie na mnie zła, jeśli się opalę. Uważa, że piegi nie przystoją damie! Lordzie Blakeney, czy nie zechciałby pan wrócić po tę moją nie szczęsną parasolkę? Byłabym panu ogromnie wdzięczna...

Lord Blakeney, człowiek tyleż sympatyczny co gapowaty, zapewnił Jane, że czuje się zaszczycony, mogąc być użyteczny, i posłusznie zawrócił. Jane przez chwilę za nim patrzyła, po czym z uśmiechem zwróciła się do swoich towarzyszy:

- Idźcie naprzód, nie ma sensu, żebyśmy tu wszyscy czekali. Lord Blakeney zaraz wróci i natychmiast ruszymy za wami.

Sophii i Philipowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Jane schowała się w cieniu kępy drzew i patrzyła, jak się oddalają, pogrążeni w rozmowie.

Uśmiechnęła się mimo woli. Zrobiłaby wiele, żeby zapewnić przyjaciółce szczęście, i z satysfakcją patrzyła, jak jej strategia przynosi owoce. Podzielenie grupy znaczyło, że Sophia i Philip będą sami, a jednocześnie na tyle blisko reszty towarzystwa, by zasadom przyzwoitości stało się zadość. Lord Blakeney z pewnością za chwilę wróci, ale już ona dopilnuje, żeby się zbytnio nie starali ich dogonić. Uważała, że jako taktyk nie ustępuje królewskim generałom.

Na myśl o dalszym etapie swojego planu zasępiła się nieco. Od tej chwili mogły wystąpić najróżniejsze trudności. Po pierwsze, wiedziała, że kiedy tylko wróci do Londynu, lady Verey ogłosi w „Morning Post” wiadomość o zaręczynach. A tego za wszelką cenę należało uniknąć. Następnie musi

znaleźć jakiś sposób na rozwiązanie problemów finansowych lorda Philipa i wreszcie doprowadzić do jego małżeństwa z Sophią. Przyznawała jednak, że przynajmniej w tej chwili nie miała na to żadnego pomysłu.

Jej rozmyślenia przerwał zupełnie nieoczekiwany rozwój wypadków.

Zbliżała się do niej - niby anioł zemsty - jakaś postać z jej parasolką w ręku. Nie był to jednak korpulentny lord Blakeney, tylko ktoś znacznie od niego wyższy i bardziej atrakcyjny: księżę Delahaye. W przystępie paniki Jane rzuciła się między drzewa, nie dostrzegając jednak dość stromego spadku terenu ani mulistego błocka pod nogami. Nie była pewna, czy chce uciekać, czy tylko się schować; wiedziała jedno: że lada chwila zostanie przyłapaną na kolejnej intrydze i że nie ma czasu na wymyślenie żadnej sensownej wymówki.

Nie zdążyła ani uciec, ani się schować, ponieważ Alex zbliżał się z denerwującą szybkością.

- Co to za nonsens z tą parasolką, panno Verey? I gdzie się podział mój brat z panną Marchmont?

Jane znalazła się w trudnej sytuacji. Rąbek spódnicy miała unurzany w błocie, a w przekrzywionym czepeczku przypominała starszą panią, która nadużyła wina. Była zdyszana i zaczerwieniona, a bliskość rozwścieczonego Aleksa wprawiała ją w drżenie.

- To nie żaden nonsens, Wasza Księżęca Mość - odparła, mimo zdenerwowania okazując opanowanie. - Trzyma pan przecież parasolkę w ręce. Proszę tylko uważać na tę gałąź!

Patrzyła, jak twarz Aleksa powoli łagodnieje, gdy księżę opuszczał ramię, by podać jej parasolkę.

- A co z moim bratem i panną Marchment? - zapytał z podejrzanym spokojem.

Jane obdarzyła go ujmującym uśmiechem.

- Zaproponowałam im, żeby poszli przodem. Nie było sensu, żebyśmy wszyscy czekali na moją parasolkę. Zamierzałam ich dogonić zaraz po powrocie lorda Blakeneya. -W tonie Jane wyraźna była nuta niezadowolenia, że zamiast lorda Blakeneya pojawił się książę. - Przypuszczam, że w tej chwili zdążyli już dołączyć do reszty towarzystwa.

- To dziwne, że Philip zdecydował się opuścić panią choćby na chwilę - rzekł sucho książę. - Przez cały tydzień trzymał się pani jak rzep.

- Właśnie! Czy to nie cudowne? - powiedziała Jane pogodnie. - Chyba jest pan rad, że wreszcie doszliśmy z lordem Philipem do porozumienia.

- Natura tego porozumienia w znacznym stopniu dotyczy mnie - rzekł Alex uprzejmie. - Od dość dawna mnie już pani oszukuje, panno Verey, ale dość tego, to się już skończyło!

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi, książę. - Jane w dalszym ciągu udawała obrażoną niewinność.

Alex chwycił ją za ramię i obrócił twarzą do siebie.

- Naturalnie, panno Verey, nie od dziś podziwiam pani uczciwość! A prawda jest taka, że spiskując przeciwko swe mu małżeństwu, zdołała pani znaleźć sprzymierzeńca w moim niecnym bracie, a także - nie wątpię - również w pannie Marchment. Jakież to oczywiste - rozmyślał na głos Alex, którego usta wygięły się w lekkim uśmiechu. - Zupełnie nie rozumiem, jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć! I po myśleć, że uwierzyłem w to, iż pani potulnie zaakceptowała moje plany! Musiałem upaść na głowę!

Zapadło milczenie. Umysł Jane, który aż do tej chwili tak dobrze jej służył, pod wpływem dotyku Aleksa nagle odmówił posłuszeństwa. A co gorsza, gdy umysł nie pracował, zmysły zdawały się szczególnie wyostrzone. Chłoneły płacziwą słodycz śpiewu ptaków, szelest liści i chłodną pieśczoć wiatru na rozpalonych policzkach. Alex uporczywie wpatrywał się w Jane. Nic na świecie nie było w stanie oderwać ich od siebie.

Widziała, jak wyraz rozbawienia znika z jego oczu, ustępując czemuś, co budziło w niej dreszcz.

- Czy mam sprawdzić moją teorię i siłę pani uczucia dla mojego brata? - zapytał cicho. - Obawiam się, że jest ono nieodparte...

Jane miała dość czasu na to, by odejść, i wiedziała, że książę nie zrobi nic, żeby ją zatrzymać. Nie umiałaby jednak powiedzieć, co ją przykuwało do miejsca, poza typową dla niej i często fatalną w skutkach ciekawością; już wcześniej w cichości ducha zastanawiała się, jak by to było, gdyby ją pocałował, a teraz postanowiła poznać odpowiedź na to pytanie. Obojętne zresztą, jakie były tego powody, stała nieruchomo w miejscu, a książę nachylił się, żeby ją pocałować.

Dotyk jego ust był zwodniczo lekki, zwykle muśnięcie, jeśli nie liczyć tajemniczego prądu zmysłowości, który przeszył ją gwałtownie. Jane poczuła, jak ją ogarnia fala słodkiej niemocy, pozostawiając po sobie uczucie dojmującej przyjemności. Bezbłędnie poznała moment, w którym Alex powinien był wziąć ją w ramiona, ale ku jej bezgranicznemu rozczarowaniu puścił ją i cofnął się o krok.

- Przepraszam, bardzo przepraszam, panno Verey - po-

wiedział beznamiętnie. - Obawiam się, że uległem impulsowi, który już od jakiegoś czasu nie dawał mi spokoju.

Jane nabrała tchu. Czula zawrót głowy od świeżego jeszcze doznania - smaku jego warg, delikatnego dotyku - a jednocześnie przepelniało ją rozczarowanie, że się odsunął, zamiast wziąć ją w ramiona.

- Nie sądzę, Wasza Książęca Mość - powiedziała z niewybaczalną szczerością - żeby całowanie przyszłej narzeczonej brata było rzeczą stosowną!

- Nie... z pewnością nie - rzucił jej spojrzenie z ukosa - .. .gdyby pani istotnie miała zostać tą narzeczoną, panno Verey! Pani pozwoli, że ją odprowadzę do reszty towarzystwa, zanim coś jeszcze jej się przytrafi.

Po chwili wahania Jane przyjęła jego ramię i ruszyli wolno poprzez cętkowany cień do skraju zagajnika. Zdenerwowanie zaczęło po trochu przechodzić, ale w dalszym ciągu czuła dojmująco jego obecność. Zauważyła też z lekką urazą, że sam Alex wydawał się nieporuszony tym, co się między nimi wydarzyło. W gruncie rzeczy wydał jej się w tej chwili znacznie weselszy i swobodniejszy niż w ciągu całego tygodnia.

- A więc - zagadnął uprzejmie - zechce pani wyjawić prawdę? Czy to wszystko jest, czy nie jest z pani strony kolejną zręczną intrygą?

Nawet Jane zabrakło odwagi, by kłamać w żywe oczy.

- Ale to tak świetnie działało... - zaczęła z nutą żalości w głosie. - Sam pan powiedział, że dał się nabrać!

- Rzeczywiście, musiałem być bardzo głupi - zgodził się uprzejmie. - Szczerze mówiąc, uważałem, że zbyt dobrze panią znam, by się ponownie dać podejść.

Jane odchrząknęła. Z jakiegoś powodu zarówno jego słowa, jak i ton wywołały w niej niepokój. Stworzyły poczucie pewnej intymności, które poruszyło emocje, rozbudzone od nowa tym spotkaniem. Nie wiadomo jednak dlaczego, nie doszukała się w jego głosie nuty oskarżycielskiej - przeciwnie, było w nim zdumiewająco dużo ciepła.

- Mówił pan, że nie zasługuję na zaufanie - wypomniała mu z odrobiną goryczy, ale księżę zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

- Owszem, powiedziałem coś takiego i bardzo mi jest z tego powodu przykro. Chciałem panią po prostu sprowokować, ale to w najmniejszym nawet stopniu mnie nie usprawiedliwia! Proszę mi wierzyć, panno Verey, od dawna podziwiam pani strategię i determinację, by się nie poddać.

Ciszę, jaka zapadła, mącił tylko świergot ptaków i szmer strumyka. Jane poczuła, że się rumieni, i spuściła wzrok, Alex zaś, wyczuwając jej zmieszanie, bez słowa ruszył naprzód.

- Proszę mi powiedzieć, co pani planowała w następnej kolejności, jeśli wolno wiedzieć? - zapytał. - Pani plan był dobry na bliską metę, ale jednocześnie bardzo niebezpieczny. Musi sobie pani zdawać sprawę przede wszystkim z tego, że lady Verey zamierza ogłosić zaręczyny zaraz po naszym powrocie do miasta!

- Tak, owszem... - Jane była rada, że księżę oderwał ją od zamętu jej własnych nieuporządkowanych myśli. -.. przyznam, że istotnie był to dla mnie pewien problem. Nie mam jeszcze pomysłu, jak uniknąć formalnych zaręczyn.

- Nie ma obawy, z pewnością by pani coś wykombinowała - rzekł Alex tak pocieszająco, że Jane spojrzała nagle,

by sprawdzić, czy nie jest to przypadkiem jakaś nowa prowokacja z jego strony. Uśmiechał się jednak do niej bez odrobiny szyderstwa.

- Tak sędzę - przyznała ze smutkiem - ale teraz, kiedy pan zna już prawdę...
- Właśnie, będziemy musieli pomyśleć o czymś innym!
- Ja tylko chciałam, żeby chociaż Sophia była szczęśliwa

- powiedziała Jane, idąc za tokiem własnych myśli. - To znaczy - dodała skwapliwie - nie zamierzam wyjść za mąż za lorda Philipa, ale skoro stało się jasne, że chce tego Sophia, to ufałam, że przynajmniej ona może liczyć na pomyślne zakończenie. Czy pan sądzi - spojrzała na Aleksa z nadzieją - że mógłby pan pozwolić...?

Książę robił wrażenie bardzo przejętego.

- Będę musiał się nad tym zastanowić, panno Verey - odparł.

Jane postanowiła na razie do tego nie wracać. Chciała walczyć o przyszłość Sophii, ale jednocześnie wiedziała, że książę nie jest człowiekiem, na którym można by cokolwiek wymusić. Poza tym sam na sam z Alekssem wprawiało ją w stan podniecenia, wołała więc uciekać z zacienionych przytulnych miejsc wśród zieleni. Siła jego ramienia, którą czuła pod palcami, bliskość ciała, o które ocierała się lekko. .. tego wszystkiego była boleśnie świadoma, a nie chciała zdradzać swoich uczuć.

Wyszli z cienia w ostre słońce i Jane odetchnęła z ulgą.

- Widzę przed nami mojego brata z panną Marchmont -zauważył rzeczowo książę. - Jak pani słusznie przewidziała, już się zbliżają do reszty towarzystwa.
- Och, pospieszmy się, to jeszcze ich dogonimy - powie-

działa z wdzięcznością Jane. Nie miała najmniejszej ochoty przedłużyć tego krępującego spotkania. Wyglądało jednak na to, że Alex nie podziela jej chęci.

- Och, nie spieszmy się tak bardzo - powiedział wolno, spoglądając na nią z rozbawieniem. - Taki pośpiech, w pełnym słońcu... z pewnością pani nie posłuży.

- Odzyskałam już parasolkę - odparła zuchwale - a poza tym nie jestem kruchym kwiatkiem!

- Racja, panno Verey, raczej prężnym korzeniem, choć to mało pochlebna charakterystyka. Nigdy bym nie lekceważył pani odporności.

Jane przechyliła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Pan mówi zagadkami, Wasza Książęca Mość! - wypała bez ogródek. - To szalenie deprymujące.

Alex uśmiechnął się w sposób jeszcze bardziej intrygujący.

- Proszę mi wybaczyć, ale myślałem, że jako wytrawny strateg bez trudu mnie pani zrozumie. Chciałem jedynie powiedzieć, że chociaż przejrzałem pani bieżący plan, to jednak nie miałem najmniejszej pewności, czy nie istnieje już następny! A jeśli tak, to błagam panią, by go pani łaskawie poniechała! Mam bowiem własny zamysł i chociaż może trochę potrwać, nim go dopracuję w szczegółach, to ufam, że w końcu wyda spodziewane owoce.

- Mam nadzieję, że nie będzie to w zgodzie z pana innymi posunięciami, sir - powiedziała cierpko i niezupełnie szczerze.

- Jeśli ma pani na myśli pocałunek, to nie była to zamierzona część planu - przyznał Alex, uśmiechając się w dalszym ciągu - ale teraz, kiedy się przekonałem, jak bardzo jest to przyjemne i skuteczne, kto wie, czy znów nie spróbuję...?

Proszę mi powiedzieć, panno Verey, czy broniłaby się pani tak bardzo? Byłby to interesujący sprawdzian pani uczciwości.

Chmurny wzrok Jane skrzyżował się z jego spojrzeniem, ale nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ byli już za blisko reszty towarzystwa. Wołała sobie nie wyobrażać, co można by wyczytać z jej miny. Wszystkie sprzęty piknikowe zostały elegancko spakowane i lord Philip pomagał właśnie lady Ve-rey i lady Eleanor wsiąść do powozu, który miał je zawieźć z powrotem do domu. Lady Dennery, z miną jak gradowa chmura, stała nieco z dala od reszty towarzystwa i ze złością stuknęła parasolką w ziemię.

Lord Philip powitał brata z podejrzaną niewinną miną.

- O, Alex! Już prawie straciliśmy nadzieję, że się pojawisz. Myśleliśmy, że gdzieś wyparowaliście z panną Verey.

- Kusząca perspektywa - mruknął pod nosem książę, zerkając w stronę Jane. Po chwili dodał głośniejszym głosem: - Czy wszyscy są gotowi do powrotu?

- Ja już jestem gotowa od godziny! - warknęła lady Dennery. - Widzę, że zupełnie nie liczysz się z innymi, Alex. - Obrzuciła Jane pogardliwym spojrzeniem. - Zapomniałeś się w swojej sielance z tą małą...

- Uważaj, Francine! - Ton księcia był łagodny, ale Jane wyczuła w nim coś, co ją zelektryzowało. Przez moment, zanim zwrócił się do niej z wystudiowaną uprzejmością, widziała w jego oczach błysk emocji.

- Czy zechce pani iść piechotą, czy raczej jechać, panno Verey?

Nie czekając na odpowiedź Jane, lady Dennery wydała

ordynarny, urągliwy odgłos i energicznym krokiem ruszyła w kierunku domu.

- Co za szokujące maniery! - Lady Eleanor starała się ukryć uśmiech na widok klęski lady Dennery. - Znosi się na deszcz, Aleksie, może byś pani pomógł?

Książę uniósł brew.

- Myślę, że trafi do domu - powiedział obojętnym tonem. - Z pewnością woli być sama. - Następnie zwrócił się do Jane i tym razem jego uśmiech był pełen rozbijającego ciepła. - Panno Verey?

- Wolałabym jechać, dziękuję, sir - powiedziała spiesznie Jane, mimo że zdecydowanie wolałaby przespacerować się przez park. Pozwoliła Aleksowi pomóc sobie wsiąść do drugiego powozu i zajęła miejsce obok Sophii.

- Och, Jane - szepnęła przyjaciółka - czy widziałaś, jakie spojrzenie posłał ci książę? Wydaje mi się, że... że lady Dennery uważa cię za rywalkę! I że... że książę ma chyba do ciebie słabość...

- Biedna lady Dennery - powiedziała nazajutrz rano Sophia, gdy tylko na podjeździe osiadł kurz za powozem tej damy - wszystkie jej nadzieje legły w gruzach. To musi być dla niej naprawdę straszne!

- Być bogatą wdową! - powiedziała nieco jadowicie Jane. - Może nie udało jej się usidlić księcia, ale z pewnością znajdzie się wielu innych kandydatów!

Odeszła od okna sypialni i zbliżyła się do spakowanej już przez pokojówkę walizki. Rano wszyscy wracali do Londynu - z wyjątkiem lady Dennery, która otrzymała zaproszenie od

przyjaciół do Buckinghamshire, gdzie miał być pewien podstarzały markiz. Jane czuła, że droga powrotna bez niej będzie znacznie łatwiejsza, chociaż była to tylko niewielka pociecha wobec innych poważnych spraw, które zaprzętały jej myśli.

Sophia z troską spoglądała na przyjaciółkę.

- Czy aby na pewno nic ci nie jest, Jane? Dzisiaj jakbyś była nie w formie.

Jane westchnęła, wypakowując z walizki połowę ubrań w poszukiwaniu ulubionych rękawiczek.

- Przepraszam, Sophy, masz rację, jestem skołowana, ale to wszystko wydaje się takie trudne...

Jane usiadła na łóżku, a po chwili obok niej Sophia.

- Powiedz mi, co cię nęka? - nalegała. - Czy chodzi ci o to, że lady Verey planuje ogłoszenie zaręczyn zaraz po powrocie do Londynu? Muszę przyznać, że owszem, jest to trochę trudne...

Jane wydała odgłos, który był czymś pomiędzy szlochem a śmiechem.

- Och, Sophy, jesteś mistrzynią eufemizmów! Chodzi w gruncie rzeczy o to, że matka zamierza ogłosić moje zaręczy z człowiekiem, który powinien się ożenić z tobą! Nie mam żadnego pomysłu na rozwiązanie problemów finansowych lorda Philipa i nie widzę innego wyjścia z tej trudnej sytuacji, jak tylko takie, żebyście razem uciekli!

Sophia zbladła.

- Och, Jane, nie sądzę, żeby to było dobre rozwiązanie. Wtedy księżę całkowicie obetnie Philipowi apanaże i wszyscy będą nieszczęśliwi!

Jane wstała i zaczęła przechadzać się niespokojnie.

- Księżę wie, że moje uczucie dla lorda Philipa to tylko

pozór - rzekła przez ramię. - I to jest w tym wszystkim najgorsze! Zarzucił mi to wczoraj i ostrzegł, żebym nie próbowała żadnych sztuczek. Że nic nie zyskam podstępem.

- Co za bystry człowiek z tego księcia! - wzdrygnęła się Sophia. - Przez cały czas miałam wrażenie, że zna prawdę.

- Na złodzieju czapka gore - powiedziała Jane bez owijania w bawełnę. - Księżę nie miał o niczym pojęcia aż do wczoraj, kiedy mi przyniósł parasolkę. A prawdy domyślił się, widząc ciebie i Philipa idących razem. To wtedy się zorientował. Usiłowałam mu tłumaczyć, że powinien na was patrzeć życzliwie, ale... - Jane urwała, nie chcąc niepotrzebnie rozbudzać nadziei Sophii. Ostatecznie Alex powiedział, że ma jakiś plan. Ale ten plan niekoniecznie musi uszczęśliwić wszystkich.

- Może... - Sophia unikała wzroku przyjaciółki - cały problem mógłby zostać rozwiązany, gdyby się okazało, że księżę żywi uczucie do ciebie... - Urwała, patrząc na Jane z nadzieją, a następnie wybuchnęła: - Och, gdyby on cię kochał, toby nie chciał, żebyś wyszła za Philipa, a tym samym jego serce zmiękłoby i dla nas...

Jane potrząsnęła głową.

- Nie, Sophy, obawiam się, że jesteś w błędzie! Wczoraj mówiłaś, że księżę ma do mnie słabość, ale wiem na pewno, że się mylisz.

Ale Sophia nie ustępowała. No cóż, tak bardzo chciała, żeby to była prawda - pomyślała Jane. W ten sposób problem mojego niechcianego małżeństwa z lordem Phili-pem zostałyby rozwiązany i wszyscy żyliby długo i szczęśliwie...

Jane zrobiła kwaśną minę.

- Przykro mi, Sophy, ale naprawdę się mylisz.

- Już ja widziałam, jak on na ciebie patrzy, Jane! A kiedy lady Dennery robiła pod twoim adresem niegrzeczne uwagi, dał jej należytą odprawę za to, że cię próbowała zlekceważyć. Z pewnością...

Jane głęboko zaczerpnęła tchu. Był tylko jeden sposób na przekonanie Sophii.

- Wiem, że to nie może być prawda, bo wczoraj księżę mnie pocałował i zrobiło to na nim tak niewielkie wrażenie, że już za chwilę o tym zapomniał!

Sophia wydała cichy pisk.

- Przepraszam cię, powtórz, co powiedziałaś...?

- Pocałował mnie - powtórzyła Jane z irytacją.

- Och, Jane! - Oczy Sophii zrobiły się ogromne. - Czy to było bardzo straszne?

- Nie - powiedziała wolno Jane - nie było. Muszę przyznać, że - przeciwnie - nawet dosyć przyjemne. - Uśmiechnęła się nagle mimo woli. - To wszystko jest takie okropnie dziwne i ani trochę nie posuwa naszej sprawy do przodu.

- Och, Jane! - powtórzyła Sophia z przejęciem. - Ale jeżeli on cię pocałował...

- To był tylko element gry! - Z twarzy Jane jak gdyby uszło całe światło. - Już ci mówiłam: nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Dla niego to tylko gra!

Sophia patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

- Gra?

Jane zdecydowała, że nie może teraz wyjaśniać Sophii kolejnych skomplikowanych etapów swojej znajomości z Ale-xandrem Delahaye. Pojedynek na inteligencję z księciem był początkowo świetną zabawą, wyzwaniem, które miało w so-

bie element radosnego podniecenia. Kto mógłby pomyśleć o cierpieniu? A jednak...

Wybrała łatwiejsze wyjaśnienie.

- Jestem przekonana, że księżę Delahaye w dalszym ciągu kocha swoją żonę - powiedziała - i dlatego żadna inna kobieta nie ma na co liczyć. Była bardzo piękna, pokazał mi jej portret, który do dziś wisi na poczesnym miejscu, świadczącym o jeszcze żywej miłości. - Jane odwróciła się, zamykając wieko walizki i starannie zapinając paski, żeby ukryć zmieszanie. Jej uczucie było za świeże na jakiegokolwiek zwierzenia.

- Och, Jane - rzekła Sophia, z nutą współczucia w głosie, jakby odgadywała myśli przyjaciółki - i co zamierzasz zrobić?

- Unikać go - odparła ponuro Jane. - Nie wyjdę za mąż za lorda Philipa, ale i nie chcę mieć do czynienia z jego bratem!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sprzeciw Aleksa wobec tego planu ujawnił się niemal natychmiast. Podczas gdy Jane za wszelką cenę starała się go unikać, książę z rozmysłem poszukiwał jej towarzystwa. W holu, przed wyjazdem do Londynu, zaprosił ją do swego powoziku; lord Philip miał wieźć w swoim Sophie, a stangret w dużym powozie starsze panie. Lady Eleanor uniosła brew w wyrazie dezaprobaty, jednakże nikt nie ośmielił się zwrócić księciu uwagi. Lady Verey odczuwała przed nim nabożny lęk, a Jane uważała wszelkie próby przeciwstawienia się Aleksowi za bezcelowe. Sophia i Philip robili wrażenie oszołomionych tym publicznym wyrazem akceptacji i Sophia, idąc do powozu, rzuciła Jane spojrzenie, stanowiące mieszaninę wątpliwości i zadowolenia. Jane odczytała je, i słusznie, jako potwierdzenie domysłów przyjaciółki na temat słabości księcia do niej i zapowiedź przyszłych bezlitosnych indagacji. Postanowiła na razie nie zaprzętać tym sobie głowy;

Zjechali z podjazdu i wyruszyli drogą za powozem. Podróżowanie z tak wytrawnym woźnicą sprawiało Jane przyjemność. Powozik był doskonale resorowany, widoki wspaniałe, a pogoda piękna. Z ulgą też stwierdziła, że rozmowa ma charakter nieobowiązującej pogawędki na różnorodne tematy - od dzieciństwa w Ambergate poprzez jej botaniczne

zamiłowania do innych ciekawych problemów, stanowiących przedmiot zainteresowań obojga.

- Mam nadzieję, że jest pani zadowolona z pobytu, panno Verey - rzekł trochę oficjalnie Alex po upływie mniej więcej godziny i Jane odniosła wrażenie, że od tematów obojętnych przechodzą do bardziej osobistych.

- Owszem, dziękuję - odparła ostrożnie. - Miło było ponownie znaleźć się na wsi, a Malladon to piękny dom.

Alex roześmiał się cicho i spojrzał na nią z ukosa.

- Żadnych zastrzeżeń do rozrywek i towarzystwa?

Jane poruszyła się, lekko speszona.

- Nuży mnie zbyt długie przebywanie w tym samym gronie - przyznała. - Odnoszę wrażenie, że wszyscy sobie nawzajem zagląдают do kieszeni.

Widocznie jestem zbyt mało tolerancyjna dla innych!

- A jak pani sądzi: dlaczego tak dużo czasu spędzam w Hayenham? - zapytał książę z szelmowskim uśmiechem. - Jestem chyba najmniej towarzyską osobą, jaką można sobie wyobrazić! Atrakcje sezonu, z jego przyjęciami, to dla mnie ciężka próba! Czyżby braterstwo dusz, panno Verey?

Jane nie ufała sobie na tyle, żeby odpowiedzieć księciu wprost.

- Co do mnie, to z pewnością przedkładałam wieś nad Londyn. Myślę, że próba zrobienia ze mnie idealnej młodej damy musiała być dla mojej matki poważnym wyzwaniem.

- Oby się pani nie zmieniła! - rzekł nagle Alex. - Niezależność umysłu to rzadka cnota u młodych dam, a jeszcze rzadziej doceniana. Straciłem rachubę tych mdłych i pustych dziewcząt, jakie co roku spotykam w salonach. To naprawdę przerażające, że są zachęcane do takich zachowań!

- To bardzo nieelegancko tak mówić! - zaprotestowała ostro Jane. - A jak pan myśli, co one mogą sądzić o panu, Wasza Książęca Mość?

Alex był wyraźnie zaskoczony.

- Dobre pytanie! Poza tym, że jestem bogatym księciem poszukującym żony, tak?

- No właśnie! Z pewnością nie zabraknie kobiet, które dla tytułu i pieniędzy są skłonne tolerować najróżniejsze wady!

Alex uśmiechnął się, gdy dotarł do niego sens słów Jane, nie próbował jednak polemizować z jej komentarzem.

- Pani wśród nich nie będzie, prawda, panno Verey?

- Naturalnie, że nie! Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie - wytknęła mu Jane. - Może pańska osobowość jest tak przytłaczająca, że wszystkie młode kobiety, które pan spotyka na swojej drodze, pierzchają spłoszone.

- Dobrze zatem, że nie wymagam, by ze mną wytrzymały! - odparł Alex lakonicznie. - Chociaż pani, panno Ve-rey... - Urwał i wydał okrzyk.

Idąc za jego wzrokiem, Jane zobaczyła, że jedno z kół jadącego przed nimi powozu zaczyna się gwałtownie chwiać. Mimo ostrzegawczych krzyków Aleksa rozległ się po chwili trzask drewna i powóz przechylił się na bok. Koło odpadło, potoczyło się i wylądowało w rowie, a pojazd - niby tłusta jejmość - osiadł na środku drogi.

Philip, którego faeton otwierał kawalkadę, ściągnął lejce i pospiesznie zawrócił. A kiedy Jane i Alex dojechali na miejsce wypadku, lady Eleanor, uspokajana przez Sophię, zdążyła już z pomocą mężczyzn wysiąść. Tymczasem lord Philip ze stajennym ratowali lady Verey.

Okazało się wkrótce, że kiedy powóz się przechylił, lady Verey niefortunnie przygniotła sobie rękę i zwichnęła ją w nadgarstku. Z bólu i szoku zemdląła, a że nie była lekka, mężczyźni mieli wielki kłopot z wyciągnięciem jej z powozu. Kiedy się to już ostatecznie udało, Alex posłał stajennego po lekarza, sam zaś pojechał do najbliższej gospody zawiadomić o wypadku. Tymczasem chorą położono przy drodze na jednym z koców, reszta zaś towarzystwa otoczyła ją kołem, bezradnie czekając, aż odzyska przytomność.

- O, proszę, sole trzeźwiące! - wykrzyknęła z tryumfem lady Eleanor, która przez chwilę prowadziła gorączkowe poszukiwania w torbie. - Moja biedna Clarissa! Jest biała jak ściana!

Jane uznała, że dla matki to nawet lepiej, że straciła przytomność - przynajmniej dopóki nie przyjedzie lekarz i nie zbada ręki. Szczęśliwie w tym momencie wrócił Alex z zaimprovizowanymi, zrobionymi z ławki noszami, na których zaniesiono chorą do gospody.

Jane, obserwująca to wszystko z niepokojem, ale i odrobiną rozbawienia, zauważyła, że obecność Aleksa w dziwny sposób usuwa wszystkie przeszkody. W ciągu kilku minut zaniesiono lady Verey do sypialni, a resztę towarzystwa zaproszono do salonu i poczęstowano napojami. Tymczasem orzybył lekarz, by nastawić zwichniętą rękę. Uszkodzony po-azd ściągnięto na dziedziniec gospody i powierzono kołodziejowi, końmi zaś zajęli się stajenni. Wszystko to zostało załatwione z maksymalną szybkością i przy minimalnym zamieszaniu. Podczas wizyty doktora Jane cały czas siedziała przy matce, po czym zeszła do salonu, gdzie reszta towarzystwa z niepokojem oczekiwała wiadomości.

- Matka ma zabandażowaną rękę i czuje się znacznie lepiej - oznajmiła w odpowiedzi na pytanie lady Eleanor. - Teraz śpi, ponieważ jest bardzo wyczerpana, ale twierdzi, że jutro już będzie mogła wracać. Gdyby... - odruchowo zwróciła się do Aleksa - ..gdyby pan mógł po powrocie do miasta zawiadomić mojego brata... I gdyby jutro Simon po nas przyjechał, to my do tego czasu świetnie sobie poradzimy. Nie ma potrzeby, żebyśmy wszystkich wstrzymywały.

Słowa Jane spotkały się z gorącymi protestami.

- My cię tu przecież nie możemy zostawić samej, drogie dziecko! - powiedziała stanowczo lady Eleanor. - Wykluczone, zostaniemy wszyscy!

Sophia przyłączyła się do protestów.

- Och, Jane, to niemożliwe, żebyś tu sama została. Każdy wie, że gospody to bardzo niebezpieczne miejsca! Gotowi cię zgwałcić w twoim własnym łóżku!

- To naturalne, że panna Verey zamierza zostać z matką, żeby się nią zająć - rzekł gładko Alex, powściągając uśmiech. - Właśnie rozmawiałem z właścicielem gospody, mają tylko trzy pokoje i dlatego nie możemy zostać wszyscy. Będzie lepiej, ciociu Eleanor, jeśli ciocia wróci do Londynu. Zapewniono mnie, że powóz jest już sprawny. Philip z pewnością chętnie będzie towarzyszył cioci i panie Marchment, która musi dziś u cioci zanocować, nie przystoi bowiem, żeby przebywała sama z lordem Vereyem na Portman Square. Ja zostanę z panną Verey i jej matką.

Jane już otworzyła usta, żeby zaprotestować przeciwko formie, w jakiej Alex zdecydował o wszystkich, ale bardzo szybko je zamknęła pod surowym spojrzeniem księcia. Lady Eleanor była najwyraźniej urażona.

- Widzę, Aleksie, że masz już to wszystko dokładnie przemyślane.

- Tak jest, proszę cioci - zgodził się książę, popychając delikatnie lady Eleanor w stronę drzwi. - To wszystko ma służyć naszemu wspólnemu dobru. Do jutra niewiele możemy zrobić dla lady Verey, ale trzeba się też zająć i panną Marchment. Philipie - brat księcia ochoczo wystąpił do przodu - bądź uprzejmy zabrać lady Eleanor i pannę Marchment do rowozu. A po przyjeździe zawiadomić o tym, co się stało, Simona Vereya.

Jane uciekła na górę. I tym razem Alex zdołał podporządkować sobie wszystkich, wołała więc chwilowo nie mieć z nim do czynienia. Była przekonana, że specjalnie tak pokierował sprawami, żeby zostać z nią sam na sam, i wobec tego czuła nieodpartą pokusę, żeby resztę dnia spędzić w pokoju matki.

Lady Verey spała, nie zdradzając najmniejszych objawów gorączki, przed którą przestrzegał doktor. Jane siedziała przy niej przez kilka godzin, dopóki za oknem nie zapadły ciemności, a burczenie w żołądku nie uświadomiło jej, że od dawna nie miała nic w ustach. Zastanawiała się właśnie, czy zejść na dół i zamówić kolację, gdy rozległo się pukanie do drzwi do pokoju zajrzała córka gospodyni.

- Jego Książęca Mość przesyła ukłony i zapytuje, czy chce pani przyjąć jego zaproszenie na kolację w salonie. Ja tym czasie chętnie zastąpię panią przy matce.

Jane chciała odmówić, ale książę pozbawił ją oczywistej wymówki, angażując dziewczynę do opieki nad lady Verey. bez pośpiechu umyła twarz i ręce i zeszła na dół.

W salonie panowała miła atmosfera - w kominku płonął niewielki ogień, a dokoła unosił się smakowity zapach jedzenia. Jane zaczynała się powoli odprężyć. Alex stał przy kominku, ale gdy tylko się pojawiła, wyszedł jej naprzeciw, podsuwając krzesło i pytając o zdrowie lady Verey. Jane stwierdziła, że jest zdenerwowana. Nagle zdała sobie sprawę z niezwykłości, a nawet intymności sytuacji, w jakiej się znaleźli. Księżę podał jej kieliszek madery i po chwili wahania spróbowała trunku.

- Jest pani wyjątkowo milcząca - powiedział Alex, gdy przez całe pierwsze danie nie odezwała się ani słowem. - Mam nadzieję, że wypadek lady Verey nie wytrącił pani całkiem z równowagi.

- Och, nie! - Jane próbowała wziąć się w garść. - To znaczy żal mi mamy, bo to, co ją spotkało, jest bardzo przykre, ale mam nadzieję, że wyjdzie z tego bez szwanku. Chciałabym panu podziękować za pomoc, sir. Bez niej nasze kłopoty byłyby znacznie dotkliwsze.

- Nawet jeśli ceną jest konieczność znoszenia mojego towarzystwa? - zapytał Alex z zuchwałym uśmiechem. - Widziałem, że razila panią moja despotyczność, panno Verey!

Jane powstrzymała uśmiech.

- Pan jest bardzo bezpośredni, sir.

- Lubię szczerość, tak jak i pani. A może naprawdę wolałaby pani zostać sama i stawić czoło tym wszystkim niebezpieczeństwom, które według panny Marchmont czyhają w takich miejscach jak to?

- Nie sądzę, żeby mi tu rzeczywiście groziło jakiegokolwiek niebezpieczeństwo - powiedziała Jane rzeczowo. - Mi-

mo to Wasza Książęca Mość zdecydował, że wymagam opieki, za co z pewnością też winna mu jestem wdzięczność.

- To drobiazg. Miałem w tej sprawie swoje powody.

- Nie wątpię - odparła Jane, nieco uszczypliwie. - Czy zawsze wszyscy podporządkowują się pańskiej woli, sir?

- Prawie zawsze! - rzekł radośnie Alex. - Z wyjątkiem pani, panno Verey! Jest pani jedynym godnym uwagi wyjątkiem i było to dla mnie zbawienne doświadczenie.

Jane spojrzała księciu prosto w oczy.

- Rozumiem, że chodzi panu o moją odmowę wyjścia za pańskiego brata? Jeśli zamierza pan poświęcić dzisiejszy wieczór na to, żeby mi wyperswadować mój upór, to ostrzegam, że to zwykła strata czasu. Nie zmieniłam zdania w tej >prawie!

Alex wpatrywał się w rubinową czerwień wina.

- Może to dziwne, panno Verey, ale nie miałem tego w planie. - Uniósł wzrok i serce Jane zabiło mocniej, kiedy ich oczy się spotkały. - Chociaż chętnie bym się dowiedział, dlaczego jest pani tak bardzo przeciwna temu małżeństwu.

Odwróciła wzrok.

- Po prostu małżeństwo jest bardzo poważną sprawą, Wasza Książęca Mość. Szanuję pańskiego brata - łączy nas serdeczna przyjaźń - ale nie widzę, na czym mielibyśmy budować wspólne życie. - Zarumieniła się. - Ale czy musimy rozmawiać na ten temat? Dla mnie jest on zamknięty.

Alex skłonił głowę.

- To wobec tego nie rozmawiajmy. Byłoby nieelegancko; mojej strony drażnić temat, który jest pani niemiły. - Za-

milkł i po chwili dodał: - Jednakże pani zdecydowany opór każe podejrzewać, że jest pani gdzie indziej zaangażowana uczuciowo. Wprawdzie już kiedyś panią o to pytałem, ale może teraz, gdy się lepiej poznaliśmy, zechce pani być bardziej wobec mnie szczerą...?

Jane wpatrywała się w księcia, podczas gdy pieróg na jej talerzu stygł powoli. Ależ oczywiście! Jak mogła wcześniej na to nie wpaść! Trudno sobie wyobrazić lepszą taktykę! Nie była w stanie uwierzyć, że do tej pory nie wymyśliła jakiegoś tajemniczego narzeczonego czy nieodwzajemnionej miłości. Był tylko jeden problem: tożsamość tej osoby...

- Na przykład Henry Marchnight... - mówił tymczasem Alex, nadając swojemu głosowi obojętne brzmienie. - Za uważyłem, że cieszy się pani sympatią, ale może to uczucie głębszej natury...

Czarne i orzechowe oczy spotkały się, wytrzymując spojrzenie. Jane drżała - pokusa była wielka. Henry wydał jej się świetnym kandydatem na obiekt nieodwzajemnionej miłości, przystojny, czarujący... W spojrzeniu Aleksa było jednak coś, co ją zmuszało do szczerości.

- Och, znam Henry'ego całe wieki - rzuciła od niechce nia. - I kocham go jak brata. Żałuję, że się pan myli, ale nie będę udawała, że jest inaczej.

Odniosła wrażenie, że Alex odczuł niebywałą wprost ulgę, ale zupełnie nie rozumiała jej przyczyn. Milczenie, jakie między nimi zapadło, nagle nabrało jakiegoś dziwnego znaczenia.

- Porozmawiajmy o innych sprawach, sir - powiedziała impulsywnie. - Chemie posłucham o Hayenham, gdzie po dobno spędza pan większość czasu.

Opis położonej w Yorkshire siedziby zajął księciu niemal cały czas posiłku i pod koniec Jane prawie czuła słoną morską mgłę i wiatr na wrzosowiskach.

- Widzę, że pan bardzo kocha Hayenham - powiedziała z zadumą. - To brzmi naprawdę wspaniale. A ja sądziłam, że taki człowiek jak pan preferuje inny tryb życia... bardziej aktywny... - Urwała i zarumieniła się pod wpływem spojrzenia Aleksa. - Przepraszam, sir, ja... ja po prostu głośno myślałam.

Alex uśmiechał się.

- Uważa pani zatem, że moje dobra nie dostarczają mi dość intensywnych zajęć?

Jane zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Ja nie chciałam... to pewnie dlatego, że dla mnie jest pan człowiekiem godnym większych wyzwań. Proszę mi wybaczyć - zakończyła pośpiesznie. - Czuję się zmęczona i chciałabym się położyć.

Alex wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

- Chwileczkę, to interesujące. Co pani w mojej sprawie podpowiada intuicja? Co by pani widziała jako odpowiednie dla mnie zajęcie, panno Verey?

Jane wykonała jakiś nieokreślony gest.

- No powiedzmy, weźmy za przykład Henry'ego March-nighta ...

- Musimy? Zaczynam go już mieć dosyć.

- To nonsens. Henry jest doskonałym przykładem. Robi wrażenie rozpustnika i hazardzisty, a nie ma z tym absolutnie nic wspólnego.

Nagle wzrok Aleksa stał się dziwnie czujny.

- Jak mam to rozumieć, panno Verey?

- Tak, że Henry wiecznie znika w jakichś tajemniczych prawach, udając, że nie interesuje go nic poza poszukiwaniem rozrywek, gdy tymczasem każdy, ktokolwiek go zna, wie, że to tylko pozory. Nie ulega wątpliwości, że musi być zaangażowany w jakieś tajne rządowe sprawy. Tak jak i pan...

Urwała, oblewając się purpurowym rumieńcem.

- Proszę mi wybaczyć, sir, już i tak powiedziałam zbyt dużo. Chwilami nie nadążam za swoją wyobraźnią.

Alex nachylił się do niej.

- A co mówi pani wyobraźnia na mój temat, panno Verey? Samozwańczy odludek, pod przykrywką nieco ekscen trycznej reputacji ukrywający... co?

Jane wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, sir. Obiecałam, że zachowam przy sobie to, co zdarzyło się wtedy w Vauxhall, a także pańskie działania w Spitalfields - i słowa dotrzymałam. Ale nie muszę być jasnowidzem, żeby się zorientować, że dzieje się coś dziwnego. Jednak... - Jane zmarszczyła czoło, uświadomiwszy sobie, że jej kieliszek jest pusty, a w głowie się kręci od wina i zmęczenia... - jednak pan naprawdę powinien na siebie uważać. Nie może być tak, żeby ktoś skradał się za panem z nożem!

- Wezmę sobie pani radę do serca, panno Verey - powiedział poważnie Alex. - Jestem naprawdę wzruszony pani troską o mnie. Ciekawe, o czym to może świadczyć...?

Jane uzmysłowiła sobie nagle, jak bardzo czuje się zmęczona. Jedzenie, ciepło ognia, ale przede wszystkim wino sprawiły, że ogarnęło ją wielkie znużenie. Zerwała się z miejsca. Zrobiło się późno. Panujący w pokoju mrok stwarzał at-

mosferę zbyt intymną, by mogła się czuć swobodnie, a książę za bardzo zbliżał się do prawdy. Uznała, że trzeba uciekać, zanim zdradzi wszystkie swoje sekrety.

- Mam nadzieję, że moja matka, chociaż leży w łóżku, może pełnić rolę przyzwoitki - powiedziała niepewnie. - Bo to chyba nie jest całkiem przyzwoite, Wasza Książęca Mość...

Alex uśmiechnął się.

- Być może ma pani rację! Może jest pani nawet bezna dziejnie skompromitowana, panno Verey!

Mrugnęła do niego jak sowa.

- To raczej pański brat ma reputację rozpustnika!

W oczach Aleksa zapaliły się iskierki humoru.

- Możliwe. Ma pani dowody na to, że ja też nie jestem święty, prawda, panno Verey?

Pokój nagle wydał się Jane o wiele za mały. Zaczęła się wycofywać w stronę drzwi. Alex wstał i przeciągnął się z leniwą gracją.

- Pani pozwoli, że ją odprowadzę do jej pokoju.

Chciała zaprotestować, ale ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że jest za słaba nawet na to, żeby wyartykułować jakiegokolwiek słowa. Złapała się za oparcie krzesła, żeby nie stracić równowagi.

- O Boże...

- To reakcja na wrażenia tego dnia - wyjaśnił Alex rzeczowo i zanim Jane zdążyła powiedzieć „nie”, porwał ją v ramiona. - Zaniosę panią na górę.

- Wykluczone! - Szeroko otworzyła oczy, nagle otrzeźwiona. - Pan tego nie może zrobić!

Śmiał się z niej już teraz otwarcie:

- Jest pani całkowicie bezpieczna, panno Verey! Nigdy nie musiałem się zniżać do uwodzenia młodych dziewcząt w gospodach!

- Nie, ale... - Jednak wszelkie próby sporu z Alekssem okazały się zbyt wielkim wysiłkiem; oczy Jane zamykały się same, bez udziału jej woli. - Gdyby nas ktoś zobaczył...

- Wtedy musiałyby pani wyjść za mnie za mąż. To bardzo proste.

Nagle wszystko stało się bardzo proste i dla Jane. Różne kawałki łamigłówek zaczęły się układać w całość.

- Tak - powiedziała sennie - bo to jest właśnie prawdziwa przyczyna, dla której nie mogę wyjść za pańskiego brata...

Otworzyła oczy. Twarz Aleksa była tuż nad jej twarzą, a jego oczy wydawały się tak ciemne i przepastne, że mogłaby w nich utonąć. Cień płomienia padł na surową linię szczęki i usta księcia.

- Ale dlaczego, panno Verey...?

- Bo ja przecież właśnie pana...

Zamknęła oczy i oparła głowę na jego ramieniu. Wydało jej się, że słyszy, jak Alex mówi:

- Przerwała pani w najciekawszym momencie, panno Verey. - Poczwała, jak ją tuli do siebie i jak jego usta bardzo delikatnie muskają jej włosy. Nie miała siły protestować, nie miała siły nawet otworzyć oczu. Było jej ciepło i bezpiecznie i zanim Alex zdążył ją zanieść na górę, mocno zasnęła.

Nazajutrz obudziła się bardzo późno. Podniesione głosy docierały z kuchni do jej pokoju, mieszając się z turkotem kół na brukowanym dziedzińcu. Jane przeciągnęła się. Było

jej ciepło i dobrze, dopóki nie przypomniała sobie wypadków poprzedniego dnia. Czula się bardzo senna... Co ona takiego powiedziała? Musiała zasnąć w salonie i Alex... A jej ubranie - o zgrozo - leżało schludnie przewieszane przez oparcie krzesła przy oknie. Zamknęła oczy. Przecież nie mogła poprosić...

- Panno Verey! - Córka gospodyni zastukała do drzwi i zaraz potem wsadziła głowę. - Matka prosi, żeby pani przyszała, bo pan Verey już przyjechał! Czy zechce pani zjeść teraz śniadanie?

Kiedy Jane pojawiła się w pokoju matki, znalazła lady Verey ubraną, przy śniadaniu i w zdumiewająco dobrym humorze.

- Czuję się wyśmienicie, kochanie - odpowiedziała na pytanie córki - chociaż ręka mnie jeszcze trochę boli. Że też coś tak głupiego musiało mi się przytrafić! Twój brat przyjechał, żeby mnie zabrać do miasta, a księżę ofiarował się ła skawie, że weźmie ciebie...

Jane oblała się rumieńcem.

- Och nie, w żadnym razie! Wolę towarzyszyć w podróży Simonowi i mamie, żebym mogła zadbać o jej wygody.

- Pani matce z pewnością będzie znacznie wygodniej, jeśli zyska w powozie więcej miejsca - dał się słyszeć za plecami Jane od strony drzwi miły męski głos.

- Lady Verey, unżony sługa pani! To wielka przyjemność znaleźć panią w tak dobrej formie.

- Och, Wasza Księżęca Mość, cóż za niefortunny wypadek, ale serdecznie dziękuję za pomoc... - odparła wyraźnie pochlebiona lady Verey.

- To drobiazg - rzekł Alex z ujmującym uśmiechem. Je-

go wzrok powędrował ku Jane. - Dzień dobry, panno Verey. O ile się nie mylę, zrezygnowała pani właśnie z mojego towarzystwa...?

Jane dygnęła skromnie. Tego ranka nie miała ochoty bawić się w dyplomację. Fakt, że we wszystkim książe był od niej szybszy, działał na nią frustrujące

- No właśnie, Wasza Księżęca Mość! Proszę mi wybażyć, ale muszę iść przywitać się z bratem. - I zanim lady Verey zdążyła ją skarcić, wymknęła się z pokoju.

Kiedy nadszedł czas wyjazdu, okazało się, że jej uczuć nie brano pod uwagę. Lady Verey wsiadła do powozu z Simonem, Alex zaś podsadził ją do swojego powoziku, jakby nigdy nic na ten temat nie mówiła. Tak bardzo ją to zirykowało, że była zła i milcząca. Została wystawiona na ciężką próbę: w towarzystwie księcia czuła się nieswojo i cały czas rozpamiętywała wydarzenia ubiegłego wieczoru. Czy on...? Nie, to niemożliwe! Prześladowało ją wspomnienie porządnie powieszzonego ubrania. Nikt nie wiedział na czele z nią...

- Widzę, że dziś rano jest pani dla mnie bardzo niełaska-wa, panno Verey! - zauważył Alex wesoło, widząc jej nieprzystępną minę. - Musi pani jednak przyznać, że lady Verey będzie wygodniej samej w przestronnym powozie... Musi mieć poduszkę pod rękę...

- Wiem, że moja matka nie może podróżować ściśnięta - ucięła krótko Jane. - Chodzi o to, że...

- Że pani nie chciała jechać ze mną. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Nie wiem jednak, co takiego zrobiłem, żeby sobie zasłużyć na tyle niechęci?

Jane odwróciła twarz i pustym wzrokiem patrzyła na

przesuwający się krajobraz. Jej dręczyciel nie dał się jednak uciszyć.

- A może po prostu żałuje pani stów, które wypowiedziała wczoraj wieczorem? - zapytał łagodnie. - Takie wyznanie uczucia...

Jane obróciła się gwałtownie do księcia. Jej orzechowe oczy były wielkie i pełne urazy. Och, dlaczego nie pamiętała!

- Niczego takiego nie wyznawałam! - oburzyła się. - Jak pan śmie, sir!

- Jak to, oczywiście, że pani wyznała! - Alex przeniósł spojrzenie z drogi na zaczerwienioną, wściekłą twarz Jane. - Powiedziała pani, że nie może wyjść za mąż za mojego brata, ponieważ...

- Bardzo pana proszę - przerwała mu Jane pospiesznie z paniką, która przeczyła jej słowom - proszę nie stawiać m-nie w takiej sytuacji! Pan nie jest dżentelmenem, Wasza Książęca Mość, daję słowo!

Książę obdarzył ją uśmiechem.

- Jestem nim na tyle, żeby zostawić panią pod czułą opieką córki gospodarza, zamiast sam wziąć na siebie rolę poko jówki! Chociaż pokusa...

Kamień spadł jej z serca, ale wciąż była zła. Czy on musi zachowywać się tak prowokacyjnie? I jak ten roześmiany mężczyzna może być tym samym surowym księciem Delahaye, którego wszyscy uważali za zimnego i pełnego dystansu?

- Wasza Książęca Mość! - zaczęła wzburzona. - Proszę okazać więcej przyzwoitości.

- Bardzo chętnie. - Alex zniżył głos. - Porozmawiamy o tym innym razem.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła i odwróciła się. Ręce

jej drżały, więc splotła je i zacisnęła, żeby tego nie zauważył. Z największą ulgą stwierdziła, że zdążyli już dojechać do przedmieść Londynu, odezwała się jednak dopiero na Portman Square.

- Czy... czy pani pozwoli, że jutro złożę jej wizytę? - zapytał od niechcienia Alex, pomagając jej wysiąść z powozu. - Czy dziesiąta rano będzie pani odpowiadać? Wiem, że to wczesna pora, ale mam potem pilne sprawy do załatwienia.

- Ja... tak, oczywiście... - Gorączkowo myślała nad jakąś wymówką, ale jej nie znalazła. Z jednej strony pragnęła zobaczyć księcia, z drugiej coś jej mówiło, żeby się wycofała, zanim będzie za późno. - Tak, to całkiem dogodna pora...

- A zatem dobrze. - Alex uśmiechnął się do niej, a isierka humoru w jego ciemnych oczach sprawiła, że puls Jane zaczął bić żywiej. - Ucałował jej dłoń. - Wobec tego do jutra, panno Verey.

Miło było znów znaleźć się w domu. Służba zajęła się lady Verey, Jane zaś zaprosiła Simona do salonu na filiżankę czekolady. Kiedy widzieli się przez krótką chwilę w gospodzie przed wyjazdem, brat wydał jej się zdenerwowany i zmęczony. Teraz, w bezlitosnym świetle dnia, przeraził ją mizerną twarzą i podkrążonymi oczyma.

- Jak ci się wiodło, kiedy nas nie było? - zagadnęła od niechcienia i tylko jej spojrzenie zdradzało prawdziwą troskę o Simona.

- Bardzo źle, Janey. - Smutny uśmiech i użycie zdrobniałego imienia potwierdziły najgorsze obawy Jane.

- Widziałeś się z nią?

Simon udawał, że przegląda „Morning Post”.

- Masz na myśli Therese? Nie, nie chciała się ze mną zobaczyć! - Odwrócił się gwałtownie i wtedy dostrzegła w jego twarzy bezmiar cierpienia, świadczącego o tym, jak bardzo jest nieszczęśliwy. - Przez pierwsze trzy dni zaprzeczali, jakoby ona tam mieszkała, potem powiedzieli, że nie chce się ze mną widzieć, i wreszcie sama Therese oświadczyła, że mam zabierać swoje głupie kwiaty i dać jej święty spokój.

- Posyłałeś jej kwiaty?

- Całymi naręczami! - potwierdził Simon ponuro, odrzucając gazetę. - Wzgardziła nimi, tak samo jak jedzeniem czy innymi rzeczami, które jej posyłałem... - Usta Simona stężały. - Aż w końcu pomyślałem: po co to wszystko? Ona innie nie chce, ale będą setki innych, które mnie zechcą. Dlatego rzuciłem się w wir uciech...

- Och, Simon!

- .. i od tamtej pory się zabawiam. Nie brakuje ładnych dziewcząt w tym sezonie, a do innych rozrywek są inne panie... - Simon zreflektował się nagle. - Przepraszam cię, Jane, ale jestem bardzo rozgoryczony...

- Idź i odeśpij to - powiedziała Jane bez współczucia. - A poza tym powinieneś się ogolić!

- Niestety, nie mam czasu! - odparł, próbując beztroskiego uśmiechu. - Zaprosiłem boską pannę Shearsby na przejażdżkę powozem.

Jane westchnęła. Nie dała się zwieść pozornej beztrosce brata. Wiedziała, że kryje ona głębszy ból. Wyglądało na to, że Therese de Beaurain nie chce znać Simona

i że w tej sytuacji nie ma co próbować przekonywać jej do niego.

- A co z tobą? - zagadnął Simon, zatrzymując się w drzwiach. - Czy rozmawiam z przyszłą lady Delahaye?

Jane zrobiła taką minę, jakby ją spotkał afront.

- O, nie, Simon, mówiłam ci, że nie wyjdę za mąż za lorda Philipa. Mówiłam o tym wszystkim, ale nikt mnie nie słucha!

- Myślałem, że po to była ta eskapada na wieś! - powiedział niezbyt taktownie, ale za to szczerze. - Mama uznała, że to przyspieszy sprawę. Obie z lady Eleanor były tego pewne.

- Trudno, będą musiały się pogodzić z przegraną! Philip ma się ożenić z Sophią -już to wszystko zaplanowałam!

Simon uniósł brew.

- Możesz wobec tego uratować sytuację, wychodząc za Aleksa - rzekł lekkim tonem. Obserwował nagły rumieniec siostry ze szczerym zainteresowaniem. - O, zdaje się, że trafiłem w czuły punkt, Janey! No cóż, moje błogosławieństwo. Byłbym bardzo rad, mając Aleksa za szwagra!

- Już cię tu nie ma! - Jane dosłownie wygnała brata z pokoju, mając już serdecznie dosyć jego towarzystwa. Simon znał ją dostatecznie dobrze, by podejrzewać prawdę, ona zaś nie chciała, by brat się przekonał, jak bardzo jego domysły są trafne. - Idź i niszcź nieszczęsną niczego nie podejrzewającą pannę Shearsby! Chociaż naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego ona chce się pokazywać z takim niecnym typem jak ty!

Alex Delahaye nie pojawił się wieczorem na balu u lady

Sefton. Sophia Marchmont i Philip Delahaye, ku uciesze plotkarzy, tańczyli ze sobą trzy razy. Simon Verey zachowywał się skandalicznie, flirtując z każdą damą, jaka tylko spojrzała w jego stronę, Jane zaś siedziała cicho w kącie, zastanawiając się, co też jutro rano powie jej książę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nazajutrz wstał pogodny dzień, ale chłodniejszy od poprzednich, i Jane, wybierając się z księciem Delahaye na konną przejażdżkę, była rada ze swego ciepłego czerwonego kostiumu. Nie spała już od wielu godzin, ale ostatecznie okazało się, że Alex przyjechał wcześniej i przyprowadził ze sobą wynajętego w stajniach konia.

- Moglibyśmy wziąć faeton, gdyby pani chciała, ale po myślałem, że pewnie wolałaby pani przejażdżkę wierzchem, panno Verey - powiedział. - Odniosłem wrażenie, że w Mal-ladon z wielkim upodobaniem zażywała pani konnej jazdy, dlatego pozwoliłem sobie przyprowadzić stosownego dla pa ni - jak sądzę - wierzchowca.

Z rozmysłem wybrał konia żwawego, tak żeby zająć uwagę Jane podczas przedzierania się przez ruchliwe ulice miasta. I rzeczywiście, niewiele mówili aż do momentu, kiedy znaleźli się w spokojniejszym otoczeniu parku, który o tej wczesnej godzinie był jeszcze zupełnie pusty. Jane zauważyła, że Alex kazał stajennemu trzymać się z daleka, tak żeby nie mógł słyszeć ich rozmów.

Chłodna zieleń szerokich przestrzeni kusila i Jane z trudem stłumiła chęć pogalopowania prosto przed siebie.

- Dzięki, że pan o tym pomyślał, sir - powiedziała spon tanicznie. - To był naprawdę wspaniały pomysł.

Alex uśmiechnął się.

- Przypuszczałem, że będzie pani zadowolona, panno Ve-rey. To wprawdzie nie to samo co wieś, ale zawsze...

- Ale zawsze daje poczucie wolności, o które w mieście tak trudno - dokończyła Jane, a w jej oczach migotały wesołe iskierki. - Czasem miło jest uciec!

- Wieś ma chyba jednak mniej rozrywek, prawda?

- Myślę, że po prostu inne - odparła Jane, z powściągliwym uśmiechem.

- Niektórzy twierdzą, że Londyn jest bardziej ekscytujący.

- A to - zaproponowała Jane ze słodyczą w głosie - zależy od zainteresowań danej osoby. Jeżeli ekscytujące jest skradanie się po ulicach miasta w czarnym płaszczu i z pistoletem...

Alex wybuchnął śmiechem.

- Nie pozwoli mi pani o tym zapomnieć, prawda, panno Verey?

Jane przyjrzała mu się dokładnie. Dziś księżę też był ubrany na czarno, ale w niczym nie przypominał podejrzanej, złowrogiej postaci z tamtego dziwnego wieczora. Miał na sobie po mistrzowsku skrojony żakiet, który pasował na niego jak ulał, nieskazitelnie białą koszulę i lśniące buty.

Jane pomyślała, że jest oszołamiająco przystojny.

- Jak się miewa Simon? - zapytał Alex. - Czy podczas naszej nieobecności poczynił w zalotach jakieś postępy?

Jane potrząsnęła głową.

- Niestety, idzie mu bardzo kiepsko. Mademoiselle de Beaurain odrzuciła jego awanse.

- Przykro mi to słyszeć! Musi być bardzo nieszczęśliwy!

Jane miała zrezygnowaną minę.

- Och, udaje, że go cała ta sprawa w ogóle nie obeszła, i rzeczywiście, patrząc na niego na balu u lady Sefton, można by w to uwierzyć! Ale jestem głęboko przekonana, że bardzo to przeżywa... Co za fatalna sytuacja - wszyscy są zakochani w niewłaściwych osobach.

Alex spojrzał na nią z ukosa.

- Wszyscy, panno Verey?

- No, Simon i Therese, Philip i Sophia - powiedziała bardzo odważnie. - Rzadko sprawy układają się po naszej myśli!

- To prawda. A pani, panno Verey?

Zebrała się na odwagę, żeby szczerze odpowiedzieć na to pytanie, ale nagle uznała, że zadanie przekracza jej siły.

- Ja?

- W kim pani jest zakochana, jeśli można wiedzieć?

Zaczerwieniła się i była o to na siebie wściekła.

- Nie jestem w nikim zakochana, sir. Mówiłam panu, kiedyśmy... mówiłam panu tamtego wieczoru w gospodzie...

- Oczywiście - rzekł gładko Alex. - Pamiętam! Dotyka to jednak sprawy, o której chciałbym z panią porozmawiać. Czy moglibyśmy zsiąść z koni? Poproszę Dicka, żeby je poprowadził.

Jane miała niepewną minę.

- Nie sądzę, żeby to było właściwe - odparła. - Już jakiś czas nas nie ma, mama będzie się niepokoiła...

- Ułagodzenie mamy biorę na siebie... Usilnie proszę o zgodę. Problem jest naprawdę ważny.

Jane wyczuła naleganie w głosie Aleksa, który sam zdążył

już zsiąść z konia i gestem ręki przyzwać wlokącego się z tyłu stajennego. Kiedy Dick wziął od niego wodze, Alex pomógł z kolei zsiąść Jane.

- Poprowadź konie przez chwilę, Dick. Dziękuję.

Podał Jane ramię i poszli wolno jedną z wijących się ścieżek. Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć zanikającego w dali stukotu końskich kopyt.

- Nie zamierzam już dłużej lansować małżeństwa między Philipem a panią, panno Verey - powiedział nagle Alex. - Wspomniała pani o uczuciu mojego brata do panny Marchment i widzę, że z całą żarliwością mu pani sprzyja. A za tem. .. nie jestem człowiekiem całkiem pozbawionym serca. Rozumiem, że panią z moim bratem ladaco łączy przyjaźń, ale nie macie ku sobie skłonności! Jednocześnie Philip traktuje pannę Marchment jak wzór wszelkich cnót. Udzielę im więc swojego błogosławieństwa!

Jane zabrakło tchu.

Spiskować i knuć w tym duchu tak długo po to, żeby nagle to wszystko znalazło szczęśliwy finał... Nie mogła w to uwierzyć.

- Sophia jest cudowną dziewczyną - powiedziała gorąco - i jeżeli pan istotnie pozwoli im się pobrać, to muszę przyznać, Wasza Książęca Mość, że okazał pan więcej wrażliwości, niż się po panu spodziewałam. Jestem oszołomiona!

- Dziękuję - powiedział poważnie Alex. Uśmiechał się lekko. - Nie zna pani jeszcze drugiej części mojej propozycji.

- A jest druga część?

- Oczywiście. Zgadając się bowiem na małżeństwo Phi-lipa z panną Marchment, sprzeniewierzam się słowu danemu

mojemu dziadkowi. Czy pozwoli pani na wyjaśnienie, skąd w ogóle wziął się pomysł tego małżeństwa...

- Naturalnie - powiedziała oszołomiona Jane. Skoro Alex nie był już zainteresowany mariażem między rodzinami Vereyów i Delahaye'ów, to po co te wyjaśnienia?

Alex wyprostował ramiona.

- Pomysł, by połączyć nasze rody zbawiennym dla nich obu małżeństwem, zrodził się jeszcze w umysłach naszych dziadków po mieczu. Obaj byli dyplomatami i poznali się w Wiedniu. Czy pani wiedziała, panno Verey, że bardzo się zaprzyjaźnili?

Jane potrząsnęła głową.

- Ojciec mego ojca umarł, kiedy byłam mała. Nie miałam pojęcia, że planował wielki alians naszych rodzin!

- Niestety, w pokoleniu naszych rodziców nie było nikogo, kto by mógł spełnić te plany - rzekł sucho Alex. - Moi matka i ojciec zdążyli się pobrać, a inne dzieci albo były już przyobiecane, albo w inny sposób nie spełniały warunków. Mimo to nasi dziadkowie nie dali się odwieść od tego zamysłu.

- Zamierzając przeskoczyć jedno pokolenie?

Alex uśmiechnął się.

- Trafnie to pani ujęła, panno Verey! Mój dziadek wezwał mnie przed śmiercią i wtajemniczył w swój plan. Ja już byłem wtedy żonaty, ale Philip, jako kawaler, stwarzał pewne problemy swoim beztroskim trybem życia. Mój dziadek wie działał, że pani rodzice pobraли się późno i że pani jest jeszcze podlotkiem. Mimo to zasugerował takie właśnie rozwiązanie. Udałem się więc do Ambergate sprawdzić, czy pani ojciec zaakceptuje ten plan.

- Wiem - powiedziała Jane. - Widziałam pana. Był wyraźnie zaskoczony.
- Widziała mnie pani? W Ambergate?
- Cztery lata temu. Widziałam pana pewnej nocy, kiedy pan, idąc korytarzem, mijał drzwi mego pokoju.

Na moment wróciło do niej wspomnienie tamtej nocy: tańczący płomień świecy, ciemny nieznajomy, legenda... Nagle poczuła dawne rozgoryczenie: Alex zawarł z jej ojcem układ, który przypominał Jane, że księżę traktował ją jedynie jako pionek w rozgrywkach służących spełnieniu własnych celów.

- Zapewne przyjechał pan obejrzeć mnie sobie, zanim rozpocznie negocjacje z moim ojcem, jakbym była jakimś towarem! - powiedziała ostro.

Alex skrzywił się. Wsadził ręce w kieszenie żakietu.

- Przyznaję, że plan został niefortunnie pomyślany. Usiłowałem spełnić wolę dziadka, a jednocześnie znaleźć jakiś sposób na okiełznanie Philipa. Nie sądziłem... - księżę urwał, by po chwili podjąć: - Jeśli mam być szczery, to zupełnie nie brałem pod uwagę pani oczekiwań i życzeń. Moje próby zaaranżowania w ten sposób małżeństwa były bardzo staroświeckie, ale intencje miałem jak najlepsze. Naprawdę myślałem, że w ten sposób utemperuję Philipa!

- I tak też się stanie - powiedziała Jane stanowczym tonem. - Zwłaszcza teraz, kiedy sam będzie mógł sobie wybrać żonę.

- Tak..- Alex spojrzał na nią z góry. - Nie miałem racji, uważając, że małżeństwo zmusi Philipa do ustakowania się. Tak samo nie zaakceptuje on narzuconego sobie związku, jak i nie poprawi się wysiłkiem mojej woli. Ale teraz, kiedy ob-

darzył kogoś autentycznym uczuciem, jest innym człowiekiem. - Alex ze skruchą potrząsnął głową. - Muszę przyznać, że popełniłem w tej sprawie kilka fatalnych błędów.

Jane miała mieszane uczucia. Alex najwyraźniej uważał sprawę za zamkniętą. Sophia i Philip będą mogli się pobrać, a ona nie musi już dalej spiskować, żeby uniknąć swego losu. Wróci do Ambergate i może już nigdy nie będzie musiała spotkać się z księciem Delahaye...

- Oczywiście - ciągnął Alex - nakłada to na mnie trudny obowiązek spełnienia obietnicy danej dziadkowi. Pomyślałem więc, że jeśli jeden plan się nie powiódł, to może powie dzie się inny...

Jane zorientowała się, że przestali iść. Zatrzymali się w cieniu kępy wielkich cedrów. Sylwetka stajennego robiła stąd wrażenie bardzo odległej. Poza tym w zasięgu wzroku nie było nikogo. Poczowała suchość w gardle. Mogła czytać z jego twarzy...

- Och, nie...

Alex uśmiechnął się kapryśnie.

- Czy to rzeczywiście taka straszna perspektywa, panno Verey? Proszę być szczerą, tak jak tylko pani to potrafi! Na prawdę nie chce pani wyjść za mnie za mąż? To przecież ta kie zgrabne rozwiązanie.

Lekki wiatr pieścił rozpalone policzki Jane. Jej myśli pędziły jak szalone.

- Och, ja bym nie mogła! Ja... pan jest tak... - Urwała w obawie, że powie coś, czego będzie później żałowała. Nie była zresztą pewna, co chciała powiedzieć. Jej uczucia, na wpół uświadomione pragnienia, sam pomysł... - wszystko to razem wydało jej się tak szokujące, tak nagłe, że nic z tego

nie rozumiała. Mimo to Alex robił wrażenie całkowicie opanowanego, niemal ubawionego, jak gdyby jej zmieszanie sprawiało mu przyjemność.

- No wie pan! - wybuchnęła. - To jest bardzo do pana podobne! Jeden bezsensowny pomysł zastępować drugim, jeszcze bardziej niedorzecznym. Po tym całym trudzie, jaki sobie zadałam...

- Żeby mi pokrzyżować szyki? - Śmiał się już teraz otwarcie, co wprawiało Jane w jeszcze większą konsternację. - Ale chyba pani naprawdę nie chciała wyjść za Philipa, panno Verey, czyżbym się mylił?

- Nie, ale... - Z wrażenia o mało nie tupnęła nogą. - Ale także nie planowałam, że będę musiała panu odmówić...

- To proszę nie odmawiać. - Alex ujął jej dłoń w swoją, a jego dotyk był czymś więcej, niż mogła wytrzymać. Działo się z nią coś bardzo dziwnego. Szok, pospołu ze zniewalającą bliskością Aleksa, przyprawiły ją o zawrót głowy. Byłoby cudownie ulec i przyjąć jego propozycję. Przez chwilę upajała się nawet tą myślą, ale zdrowy rozsądek wziął górę.

Tak wiele było powodów, by mu odmówić... Po pierwsze, sam przyznał, że oświadczył jej się po to tylko, by wypełnić wolę dziadka. Po drugie, gorycz, z jaką mówił o swojej zmarłej żonie... Musiał ją bardzo kochać, a kto może rywalizować z duchem? Na pewno nie naiwna dziewiętnastolatka! No i jeszcze była Francine Dennery...

- A co z lady Dennery? - zapytała nagle i na wspomnienie nie ogólnie znanych wdzięków ślicznotki poczuła się bardzo nieszczęśliwa.

Alex uniósł czarne brwi.

- Nie musi się pani nią przejmować - powiedział ta-

jemniczo. - Wiadomość o naszych zaręczynach jej nie zaskoczy.

Jak na jej gust posuwał się o wiele za szybko. Zaręczyny... nachmurzyła się; denerwowała ją pewność siebie księcia.

- To mnie specjalnie nie uspokaja, sir - powiedziała otwarcie. - Chce pan powiedzieć, że lady Dennery pogodzi się z sytuacją, i będzie jak dawniej, czy oznacza to koniec państwa znajomości?

Uśmiechnął się figlarnie.

- Nie owijajmy w bawełnę, panno Verey. Czy pani sugeruje, że lady Dennery jest moją kochanką?

- Nie mam zamiaru dyskutować z panem natury tego związku! - ucięła, szybko dając się wyprowadzić z równowagi. - Chciałam tylko zaznaczyć, że nie zamierzam wychodzić za mąż za mężczyznę, który miałby mnie zdradzać.

Alex skłonił głowę.

- Szanuję pani poglądy i zapewniam, że nie musi pani żywić w tej materii żadnych obaw. Nie zamierzam zdradzać mojej żony.

Jego żony... Jane zorientowała się, że jej pytanie mogło stworzyć fałszywe wrażenie, że zamierza przyjąć oświadczenia. Na wszelki wypadek odsunęła się nieco i spojrzała na księcia. Musi położyć temu kres, zanim się mocniej uwikła. Alex traktował małżeństwo z nią jako „zgrabne rozwiązanie” problemu i to już wystarczało, żeby mu odmówić. Nie byłoby w takim związku mowy o jakiegokolwiek równowadze. Ona jest w nim zakochana, a on widzi w niej jedynie środek do osiągnięcia celu...

- Przykro mi - powiedziała oficjalnie. - Ale nie mogę przyjąć Waszej Książęcej Mości...

Twarz Aleksa była bardzo spokojna. Jane przyglądała jej się pilnie, jakby chciała zapamiętać mocne rysy i ciemne oczy, które potrafiły rozbłysnąć nagle w nieoczekiwanym wybuchu śmiechu... Ogarnęła ją gwałtowna fala miłości, poczwała w gardle łzy. Och, gdyby tylko powiedział, że ją kocha!

- Czy mogę wiedzieć, dlaczego pani nie przyjmuje moich oświadczeń? - spytał po dłuższej chwili bardzo spokojnie Alex.

- Ponieważ... - Jane odchrząknęła. - Rozumiem, że byłoby to tylko małżeństwo z rozsądku...

- Małżeństwo z rozsądku! Co za dziwne pomysły przychodzą pani do głowy, panno Verey! - Alex podszedł bliżej. - Chyba nie ma pani wątpliwości, że uważam ją za bardzo atrakcyjną osobę?

Jane jęknęła z rozpaczy. Nie o to jej przecież chodziło; teraz sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

- Och, nie, Wasza Książęca Mość! To niemożliwe. Pan stroi sobie ze mnie żarty! Proszę już nic więcej nie mówić.

- To proszę nie stwarzać niepotrzebnych problemów, panno Verey! - wyszeptał. - Nade wszystko pragnę przekonać panią o moich czystych intencjach!

Jane zdawała sobie sprawę, że sytuacja wymyka jej się z rąk. Wiele razy doświadczała na sobie niezwykłego czaru Aleksa, ale nigdy nie przypuszczała, że będzie musiała się przed nim bronić. Wyciągnęła lewą rękę - prawą już trzymał w swojej - żeby go od siebie odsunąć, ale książę po prostu ją złapał i przyciągnął do siebie.

Wiedziała, że puści ją na pierwszy zdecydowany sygnał z jej strony, ale jakoś dziwnie nie miała ochoty mu się wyrywać.

Uwolnił jej rękę, ale tylko po to, żeby ją jeszcze bliżej do siebie przygarnąć, a ona, zamiast go odepchnąć, ufnie przyłgnęła do jego piersi. Szorstki policzek Aleksa otarł się o jej jedwabście gładki i przeszedł ją rozkoszny dreszcz. Zapra- gnęła nagle wtulić twarz w jego szyję i sycić się nim aż do zatracenia. Książę jednak nie dał jej szansy: już całował ją w sposób, który w niczym nie przypominał tego, co było w Malladon. Gdzieś się podziąła tamta delikatność, ustępując miejsca prawdziwej namiętności, która podniecała, a zarazem trochę przerażała.

Zielone przestrzenie parku, wysokie drzewa i chłodny powiew wiatru - wszystko to uleciało ze świadomości Jane. Nie czuła nic poza potężnym kręgiem jego ramion i rozkosznym ciepłem, które rozchodziło się po całym jej ciele.

Wargi Jane rozchyliły się instynktownie pod silnym naciskiem ust Aleksa, a całe ciało ogarnęło drżenie. Alex też zdawał się nieobojętny na jej bliskość - o co podejrzewała go w Malladon - czuła bowiem przy sobie przyspieszone bicie jego serca. Zarzuciła mu rękę na szyję, a on przyciągnął ją do siebie tak blisko, że całym ciężarem oparła się teraz o jego twarde, muskularne ciało. Pocałunek wzbudził oszołamiającą falę namiętności i pożądania, która opadła nieco dopiero po nieskończeniu długim czasie, gdy Alex puścił ją dla zaczerpnięcia tchu.

Jane zatoczyła się lekko w jego ramionach, wiedząc, że gdyby nie ich wsparcie, z pewnością by upadła. Drżała w dalszym ciągu, a jej krew płonęła dziwną mieszaniną gorąca i lodowatego podniecenia.

Nagle, pod wpływem emocji, których zupełnie nie rozumiała, zaczęła się wyrywać.

- Och, proszę...

Puścił ją natychmiast. Był blady i oddychał ciężko; patrzył na nią płonąącym wzrokiem, co wprawilo ją w wielkie zmieszanie.

- Przepraszam - rzekł pozbawionym wyrazu głosem. - Zapomniałem, że... - przerwał. - Nie chciałem cię przestraszyć, Jane.

- Jeśli mam być szczerą, to wcale się nie bałam - odparła niepoprawnie prawdomówna Jane. - Byłam tylko... tylko lekko wstrząśnięta, bo... bo dopiero teraz przekonałam się, jak to naprawdę jest. Mówiono mi, że młode kobiety nie powinny ulegać takim gwałtownym emocjom... - Odwróciła się, żeby nie pokazać po sobie, jak bardzo ten kontakt był dla niej przyjemny.

Alex ujął jej rękę i ruszyli w stronę ścieżki.

- I ja coś takiego słyszałem, ale pomyślałem, że to wyjątkowy nonsens! - powiedział wesoło. - A gdybyś jeszcze przyznała, że było to przyjemne doświadczenie, poczułbym się pochlebiony i bardziej ośmielony.

- Bardziej ośmielony?! - Jane rzuciła mu niepewne spojrzenie.

W oczach Aleksa dostrzegła figlarny błysk.

- Moja droga Jane, zamierzam to powtarzać w przyszłości przy różnych okazjach, ale nie będę się narzucał, jeśli ci to sprawia tak wielką przykrość! Jednakże mam nadzieję, że moje awanse nie są ci niemiłe, i jako twój narzeczony...

Jane straciła nieco humor. Rozkosz, jaką przeżyła w objęciach Aleksa, pozwoliła jej na chwilę zapomnieć o tym, że do małżeństwa skłaniały go motywy mające niewiele wspólnego z miłością. Zmarszczyła czoło. Przez chwilę zastana-

wiała się, czy nie ujawnić przed nim swoich obaw, ale rozległ się chrobot i pryskanie żwiru i ukazał się stajenny z końmi, a potem jakiś powóz i dwie jadące konno panie. Park zaczął się budzić do życia.

- Czy zmieniłaś może zdanie? - zapytał spokojnie, kierując konie ku bramie. - Wyjdiesz za mnie za mąż?

- Ja... nie wiem... nie jestem pewna... są powody...

Zauważyła jego chmurny wzrok, gdy mówił z trudem panując nad głosem:

- Czy to jest ostateczna odmowa, panno Verey?

- Nie, ja... - Jane instynktownie wiedziała, że go uraziła, mimo że ciemna twarz Aleksa pozostała nieruchoma. - Przepraszam - powiedziała żałośnie. - Muszę się zastanowić. Gdyby pan dał mi trochę więcej czasu...

- Bardzo proszę - odparł w wyrafinowaną uprzejmością, która ją zmroziła.

Do Portman Square dojechali w milczeniu.

- Mam ważne sprawy do załatwienia - rzekł z tą samą lodowatą uprzejmością, pomagając Jane zsiąść z konia. Wiedząc, że stajenny podchodzi odprowadzić konie do stajni, do dał: - Mam nadzieję zobaczyć się z panią jutro wieczorem, panno Verey. Może wtedy będzie pani mogła mi powiedzieć, ile czasu potrzebuje pani na przemyślenie mojej propozycji.

Twąż Jane jak gdyby się skurczyła od powstrzymywanych łez. Sprawy przybrały fatalny obrót; czuła się strasznie - niechętnie zrobiła Aleksowi wielką przykrość, raz na zawsze psując stosunki między nimi. Zupełnie nie rozumiała, jak mogło do tego dojść.

Instynktownie dotknęła jego rękawa.

- Chwileczkę!

- Tak, słucham, panno Verey... - rzekł z tą samą zimną uprzejmością.
- Ja... to znaczy... bardzo proszę, żeby pan był ostrożny - wyrzuciła z siebie gwałtownie. - Jeśli sprawa, którą ma pan do załatwienia, łączy się z tamtym... to może pan być w niebezpieczeństwie i wtedy... - Zdawała sobie sprawę, że zaplatała się beznadziejnie, i tym bardziej czuła się nieszczęśliwa.

O dziwo, ponura twarz Aleksa wyraźnie się rozpuściła. Na chwilę przykrył ręką jej dłoń, która spoczęła na jego ręce kawy.

- Dzięki, że zrobiła mi pani nadzieję, panno Verey - po wiedział bardzo cicho i zanim zdążyła się zorientować w jego zamiarach, wziął ją w ramiona i złożył na jej ustach gorący pocałunek.

Kiedy zwolnił uścisk, była bez tchu i miała garderobę w nieładzie.

- Och, co za wstyd! Tak na ulicy?

Oczywiście widziała ukradkowy ruch zasłon w co najmniej kilku oknach, nie wyłączając salonu lady Verey.

- Tak - odparł Alex, któremu najwyraźniej wrócił dobry humor - teraz już na pewno będzie pani musiała wyjść za mnie za męża. Niech pani się nad tym poważnie zastanowi. Do jutra, panno Verey!

I z wesołym machnięciem ręki Alex odwrócił się i odszedł.

Idąc London Bridge, Simon Verey zobaczył przed sobą szczupłą jasną blondynkę z koszykiem zakupów. Gwałtownie przyspieszył kroku. Jakżeż wiele razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni powtarzał się ten sam scenariusz: widział

blondynkę, biegł, żeby ją zatrzymać, i... okazywało się, że to kolejna nieznajoma. Ale tym razem...

- Therese!

Odwróciła się i Simon spojrzał w błękitne oczy, które tak dobrze pamiętał. Serce waliło mu jak oszalałe.

- Therese - powtórzył i wyciągnął rękę, ale dziewczyna się cofnęła. Jej oczy płonęły gniewem.

- Proszę mnie zostawić w spokoju! Dlaczego mnie pan bez przerwy prześladuje? Nachodząc mój dom... niepokojąc *mamon*... Dżentelmen, nie ma co!

- Jej ton był pełen pogardy. - Co pan sobie wyobraża, że z kim pan ma do czynienia, monsieur? Tylko dlatego, że jestem biedną dziewczyną, a pan bogatym lordem?

Simona zabołały jej słowa.

- To niesprawiedliwe! Ja tylko chciałem panią zobaczyć, porozmawiać...

Wzruszyła ramionami.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia, monsieur! Jeśli traktuje mnie pan poważnie, to proszę dać mi święty spokój!

Odwróciła się, ale Simon, z niczym się już nie licząc, złapał ją za ramię.

- To niemożliwe, żeby pani tak zupełnie nie zależało! Że bym był całkowicie osamotniony w tym uczuciu!

Na jedną chwilę, wpatrzeni w siebie, zamarli w bezruchu. Simon dostrzegł w jej oczach wątpliwości i wahanie, ale także głęboko ukryte uczucie tak żarliwe, że o mało tam, na miejscu, nie wziął jej w ramiona. Therese nie była zatem obojętna, ale...

- To nieważne, co ja czuję - powiedziała z taką mocą, że Simon chciał się cofnąć, a jednocześnie tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

- Są powody, dla których nie mogę mieć z panem nic wspólnego, milordzie...
- Czy ten dżentelmen panią zaczepia, panienko? - zapytał krzepki furman i Simon puścił rękę Therese, uświadamiając sobie nagle, że podniesionymi głosami ściągają na siebie uwagę.
- Nie, dziękuję bardzo. - Jej opanowanie budziło podziw. Jakby nigdy nie było między nimi momentu zbliżenia, kiedy to Simon zajrzał do jej duszy. Czuł jednocześnie tryumf i rozpacz. - Ten pan już idzie. Do widzenia, sir. -I odeszła, nawet się nie oglądając.

Henry Marchnight zjawił się w Hays House późnym wieczorem. Powitał go Tredpole, kamerdyner, z wyjątkowo ponurą miną.

- Z przykrością muszę zakomunikować, milordzie, że Jego Książęca Mość niedomaga - rzekł z kamienną twarzą. -I w związku z tym nikogo nie przyjmuje.

Ponieważ Alex przez cały okres ich znajomości nie chorował ani razu, Henry potraktował tę informację z grzecznym niedowierzaniem.

- Mnie możesz powiedzieć prawdę, Tredpole - rzekł. -Gdzie jest twój pan?
- Jego Książęca Mość jest w gabinecie, milordzie - odparł kamerdyner - ale prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

Nagle Henry'emu zaczęło coś świtać.

- Czy chcesz powiedzieć, że twój pan jest nietrzeźwy, Tredpole? - Henry zawahał się, uświadamiając sobie, że przez cały czas znajomości nie widział Aleksa nie tylko cho rego, ale również pijanego!

Kamerdynier taktownie odchrząknął.

- Pan jest trochę nie w formie, milordzie. Chyba nigdy nie widziałem go w tak podłym nastroju...

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się z hukiem, aż zadrżał kandelabr w holu, i pojawił się ponury Alex ze zmierzwioną czupryną i ubraniem w nieładzie.

- Tredpole? Gdzie jesteś, człowieku, do diabła? Chyba umrę z pragnienia, zanim dostanę drugą butelkę! Z kim tak papiesz?

Henry odniósł wrażenie, że kamerdynier się skrzywił. Trudno było sobie wyobrazić statecznego Tredpole'a „paplącego” z kimkolwiek.

- Przyszedł lord Henry Marchnight - powiedział sucho kamerdynier. - Właśnie go informowałem, że Wasza Książęca Mość nie przyjmuje gości.

- A ja na to Tredpole'owi, żeby nie był takim cholernym durniem! - powiedział wesoło Henry. - Jak się masz, Alex? Myślę, że tę drugą butelkę wypijemy już razem...

Tredpole oddalił się bezszelestnie po drugą szklaneczkę. Alex z przesadną elegancją cofnął się, żeby przepuścić Hen-ry'ego do gabinetu, po czym wskazał mu krzesło.

- Słucham cię, Henry?

Lord Marchnight uniósł brwi.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam! Wygląda na to, że masz ochotę sam się upić!

W odpowiedzi Alex obdarzył przyjaciela krótkim uśmiechem i pchnął w jego stronę butelkę brandy.

- Podobno byłeś dziś rano na konnej przejażdżce w parku z panną Verey? - zaczął Henry.

Uśmiech znikł z twarzy Aleksa.

- Widzę, że bardzo się interesujesz panną Verey, Henry!
Henry, który w ten sposób uzyskał odpowiedź na swoje nie zadane pytanie, rozluźnił się i usiadł w fotelu.

- Nie rób z siebie durnia, Alex! Kocham Jane jak siostrę, i to wszystko! - I zaraz dokończył: - Inaczej niż ty.
Alex nie zaprzeczył.

- Jak to się mogło stać? - rzekł ponuro.
Henry nalał sobie szczyrce brandy.

- Nikt nie jest na to odporny, Alex - rzekł. - A ty uwa
żałeś, że jesteś, i tu się myliłeś.
Książę, w dalszym ciągu chmurny, przejechał ręką po włosach.

- Powiedziałem jej, że zmuszanie Philipa do małżeństwa z nią było błędem.
Czy uważasz, Henry, że uczucie, którym Philip darzy pannę Marchmont, jest
szczerze?

- Tak, jestem o tym przekonany. Wszyscy to zauważyli. A co na to Jane?
- Była bardzo szczęśliwa. Znacznie bardziej niż kiedy jej przedstawiłem moją
alternatywę: mianowicie żeby wyszła za mnie. - Alex obficie popił brandy. - Co
mam robić, Henry?

- Nie pytaj mnie, bracie. Wiesz, że jestem ostatnią osobą, która miałaby tytuł do
tego, by udzielać rad! - Mimo żartobliwego tonu w głosie Henry'ego brzmiała
gorzycz.

- Domyślam się, że chodzi ci o lady Polly Seagrave? Mógłbyś tę sprawę
załatwić, gdybyś chciał!
Henry wzruszył ramionami.

- Może i mógłbym, ale teraz mówimy o twoich kłopotach sercowych, nie moich! Nie widzę tu jeszcze problemu.
Oświadczyłaś się pannie Verey i... co? Odrzuciła cię?

- Nie wprost - rzekł Alex - ale kto by chciał mieć narzeczoną z przymusu? W każdym razie nie ja! Mam czekać na odpowiedź do jutra!

- Nie wygląda na to, żebyś był Jane obojętny - powiedział Henry z uśmiechem, delektując się brandy. - Jest jeszcze bardzo młoda, daj jej trochę czasu.

- Dałem... do jutra. Ale muszę powiedzieć, że moja duma piekielnie na tym cierpi!

Henry roześmiał się.

- Daj spokój, twoja duma to wytrzyma. Widzę, że cały czas oczekiwania postanowiłeś spędzić zalany w pestkę!

Alex uśmiechnął się niechętnie.

- To brzmi całkiem rozsądnie, Henry. Ale może lepiej by łooby zagrać w faraona.

Przyjaciel skłonił głowę.

- Dlaczego nie? Może raz wreszcie udałoby mi się wygrać?

Zasiedli do kart.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nazajutrz panowało na Portman Square wielkie podniecenie. Lord Philip przyszedł o nieprawdopodobnie wczesnej godzinie i z ledwie powstrzymaną niecierpliwością poprosił Sopię o rozmowę na osobności. Następnie spotkał się z lady Verey, po czym oboje z Sopią pojawili się w salonie, gdzie Jane udawała, że czyta.

- Och, Jane! - wybuchnęła Sophia. - Co za cudowna sprawa! Księżę wyraził zgodę na to, żeby Philip starał się o moją rękę, i Philip natychmiast przyszedł mi się oświadczyć! Za parę dni wybiera się do Wiltshire do moich rodziców! Och, Jane!

- Jane, moje najukochańsze dziecko! - wykrzyknęła niemal równocześnie z Sopią lady Verey. - Jestem taka szczęśliwa! Księżę... kto by pomyślał!

Jane, która właśnie ścisnęła Sopię, spojrzała na matkę z obawą.

- Co mama chciała przez to powiedzieć, jeśli wolno spytać?

- Jak to co? Lord Philip zdradził mi, że jego brat pragnie poślubić ciebie, ty gąsko! Z pewnością taki był cel jego wczorajszego spotkania z tobą...? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Widziałam, że ma do ciebie słabość! Jesteś najszczęśliwszą dziewczyną w całym Londynie!

Jane skrzywiła się.

- Philip mówi, że pobieramy się za cztery tygodnie i że nie może uwierzyć w swoje szczęście! - Sophia dosłownie kipiała podnieceniem, a jej błękitne oczy zrobiły się ogromie. - Natychmiast napisałam do mamy, żeby przyjechała z Philipem do Londynu i pomogła mi w zakupie ślubnej suk-ni! Mam nadzieję, że i ty mi pomożesz, Jane. Och, Jane, bę-dziemy siostrami! Jestem taka szczęśliwa!

- Powiedziałam księciu, że za niego nie wyjdę - oznaj-miła Jane.

Zapadła cisza. Uśmiech Sophii zgasł. Dziewczyna cofnęła się i popatrzyła na przyjaciółkę z niedowierzaniem. Lady Verey zrobiła się biała jak płótno. Jej twarz przeszył skurcz bólu.

- O czym ty mówisz, dziecko?

- Powiedziałam księciu, że nie wyjdę za niego za mąż - powtórzyła Jane, marząc o tym, żeby rozstała się pod nią ziemia.

Nie była to tak całkiem prawda, w każdym razie nie ży-czyła sobie, żeby jej matka z rozpędu ogłosiła podwójne za-•ęciny. Poza tym czuła do Aleksa urazę, że lekceważąc jej życzenia, zdecydował mimo wszystko o ich małżeństwie. Po co mówił, że będzie czekał na jej odpowiedź, skoro i tak nie zamierza się liczyć z jej uczuciami?

Lady Verey cofnęła się do eleganckiego fotela w stylu Lu-iwika XV i pospiesznie nań opadła. Sophia szybko podeszła do kredensu.

- Czas... - powiedziała słabo lady Verey - potrzebny ci jest czas... Ciągłe podniecenie... musisz się przyzwyczać do ej myśli... Dziękuję ci, dziecko - zwróciła się do Sophii, która wetknęła jej do ręki szklaneczkę.

- Przepraszam mamusię - rzekła Jane, zaskoczona tym, że lady Verey nie naciskała mocniej na jej małżeństwo z księciem Delahaye. Wydawała się bardziej zasmucona niż zła. A Sophia...

- Och, Sophy, tak mi przykro! - Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. - Jestem straszną egoistką! To twój ważny dzień, nigdy w świecie nie chciałabym ci go zepsuć!

- Nie przejmuj się - powiedziała zdecydowanie panna Marchmont, okazując zmysł praktyczny. - Jestem tak szczęśliwa, że nic nie zepsuje mojego nastroju! Ale chciałabym wiedzieć, co z tobą, Jane... Wszyscy byliśmy przekonani, że jesteś zakochana w księciu...

- Wszyscy? - powtórzyła słabym głosem Jane, siadając w fotelu równie mocno jak jej matka.

- Tak, dziecko. - Lady Verey wychyliła się do przodu, wpatrując się w córkę krótkowzrocznymi oczami. - Wszyscy byliśmy tego świadomi! Sophia i ja nie miałyśmy w tej sprawie wątpliwości, a i lady Eleanor doszła do podobnego wniosku. Sophia potwierdzi to, co mówił lord Philip: jest przekonany, że księżę stracił dla ciebie głowę! Powiedz jej, Sophio!

- To prawda, Jane! - odparła skwapliwie panna Marchmont, klękając przy fotelu przyjaciółki. - Lord Philip twierdzi, że Henry Marchnight, który, jak wiesz, jest z księciem bardzo blisko, powiedział, że...

- Chwileczkę! Chwileczkę! - zachnęła się Jane. - Czy to znaczy, że wszyscy omawiali tę sprawę?

- Tak, kochanie! - Lady Verey nieznacznie zmarszczyła czoło. - W Malladon było dla mnie jasne, że lord Philip i Sophia dążą do połączenia się węzłem małżeńskim, a kiedy

wspomniałam o tym Eleanor Fane, powiedziała, żeby się tym nie przejmować, bo książę Delahaye rezerwuje cię dla siebie. Podobno od śmierci żony nie związał się z żadną kobietą - ciągnęła z tryumfem lady Verey, nieświadomie pogarszając jeszcze sytuację. - Wiemy o jej urodzie, ale wiemy również, że jej konduita nie przynosiła chluby nazwisku Delahaye.

- Mimo to książę był jej jak najszczerzej oddany - po wiedziała z bólem Jane.

Lady Verey wpatrywała się w córkę.

- Ale skoro ona nie żyje, moje dziecko, to niepotrzebnie zaprzątasz sobie nią głowę!

Sophia ujęła rękę Jane.

- Droga Jane - rzekła łagodnie - powiedz mi, co się z tobą dzieje?

- On mnie nie kocha, Sophy! - westchnęła Jane. - Książę w dalszym ciągu kocha swoją zmarłą żonę. Owszem, dość lubi moje towarzystwo i uważa je za interesujące, ale chce się ze mną ożenić tylko dlatego, żeby uczynić zadość obietnicy danej dziadkowi. - Odwróciła się do matki. - Dlatego, proszę mamusi, nie wyjdę za księcia, mimo że go bardzo kocham!

Oczy Sophii zrobiły się bardzo wielkie.

- A więc kochasz księcia, Jane! Jesteś tego pewna? On jest taki... taki groźny!

- Och, nie jest taki straszny, kiedy się go lepiej pozna! Tak, oczywiście, że go kocham! - powiedziała Jane ze złością. - Ja go kocham, ale bez wzajemności, a ja nie wyjdę za mąż za człowieka, który mnie nie kocha.

- No cóż... - zaczęła z namysłem lady Verey, wstając.

- Sentymenty sentymentami, moje drogie dziecko, ale zapomniałaś o paru rzeczach!

Obie dziewczyny spojrzały na nią pytająco.

- Po pierwsze - zaczęła wyliczać lady Verey - jeżeli lord Philip powiedział nam o twoich zaręczynach z księciem Delahaye, to powiedział i innym, a tym samym wie już całe miasto. Po drugie, jeżeli Alex Delahaye chce się z tobą ożenić, to zabraniam nawet tobie mu się przeciwstawiać! - I z tymi słowy z godnością opuściła pokój.

Wiść o zaręczynach Sophii rozeszła się lotem błyskawicy, głównie dlatego, że lord Philip rozpowiadał o tym wszem wobec i każdemu z osobna. Była to zresztą swoista sensacja. Skromna dziewczyna z prowincji, bez pieniędzy czy jakichkolwiek innych atutów poza ładną buzią, usidliła młodszego brata księcia, i do tego jeszcze zatwardziałego hulakę. Nie wszyscy byli uprzejmi. Jane wiedziała, że Sophia nie przeoczyła żadnej uwagi, chociaż uśmiechała się dzielnie aż do chwili, kiedy na jej twarzy odmalował się ból. Jane też nie bardzo mogła pomóc przyjaciółce, wiele bowiem złośliwych uwag dotyczyło krótkich i bardzo niefortunnych zalotów lorda Philipa do niej - ona też w końcu została wystrychnięta na dudka.

- To jest naprawdę nie do zniesienia! - złościła się Sophia, której pogoda ducha gdzieś znikła pod wpływem szczególnej złośliwości panny Brantledge. - Przysięgam, że jeśli ludzie nie powściągną języków, zabiorę go na wieś i tam będziemy żyli przez cały rok. Sugerować, że sprzątnęłam ci Philipa sprzed nosa, to już naprawdę gruba przesada!

Do chwili rozpoczęcia balu u lady Martfleet obie dziewczyny były u kresu wytrzymałości. Jane czuła wdzięczność do Philipa, że odłożył wyjazd do Wiltshire i zjawił się na balu, żeby udzielić Sophii tak bardzo potrzebnego jej wsparcia. Wyglądając liliowo-srebrną suknię, zastanawiała się, czy przyjdzie Alex. Wydawało jej się, że od ich ostatniego spotkania minęły nie godziny, lecz dni i wiedziała, że księżę oczekuje jej odpowiedzi. Nerwy miała napięte jak struny.

- Panna Marchmont! - Gdy tylko weszły na salę balową, podeszła do nich lady Jersey, uosobienie złośliwości. - Muszę ci pogratulować, mała spryciaro! I pannie Verey też! Słyszałam, że i pani sukces zostanie wkrótce ogłoszony. To wielka ulga dla pani mamy, że córka nie zostanie w cieniu przyjaciółki! - To powiedziawszy, lady Jersey oddaliła się ze złośliwym uśmieszkiem, by dalej roznosić plotki.

Upłynęło trzy czwarte wieczoru, zanim wreszcie raczył się zjawić księżę Delahaye. Jane nie brakowało adoratorów, wśród których szczególną gorliwością odznaczał się lord Blakeney. Mimo to stwierdziła, że bardziej tęskni za Alekssem, niż się mogła spodziewać. Nie poprawił jednak jej samopoczucia widok uwieszanej u jego ramienia i szepczącej mu coś do ucha lady Dennery. Na wszelki wypadek obdarzyła olśniewającym uśmiechem lorda Blakeneya, który ze zdumienia aż zamrugał.

- Czy nie jest cudownie, milordzie? - powiedziała wylewnie, uśmiechając się jeszcze zalotniej, gdy znaleźli się koło księcia i jego towarzyszek. - Mogłabym przetańczyć całą noc!

- A ja bym chętnie pani całą noc partnerował! - odparł

Blakeney, urzeczony jej entuzjazmem. - Wspaniały pomysł! Czy ma pani wolny następny taniec?

Następnym tańcem był kontredans i Jane zamierzała go poświęcić na dobrze zasłużony odpoczynek. Widząc jednak, jak lady Dennery ciągnie Aleksa na parkiet, zmieniła plany. Wszystko nagle stało się dla niej jasne: księżę będzie utrzymywał z lady Dennery kontakty jak dawniej, a ona ma przymykać na to oczy. Wzbierało w niej rozzalenie i gniew.

Trwało dość długo, zanim znalazła się w pobliżu Aleksa, miała więc dość czasu, żeby się zastanowić, jak go potraktować. Kiedy ją powitał, ledwie go dostrzegła, za to czarująco uśmiechała się do lorda Blakeneya.

- Dobry wieczór, Wasza Księżęca Mość. Tak myślałam. .. - urwała w pół zdania, by zamienić parę słów z lordem Blakeneyem, który właśnie znalazł się naprzeciwko niej, a ponieważ Alex coś mówił, zwróciła ku niemu pytające spojrzenie. - Przepraszam, Wasza Księżęca Mość, ale przez moment byłam zajęta...

- Nic takiego. - Ton Aleksa nie wyrażał żadnych emocji. - Mówiłem tylko, że Blakeney jest przedmiotem ogólnej admiracji. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu panna Dalton piała na jego cześć!

- Och, jest naprawdę czarujący - zgodziła się beztrąsko Jane. - Lord Henshaw też mi dziś ogromnie nadskakiwał...

- Proszę mi oszczędzić listy wielbicieli, panno Verey -rzekł Alex, po raz pierwszy zdradzając irytację. - Rościłbym sobie prawo do ich przepędzenia!

- Czyżby, Wasza Księżęca Mość?

W tym momencie jednak kolejna figura tańca znów postawiła u jej boku lorda Blakeneya, zmuszając jednocześnie

Aleksa, by ruszył naprzód. Do końca kontredansa Jane czuła na sobie nieodgadnione spojrzenie jego ciemnych oczu.

Po skończonym tańcu grzecznie przyjęła ofertę lorda Bla-keneya, który wyraził gotowość odprowadzenia jej do matki. Nie uszli jednak daleko.

- Przepraszam, przyjacielu - rzekł książę Delahaye, wyrastając nagle na ich drodze - ale następny taniec należy do mnie. Panno Verey... - W jego oczach było wyzwanie.

Jane podjęła rękawicę, nieco niepewnie przyjmując ramię księcia i pozwalając się prowadzić do wnęki z boku parkietu.

- A teraz, panno Verey, zechce mi pani wyjaśnić - zaczął miłym tonem Alex - dlaczego posługuje się pani lordem Blakeneyem, by sprzeciwić się moim planom.

Jane zacisnęła wargi.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi Waszej Książęcej Mości. Byłoby z mojej strony niegrzecznie, gdybym odmówiła lordowi Blakeneyowi towarzystwa, gdy mnie o to prosi.

- No, rzeczywiście! Sądzę jednak, że nie zawadzi, jeśli będzie pani powściągliwsza w swoich poczynaniach! Blake-ney, Henshaw, Farraday... wkrótce zyska sobie pani opinię płochej flirciarki...

Jane zmrużyła oczy. To prawda, że rzuciła Aleksowi w twarz Blakeneya i Henshawa, i dlatego nie mogła się dziwić, że ma o nich pretensję, ale Bogu ducha winien Farraday...

- Jeśli już o flirtach mowa, to nie zawadziłoby, gdyby Wasza Książęca Mość pilnował raczej siebie...

Alex ścisnął mocno jej przegub. Oboje zapomnieli o zatłoczonej sali balowej i o tłumie napierających na nich ludzi.

- Rozumiem, że chodzi pani o lady Dennery - rzekł spo-

kojnie książę. - Powinienem był wiedzieć, że przyczyną pani uwag jest zazdrość...

Oczy Jane ciskały błyskawice.

Słowa Aleksa były tyleż prowokacyjne co prawdziwe.

- Nie interesują mnie miłosne manewry lady Dennery, których świadkiem jest cały Londyn! Chodzi mi tylko o pańską hipokryzję w stawianiu zarzutów mnie!

- A mnie nie interesują tacy faceci jak Blakeney, którzy się pani czepiają, ale nie zamierzam tego na przyszłość tolerować!

Patrzyli sobie w oczy i żadne nie chciało ustąpić. Po chwili jednak Alex lekko potrząsnął głową.

- Nie mogę w to uwierzyć, Jane... wystawia pani moją cierpliwość na srogą próbę, ale i moje zachowanie trudno nazwać wzorowym... Jeśli mam być szczery, spotkałem lady Dennery w przedpokoju, i to wszystko. To, co powie działem dziś rano, jest prawdą: nie musi się pani jej obawiać. A teraz, proszę przyznać: nie dbałaby pani o towarzysztwo, w jakim się pokazuję, gdyby pani choć trochę na mnie nie zależało!

Logika tego wniosku była nieodparta. Palce Aleksa zwolniły uścisk, a jego ręka ześlizgnęła się z przegubu Jane, by ująć jej dłoń. Jego dotyk był ciepły i uwodzicielski i przypomniał Jane ich spotkanie w parku. Czują, jak uśmiech unosi lekko kąciki jej ust.

- Wasza Książęca Mość...

- Proszę cię, żebyś teraz, kiedy jesteśmy zaręczeni, mówiła do mnie Alex...

- Ale, właśnie! - Jane przypomniała sobie, że ma do księcia jeszcze jedną sprawę. - Rozumiem, że powiedziałeś

już o naszych zaręczynach swojemu bratu...? To nie jest w porządku, sir!
Przecież prosiłam o czas do namysłu!

- Wiem o tym. - Palce Aleksa zacisnęły się mocniej na jej ręce, wywołując w całym ciele Jane rozkoszne drżenie.
- Mylisz się, Jane. Nie mówiłem nic Philipowi, musiał sam wyciągnąć takie wnioski na wiadomość, że błogosławię jego związkowi z panną Marchmont. Nigdy bym tego nie zrobił, dając ci słowo, że poczekam na twoją decyzję! - Alex pochylił ku niej głowę. - Czy odpowiesz mi teraz, Jane? Mam nadzieję, że mnie nie odrzucisz...

Jane miała takie uczucie, jakby wpadła w sieć własnych emocji. Alex uśmiechał się tak ciepło, że dostała zawrotu głowy. W jego oczach wyczytała, że pragnie ją pocałować - nie wiedziała, co się z nią dzieje...

- Może tak... ale ten wieczór należy do Sophii, nie do mnie, Wasza Księżęca Mość. Nie chciałabym jej odbierać przyjemności...

Po minie Aleksa poznała, że zdaje sobie sprawę z jej kapitulacji. W jego oczach zobaczyła błysk tryumfu, przyćmiony innym, nie tak oczywistym uczuciem. Ogarnęło ją podniecenie graniczące ze strachem. Alex obrócił jej dłoń i pocałował, ale zaraz potem czar prysł za sprawą surowego głosu, który usłyszeli za sobą.

- Uważam, Aleksie, że nie powinieneś w ten sposób na rażać panny Verey na uwagi i komentarze, a przynajmniej jeszcze nie teraz! - powiedziała lady Eleanor.

Oderwał wzrok od Jane.

- Jak zwykle ciocia ma rację - rzekł nagle. - Życzę pani dobrej nocy, panno Verey!

- Rozumiem, że zgodziłaś się właśnie uczynić Aleksa

najszczęśliwym człowiekiem na świecie - wyraziła przypuszczenie lady Eleanor, ujmując Jane za rękę i prowadząc ją do matki. - To już publiczna tajemnica, wzięwszy pod uwagę to, jak dziś wieczorem wyglądaliście! Kiedy się kłóciliście, nie wiedziałam, jak to się skończy: łzami czy pocałunkami. Miło widzieć Aleksa, zwykle przecież powściągliwego, w tak wspaniałym nastroju!

Jane uśmiechnęła się, rada ze słów aprobaty i dobroduszných żartów, ale drobny cierń w sercu jej o czymś przypomniiał. Księżę Delahaye, mimo całej radości wywołanej zaręczynami, nie zdołał jej powiedzieć, że ją kocha.

Nazajutrz dzień był tak słoneczny i ciepły, że nie pozostawiał miejsca na smutne myśli. Zaplanowano wycieczkę do Richmond, by obejrzyć start balonu. Lord Philip, który dzień później wybierał się do Ambergate, i księżę Delahaye zaproponowali paniom swoje towarzystwo.

Na miejscu zastali tłum, przechadzający się w słońcu i oglądający jedwabny pasiasty balon, który łagodnie tańczył na wietrze.

Czterech krzepkich mężczyzn mocowało go do ziemi grubymi linami. Jane beztrudko wyskoczyła z powozu - wszystkie smutki odeszły w cień.

- Och, jakie to cudowne! Jak bardzo bym chciała móc latać!

- Proszę wobec tego wsiąść do kosza i przekonać się, jak to jest - zaproponował jeden z pilotów. - O, proszę mi podać rękę i wejść po tych stopniach.

Kilka osób z tłumu zaczęło klaskać na widok wchodzącej do kosza Jane. Po chwili dołączył do niej Alex. Pod wielkim

jedwabnym baldachimem było zdumiewająco przestronnie. Mocne skórzane rzemienie służyły, jak się domyślała, nawigatorom do trzymania się podczas lotu. Kosz pomieściłby co najmniej trzy osoby, a jego wysoka krawędź niemal całkowicie przesłaniała Jane widok. Spojrzała w górę na baldachim i pomyślała, co to by było za uczucie, gdyby tak oderwali się od ziemi, a ona mogła patrzeć, jak pod nimi przesuwa się krajobraz.

Poryw wiatru uderzył w balon i podciął kosz. Rozległ się krzyk i tłum zaczął pierzchać na boki. Przez chwilę Jane zastanawiała się, co się stało, a potem poczuła, jak krawędź kosza się przechyliła, ona zaś pada na dno. Kosz włókł się po łące, to unosząc się, gdy wiatr wypełniał baldachim, to znów podskakując na nierównościach.

- Och! - Jane próbowała wstać, ale balon podskakiwał zbyt gwałtownie, by mogła odzyskać równowagę. Czowała się bezradna jak szmaciana lalka, jak rzucona na dno i miotana na boki sterta szmatek.

- Poczekaj! - krzyknął Alex. Zdołał uchwycić jeden z rzemieni i pochylił się, żeby pomóc Jane wstać. Kosz uniósł się nad ziemię i przerażona dziewczyna uczepiła się żakietu księcia, wtulając twarz w jego ramię. Jej ambicje, by być nieustraszoną pilotką, gdzieś się ulotniły. Nagle najbardziej pożądanym stał się twardy grunt pod nogami. Kosz po raz ostatni uderzył o ziemię, wytrącając Aleksowi rzemień z ręki i rzucając go, wraz z Jane, na dno. Zapanowała cisza. Cisza i bezruch. Jane otworzyła oczy. Ponad nią ogromny baldachim balonu łopotał rozdarty o gałęzie wysokiego dębu. Patrzyła, jak materiał zwija się i składa, całkowicie przesłaniając im widok nieba.

Czuła się tak, jakby jej ciało było pokryte siniakami,

a każda kość wyrwana ze stawu. Kapelusz spadł jej z głowy i Jane doszła do wniosku, że przez jakiś czas musiała na nim siedzieć, bo był zupełnie spłaszczony. Potargane włosy opadały jej na twarz i nagle zdała sobie sprawę, że ma spódnicę zadartą aż do kolan i że pełnym podziwu oczom Aleksa pokazuje, o zgrozo, prawie całe nogi. Próbowała usiąść, ale kąt nachylenia kosza jej to uniemożliwił.

Odgarnęła włosy z twarzy, starając się doprowadzić ubranie do porządku. Suknia zsunęła jej się z ramienia, obnażając górną część piersi. Była przekonana, że wygląda jak najprawdziwsza kobieta lekkich obyczajów.

Zobaczyła, że Alex patrzy na nią z figlarnym uśmieszkiem, od którego jej serce zaczęło wyprawiać dziwne harce. Sam zresztą był w nie lepszym stanie: włosy miał potargane, żakiet wygnieciony, a krawat przekrzywiony.

- Wyglądasz bardzo ładnie - powiedział wolno.

Jedwabny baldachim ze świstem opadł na nich, okrywając ich półmrokiem. W oddali słychać było krzyki i wołania, ale Jane nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

Alex wyciągnął rękę i przeturlał ją bliżej siebie. Zanim zdążyła wymówić słowo, poczuła na wargach jego usta.

Znalazła się jak gdyby w innym świecie, w świecie fantazji. Szok, strach i nagła ulga - wszystko to razem uderzyło jej do głowy jak mocny napój. Zamiast odpychać Aleksa, przysuwała się do niego coraz bliżej, aż spleli się ze sobą, tworząc jedno ciało. Jej wargi rozchyliły się zapraszająco i Jane poczuła, jak we wszystkie jej członki wlewa się słodka, obezwładniająca niemoc, jakby oczekiwała jego dotyku.

Pocałunek z każdą chwilą stawał się coraz bardziej namiętny, ale Jane przestała się już bać. Drżała, czując, jak suk-

nia zsuwa się coraz niżej i jak Alex gładzi jej gołe ramię. Ogarnęło ją pożądanie. Jego usta wędrowały teraz wzdłuż jej szyi, z dręczącą, nieodpartą powolnością przenosząc się na piersi i zatrzymując dopiero w miejscu, gdzie natrafiły na ostatnie skrawki materiału. Podniecenie ogarnęło Jane gorącą falą i kiedy wreszcie usta Aleksa, namiętne i brutalne, wróciły do jej ust, upajała się ich zmysłowością. Całkowicie straciła poczucie czasu i rzeczywistości, wiedząc tylko jedno: że jest bezpieczna w ramionach człowieka, którego kocha.

Żadne z nich nie słyszało ani kroków, ani głosów zbliżających się ludzi - ocknęli się dopiero, kiedy jedwabna kurtyna uniosła się w górę, ukazując zaniepokojone twarze pilotów i gapiów. Aleksowi starczyło przytomności umysłu, by w ostatniej chwili uporządkować garderobę Jane, gdy się jednak znaleźli wśród ludzi, którzy krzyczeli, próbując im pomóc, trwali jeszcze w czułym uścisku.

Alex podsadził Jane i podał ją pierwszemu z czekających mężczyzn, który postawił ją delikatnie na ziemi. Nogi się pod nią ugięły i kiedy księżę wyskoczył i porwał ją w ramiona, nawet się nie broniła. Rześki wiatr chłodził jej rozgrzane policzki, a ostre światło raziło w oczy. Nagle poczuła ból wszystkich siniaków i zadrapań; wołała unikać lawiny pytań i wścibskich spojrzeń. Czując wzbierające łzy, ukryła twarz na piersi Aleksa. Nie wiedziała, czy te łzy to reakcja na wypadek, czy nagła świadomość tego, co zrobiła.

A on żwawym krokiem poprowadził ją przez łąkę, rozprawiając się krótko z tłumem natrętów. Zwolnił dopiero, kiedy zbliżali się do lady Yerey.

- Panna Verey jest poduczona i w szoku, ale poza tym nic jej się nie stało - powiedział, uśmiechając się do zapłakanej lady Verey uspakajająco. - Trzeba natychmiast wracać do domu, należy jej się solidny odpoczynek.

- Co za straszny wypadek! - Widać było, że lady Ele-anor, tak zwykle odporna, jest wstrząśnięta. - Kiedy zobaczyłyśmy, że mężczyznom wyrwało z rąk liny, byliśmy przekonane, że polecicie prosto do nieba!

- Bez zapalonych palników, proszę cioci? - zauważył trzeźwo lord Philip. - No cóż, i tak wszystko to razem musiało być bardzo nieprzyjemne. Alex, posadź tutaj pannę Ve-rey. - Philip wskazał na siedzenie swojego powozu. - Dasz sobie radę czy wolisz, żeby ktoś odprowadził twój faeton? Widzę, że masz kłopoty z ramieniem.

Jego brat zawahał się.

- Dzięki ci, Philipie. Istotnie, trochę mnie to ramię boli. Gdybyś mógł wziąć mój faeton, to z pewnością Blakeney poprowadzi twoją kariolkę.

- Czuję się pochlebiony, że powierzasz mi swoje konie - powiedział z lekkim przekąsem Philip. - Czekałem na tę chwilę, żeby spróbować, jak sobie z nimi poradzę, ale niekoniecznie w tych okolicznościach. Czy ciocia wraz z Sophią zechcą mi towarzyszyć? Bo pani - tu Philip zwrócił się do lady Verey - zapewne woli jechać z córką? Jak i, nie wątpię, Alex...

Lady Verey już siedziała w powozie, rozcierając córce dłonie i patrząc jej w oczy.

- Nic się nie stało - rzekł krzepiaćco Philip na znak, że w ciężkich chwilach można na niego liczyć. - Za moment będziemy na Portman Square.

Sophia nachyliła się, żeby ucałować przyjaciółkę. W jej błękitnych oczach widać było troskę.

- Och, Jane! - szepnęła. - Wszyscy gadają! Widzieli was we dwoje w koszu balonu... - oblała się rumieńcem - i mówili ... że się tam kochaliście! Och, Jane, teraz to już na pewno musisz za niego wyjść za mąż!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„Teraz to już na pewno musisz za niego wyjść za mąż”.

Tej nocy Jane spała bardzo mocno. Kiedy się obudziła, słowa Sophii w dalszym ciągu rozbrzmiewały w jej głowie. Wstała z łóżka, podeszła do okna i oparła się o parapet. Było jeszcze wcześnie, na ulicach pustki, a nad dachami rozciągało się niebo blade, mglistoszare, bardzo piękne.

Westchnęła. Wiedziała, że Sophia ma rację. Dać się zaskoczyć w trakcie pocałunku i w objęciach mężczyzny, a do tego jeszcze w koszu balonu - to sytuacja co najmniej dziwna, którą socjeta Londynu długo jeszcze będzie się delectowała. Alex poprosił ją o rękę i teraz dla własnej reputacji musi zadbać o to, żeby ich zaręczyny zostały jak najszybciej podane do publicznej wiadomości.

Otworzyła okno i odetchnęła świeżym powietrzem. Po przygodzie z balonem była trochę obolała, ale mniej, niż się mogła spodziewać. Miała dużo szczęścia.

W domu panowała cisza. Jane wyobrażała sobie, co się zacznie dziać, kiedy wstanie lady Verey. Wpadnie do jej pokoju, nalegając na natychmiastowe ogłoszenie zaręczyn, planując ślub i bez końca opowiadając o ślubnej sukni...

Ubrała się szybko i cicho. Miała pewne kłopoty z pozapi-naniem guzików, ale poradziła sobie, wykręcając się do tyłu, jak tylko to było możliwe. Wszelkie próby zrobienia sobie

fryzury spaliły na panewce, więc związała włosy wstążką i wepchnęła pod czepeczek. Przerzuciwszy pelerynę przez ramię, zeszła po szerokich schodach na dół.

Pokojówka, która szorowała akurat próg, spojrziała, przestraszona i zdziwiona, że młoda pani tak wcześnie wstała i już wychodzi.

- A panienka... - zaczęła, ale Jane położyła palec na ustach.

- Cicho, Hetty, zaraz wracam. Bardzo cię proszę, żebyś nic nie mówiła mamie...

- Ale, panno Jane... - zaczęła protestować dziewczyna, urwała jednak, widząc, że mówi do ściany. Jane już zniknęła za rogiem. Przez chwilę patrzyła z niedowierzaniem, po czym wróciła do swojej roboty.

Od kilku dni w głowie Jane dojrzywał pewien plan. Postanowiła mianowicie, że uda się do Spitalfields i odnajdzie Therese de Beaurain. Simon zarzekał się, że nie będzie na siłę zabiegał o jej względy, skoro ona go tak zdecydowanie odrzuca, ale Jane, która bardzo kochała brata i widziała, jak cierpi, postanowiła mu pomóc. Jeśli się przekona, że Therese naprawdę na nim nie zależy, zaakceptuje to, ale z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że Francuzka mogła po prostu źle zrozumieć intencje Simona. Wierzyła, że przekona Therese o uczciwości jego zamiarów i namówi ją, by się zgodziła na spotkanie.

Był w tym wszystkim jednak pewien szkopuł, i to dość poważny. Jane wiedziała, że Alex nigdy by nie zaakceptował jej wizyty w Spitalfields, i teraz, kiedy mieli się oficjalnie zaręczyć, jej szansa na to, że zdoła się samotnie tam wymknąć, praktycznie równała się zeru. Należało więc wykorzystać ostatnią okazję.

Wydawało jej się, że do Spitalfields jest dosłownie parę kroków, ale to dlatego, że właściwie nie wiedziała, gdzie tak naprawdę leży ta dzielnica. Skręciła w Oxford Street i kiedy dotarła do St Giles Circus, miała wrażenie, że jest w drodze już od wielu godzin. Musiała się zatrzymać, żeby dać odpocząć obolałym nogom, tymczasem jednak na ulicach zrobił się ruch i Jane zaczęła przyciągać ciekawskie spojrzenia. Jadący wozem młody mężczyzna krzyknął coś pod jej adresem, Jane jednak dumnie zadarła podbródek i odwróciła się z wyższością. Była teraz daleko od Portman Square i po raz pierwszy uderzyła ją lekkomyślność tego przedsięwzięcia.

- Może dorożkę?

Do Jane podjechał dwukołowy powóz. Dorożkarz, mężczyzna w średnim wieku, spoglądał na nią wyraźnie zatroskany.

- Czy mogę panią odwieźć do domu, panienko? Nie powinna pani chodzić sama po ulicach...

Jane uśmiechnęła się.

- Dziękuję bardzo. Gdyby mógł mnie pan zawieźć do Spitalfields, byłabym bardzo wdzięczna...

Dorożkarz spojrział na nią ze zdziwieniem.

- To jest miejsce, w którym młoda dama nie powinna przebywać bez opieki. Proszę być rozsądną i wracać do domu. Dokąd mam panią wieźć? Na Grosvenor Square? Na Queen's Square?

Jane była zła na siebie, że nie przyszło jej do głowy, żeby pożyczyć od Cassie jej stare ubranie. Wyglądało na to, że młodą damę tak samo szybko rozpoznawano na ulicach Londynu jak kobietę lekkich obyczajów. Tym razem nie przemy-

ślała swoich planów dostatecznie starannie i czuła, że Alex byłby z niej niezadowolony. Książę tak bardzo zaprzętał w tej chwili jej myśli, że niewiele pozostało w nich miejsca na cokolwiek innego.

- Muszę się zobaczyć z pewną panią ze Spitalfields - po wtórzyła. - Byłabym wdzięczna, gdyby pan mógł mnie tam zawieźć.

Mężczyzna z zakłopotaniem podrapał się w głowę. Najwyraźniej jednak uznał, że w jego towarzystwie Jane będzie bezpieczniejsza niż sama, i z ociąganiem ruszył High Holborn w kierunku Spitalfields.

Jane, zafascynowana, przyglądała się mijanym ulicom. Migały jej przed oczami wąskie brukowane zaułki, małe placyki i stłoczone, przytulone do siebie budynki. Zawieszane nad sklepami szyldy kołysały się na wietrze, a w tawernach pełno już było gości. Powóz przepychał się w słońcu wśród tłumów, wesołych i rozbawionych, i Jane widziała, że co chwila ktoś ciekawski zagląda do dorożki. Nie mogła spowodować więcej zamieszania, niż gdyby ją poprzedzał kamerdyner obwieszczający jej nadejście.

- To jest Crispin Street, panienko - oznajmił dorożkarz z najwyższą dezaprobatą. - Gdzie dokładnie chciałaby pani wysiąść?

Nagle poczuła suchość w ustach.

- Nie jestem całkiem pewna... - zaczęła i zaraz urwała na widok jasnej blondynki wychodzącej właśnie z domu ka walek dalej na tej samej ulicy. - O! To ona! - wykrzyknęła.

- Tak, jestem pewna, że to ona. Gdyby pan był taki dobry...

- zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu pieniędzy - i zaczekał tu na mnie. To nie potrwa długo. - Wcisnęła męż-

czyżnie pieniądze do ręki i ruszyła ulicą. - Therese, proszę zaczekać!

Blondynka już miała ich minąć bez słowa, ale na dźwięk swego imienia zawahała się i zaskoczona wbiła w Jane zdumione spojrzenie błękitnych oczu.

- Mademoiselle? Przepraszam... przepraszam bardzo, czy my się znamy?

- Nie! To znaczy.. .tak! - Jane była zdyszana i nie mogła zebrać myśli.

Wszystko działo się za szybko. Jak ona ma to wytłumaczyć? Dorożkarz przyglądał się scenie z nie ukrywanym zainteresowaniem, a kilku przechodniów zatrzymało się nawet, żeby popatrzeć. Po przeciwległej stronie ulicy tęgi mężczyzna, ledwie mieszczący się w bogato haftowanej kamizeli, przyglądał im się kątem oka z bramy jednego z domów.

Na widok prostej białej sukni Jane i jej eleganckiego cze-peczka dziewczyna zmarszczyła czoło.

- Wygląda na to, że zabłądziła pani daleko od domu, ma demoiselle - powiedziała - radziłabym pani jak najszybciej wracać...

Jane pomyślała, że dziewczyna ma .najprawdopodobniej rację. Nagle poczuła się bardzo nieswojo, rzucona w sam środek tego obcego świata. Jednakże upór, który ją tutaj przywiódł, nie pozwolił jej się teraz wycofać.

- Jestem Jane Verey - powiedziała bardzo wyraźnie. -

Pani chyba zna mojego brata Simona, panno de Beaurain...?

Muszę koniecznie z panią porozmawiać.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

- Pani jest jego siostrą? Czy to on panią tu przysłał? Nie, to niemożliwe!

Therese już zamierzała się odwrócić, ale zdesperowana Jane złapała ją za ramię.

- Proszę, proszę, niech pani mnie wysłucha!

Przez rosnący tłumek przebiegł pomruk. Therese patrzyła na otaczających ją ludzi z rozdrażnieniem, które przeszło w irytację, kiedy wróciła spojrzeniem do zaczerwienionej, ale zdeterminowanej Jane.

- Proszę, panno Verey! Proszę iść za mną, zanim zedrą z pani ubranie! Proszę tędy...

Poprowadziła Jane przez wąskie drzwi wejściowe i stromymi schodami na górę. Panował tu zaduch i mrok i Jane mrugała, zanim jej oczy, zdołały się do niego przyzwyczaić.

Na górze było tylko jedno pomieszczenie, długi pokój przypominający strych, z gołymi deskami i wysokimi oknami. W bok od schodów stał stół, zarzucony materiałami: mięsiste jedwabie i tafty, czerwone i złote, kontrastowały z ubóstwem surowego wnętrza, wyposażonego w jedno krzesło i stojące pod ścianą drewniane łóżko, w tej chwili zajęte. Jane jednak, jako osoba dobrze wychowana, wolała nie przyglądać się spoczywającej na łóżku postaci.

- Moja matka jest tak chora, że lepiej jej nie przeszkadzać

- powiedziała nagle Therese. - Bardzo proszę mówić cicho, panno Verey. W czym mogę pani pomóc?

Ton panny de Beaurain nie był zachęcający. Jane rozejrzała się bezradnie. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełniła niewybaczalnego błędu, po czym przypomniała sobie słowa Aleksa. Dumna córka hrabiego de Beaurain już raz odrzuciła ofertę pomocy. Musi przywołać na pomoc całą siłę

perswazji, by przekonać Therese choćby tylko do tego, żeby zechciała jej wysłuchać.

Usiadła na ławce obok sukni, którą najwyraźniej właśnie wykańczano. W pokoju panowały nieskazitelna czystość i porządek; podłoga była pozamiatana, a pościel poskładana równo wokół leżącej na łóżku chorej. Jane z trudem oderwała wzrok od matki i przeniosła go na córkę, stwierdzając, że Therese przygląda jej się z mieszaniną politowania i zdenerwowania.

- Nie wiem, co panią tutaj sprowadza, mademoiselle - powiedziała ze zniecierpliwieniem Therese. - Mówiłam już pani bratu, lordowi Vereyowi, że nie zamierzam przyjmować jego awansów. On już tu był, siedział na ulicy i błagał, że bym go wpuściła do domu. Trudno mi uwierzyć, że wysłał panią jako rzecznikę swojej sprawy! Powtarzam: nie mam najmniejszego zamiaru zostać kochanką jego lordowskiej mości!

Jane poczuła, jak jej krew uderza do twarzy. Ton Therese był ironiczny, ale w jej oczach tlił się gniew, którego Jane nie była w stanie zrozumieć. Mało brakowało, by wyszła w pośpiechu, ale wciąż miała przed oczami pełną napięcia i rozpaczę twarz brata.

- Panno de Beaurain, bardzo proszę, żeby zechciała mnie pani wysłuchać - powiedziała z mocą. - Po pierwsze, mój brat nie ma pojęcia, że ja tu dzisiaj przyszłam. A przyszłam dlatego, że szczęście Simona nie jest mi obojętne, i pomyślałam sobie - choć może niesłusznie - że pani też... Po drugie, nie wierzę, żeby Simon kiedykolwiek proponował, by została pani jego kochanką. Jest człowiekiem honoru i nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił! - Szczerość Jane nie

ulegała wątpliwości. - Pomyślałam, że jeśli uda mi się z panią spotkać... powiedziec, jak bardzo jest nieszczęśliwy, to może pani zmięknie i przynajmniej zgodzi się z nim zobaczyć... On panią kocha! - zakończyła z determinacją.

Zaległa cisza. Gdy Jane mówiła, Therese siedziała ze spuszczoną głową, teraz jednak spojrzała z błyskiem w błękitnych oczach.

- Czy pani wie, kim ja jestem, panno Verey?

- Wiem! Jest pani córką hrabiego de Beaurain, który zginął we Francji podczas rewolucji! Szyła pani dla Celestine i była na balu maskowym u lady Aston, gdzie mój brat się w pani zakochał. Jest pani spokrewniona z generałem sir Johnem Huntingtonem, który obraził panią, oferując jej rodzaj jałmużny. Zapewniam panią, że nie po to przyszłam, by jej proponować coś podobnego.

Tym razem w głosie Therese pojawiła się nuta wymuszonego humoru.

- Wierzę pani, panno Verey! Jest pani wyjątkowo dobrze poinformowana. Czy pani brat jest w równym stopniu świadom mojej historii?

- Nie! - Jane odparła z większą mocą, niżby sobie tego życzyła. - Simon nie wie nic i jest mu to całkowicie obojętne. Nie interesuje go ani pani pochodzenie, ani jej obecne zajęcie. On nie dba o to, czy pani jest księżną, czy pokojówką! Ale jak ja nieszczęsna mogę panią o tym przekonać?

Przerwał im atak kaszlu dochodzący z łóżka i Therese podskoczyła, by podać matce kubek wody. Przez krótką chwilę rozmawiały po francusku, ale za cicho, żeby Jane mogła cokolwiek usłyszeć, po czym hrabina przewróciła się na bok, tłumiąc poduszką kolejny atak kaszlu. Therese sta-

rannie okryła matkę kołdrą i wróciła do Jane z wyrazem głębokiej troski na twarzy.

- Proszę mi wybaczyć, panno Verey, ale musi pani teraz wyjść. Moja matka potrzebuje leków, po które właśnie szłam, kiedy pani nadjechała. - Jej wzrok spoczął na wytwornej jedwabnej sukni. - Poza tym, jak pani widzi, mam pracę do wykonania. Zrobiła pani, co pani mogła, dla swojego brata, ale...

- Czy to znaczy, że się z nim pani nawet nie zobaczy...? Therese potrząsnęła głową. Na jej twarzy widać było zdemotywowanie.

- Panno Verey, pani nie rozumie...

Rozległo się natarczywe stukanie do drzwi. Po chwili otworzyły się gwałtownie i do pokoju wtargnął rumiany mężczyzna. Jego uśmiech od razu nie spodobał się Jane. Był ubrany krzykliwie, z koronkami pod szyją i przy dłoniach, ale chociaż pozował na dżentelmena, w jego wyglądzie było coś dziwnie groźnego. Therese natychmiast przyjęła pozycję obronną, stając między nim a Jane i zasłaniając ją przed wzrokiem intruza.

Mężczyzna skłonił się grzecznie.

- Witam szanowną panią. Tak jak się umawialiśmy, przyszedłem po pieniądze.

- Mówiłam panu, że nie będę miała pieniędzy wcześniej niż we wtorek! - powiedziała spokojnie Therese, ale Jane wyczuła w jej głosie zdenerwowanie. Wskazała na stół. - Mam do wykończenia robotę i będę mogła panu zapłacić dopiero wtedy, kiedy dostanę za nią pieniądze.

Mężczyzna najwyraźniej nie dał się przekonać. Podszedł do łóżka, ze źle ukrywaną ciekawością przyglądając się leżącej na nim postaci.

- Widzę, że mamusia jest w kiepskiej formie - zauważył obłudnie. - Mógłbym posłać po lekarstwo... ale nie za darmo oczywiście.

Therese rzuciła Jane szybkie spojrzenie.

- Mówiłam już panu wcześniej, że to dla mnie za wysoka cena, sir... - powiedziała sztywno.

Mężczyzna zρέcznie ominął Therese i stanął przed Jane. Jego zielone jak agrest oczy, przekrwione i lekko wylupiaste, szacowały ją z zainteresowaniem. Z nagłym skurczem serca Jane poznała w nim człowieka, który w Vauxhall skradał się do Aleksa z nożem. Widzieli go z Simonem wtedy w ogrodach, jak towarzyszył Therese, a potem, jak już sam przemykał po ciemnych alejkach... Cofnęła się.

- Nie widziałem cię dobrze, moja droga panno! - mówił wesoło mężczyzna. - Therese, przedstaw mnie swojej przyjaciółce!

- Moja przyjaciółka właśnie wychodziła, sir! - powiedziała Therese i tym razem nuta ostrego niepokoju w jej głosie była bardzo wyraźna.

- Nie tak szybko, moja słodka! - W obłudnej uprzejmości mężczyzny pojawił się ton lekkiego zniecierpliwienia. - Taka czarująca osoba... bardzo chciałbym ją poznać...

- Proszę mi wybaczyć, panie Samways - zwróciła się do niego Therese. - Pańskie pieniądze będą gotowe na wtorek, tak jak się umawialiśmy. A teraz, bardzo proszę, żeby pan był łaskaw nas opuścić...

Mężczyzna postąpił do przodu i złapał Jane za rękaw. Z okrzykiem przerażenia zerwała się z miejsca. Na jego twarzy malowały się zachłanność i podniecenie.

- Widzę, Therese, moja droga, że masz tu u siebie pra-

wdziwy skarb! Kim ona jest? Damą, która przyszła zamówić nową suknię? Nie... chyba nie... - mężczyzna przyjrzał się z bliska twarzy Jane, która poczuła jego nieświeży oddech - ..ona jest jeszcze za młoda! Słodkie dziecko! Piękna gołąbeczka, którą przyjemnie byłoby oskubać!

- Pan się myli, panie Samways - rzekła spiesznie Therese. - Moja przyjaciółka jest nikim, dosłownie nikim. Ona nie może pana interesować!

- Wręcz przeciwnie! - Mężczyzna wpatrywał się zachłannie w twarz Jane. - Nawet bardzo mnie interesuje! Z pewnością ma gdzieś rodzinę, która się niepokoi, a ja gotów jestem się tą panią zaopiekować!

- Pan jej nie śmie skrzywdzić!

W głosie Therese zabrzmiał strach. Jane, która nie rozumiała wszystkiego do końca, złapała pelerynę i usiłowała wyminąć mężczyznę. Był jednak szybszy od niej i zdążył ją złapać za rękę.

- Chwileczkę, moja kochana, gdzie ci się tak spieszy? - Nachylił się ku jej twarzy. - No, powiedz, kim jesteś?

- Jestem nikim, sir, tak, jak powiedziała panna de Beau-rain - odparła spiesznie Jane, z trudem łapiąc oddech. - Proszę mnie puścić! Rodzina będzie się o mnie niepokoiła.

- Właśnie o tym mówię. - Teraz już nuta groźby w głosie mężczyzny była bardzo wyraźna. - Znajdą się tacy, którzy z pewnością szczerze zapłacą za to, żeby panią odzyskać. A teraz niech pani będzie grzeczną dziewczynką i powie mi, kim oni są. Im prędzej pani to zrobi, tym prędzej wróci pani do domu!

Pełne przerażenia oczy Jane napotkały wzrok Therese. Wydawało się niemożliwe, by jej misja naraziła ją na takie

niebezpieczeństwo. Pomimo tego, co mówił Alex o Spital-fields, nigdy nie przypuszczała, że mogłaby się znaleźć w stanie fizycznego zagrożenia. Był biały dzień, kręciło się mnóstwo ludzi i chociaż w tym środowisku Jane czuła się obco i niepewnie, to nie przyszło jej nawet do głowy, że ktoś mógłby ją potraktować jak zakładniczkę, sposób na zdobycie pieniędzy... Wszystkie jej myśli skupiły się na Therese i próbie przekonania jej o tym, że powinna się spotkać z Simonem. Nie myślała o ewentualnych niebezpieczeństwach, jakie mogłyby na nią czyhać po drodze. Teraz zrozumiała, jak bardzo była naiwna i głupia.

- Nie wątpię, że przyszedł pan w asyście swoich pomocników! - powiedziała Therese ze złością. - Jak pan śmie po służyć się mną w swoich niecznych planach! Już panu mówiłam, że nie dam się wciągnąć w pana brudne gierki!

Mężczyzna obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem.

- Słowa godne prawdziwej damy, moja droga Therese, prawdziwej arystokratki! Bynajmniej nie czuję się obrażony. Prawdę mówiąc, miała pani szansę korzystać z moich walarów. ... Pogodziłem się z tym, że nie jest pani zainteresowana, ale długi musi pani płacić jak wszyscy inni i trzymać buzię na kłódkę!

Therese powiedziała coś ordynarnego, czego znaczenia Jane mogła się tylko domyślać. Samways dalej trzymał ją za ramię, ciągnąc teraz do krzesła, na które ją dosłownie rzucił.

- Ja mam dużo czasu, moja gołąbeczko, a ty? Czy nie powinnaś przypadkiem wracać na łono rodziny?

Jane poczuła piekące łzy. Mogła mieć pretensję tylko do siebie o to, że się znalazła w tak żalösnej i zarazem groźnej sytuacji.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi, sir! - powiedziała, trąc oczy ze złością. - To jest równoznaczne z porwaniem!

- Ależ skąd! - Samways obrócił drugie krzesło, usiadł na nim okrakiem i położył ręce na oparciu. - Nie mam najmniejszego zamiaru ani cię porywać, ani uprowadzać! To zwykła transakcja. Będę cię tu trzymał, całkowicie bezpieczną, dopóki twoja rodzina się po ciebie nie zgłosi.

- Za pieniądze! - rzuciła Jane ze złością.

Samways demonstracyjnie wzruszył ramionami.

- Zapewnienie młodej damie bezpieczeństwa w tej okolicy kosztuje! Zapytaj swoją wielce szanowną francuską przyjaciółkę! - Skinął głową w kierunku Therese, która stała niezdecydowana, przygryzając wargę. - Właśnie za to mi płaci, żeby ją trzymać z dala od burdeli i wszelkiego rodzaju domów rozpusty, gdzie - mężczyzna przysunął twarz do twarzy Jane - wylądujesz bardzo szybko, jeśli się nie zgłosisi twoja rodzinka z gotówką!

Przez chwilę Jane wpatrywała się w niego oczami, w których płonęła furia. Była wściekła, że znalazła się w sytuacji tak całkowitej zależności, ale jej silny praktyczny zmysł dał wkrótce o sobie znać. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że we własnym interesie Samways zadba o to, żeby jej się nic nie stało. Jane zaś wiedziała, że rodzina z pewnością sownie za nią zapłaci. Dlatego wydawało się logiczne, że będzie się starał traktować ją jak najlepiej, by uniknąć odpowiedzialności, gdy zostanie uwolniona. Na chwilę stanęła jej przed oczyma twarz Aleksa. Mogła sobie wyobrazić jego gniew, ściągnięte czarne brwi i ostre słowa, jakie posypią się na jej głowę.

- Jestem Jane Verey z Portman Square - powiedziała

wyniosłe. - Jeśli się pan zwróci do mojego brata, lorda Ve-reya, to już on dopilnuje, żeby pan został stosownie... wynagrodzony za... mój bezpieczny powrót.

Samways zerwał się z krzesła, zanim jeszcze Jane skończyła mówić. Zatarł ręce w przewidywaniu bogatych łupów. Siostra lorda! To nawet lepiej, niż mógł sobie wymarzyć.

- Tylko niech wam nie przyjdą do głowy jakieś głupie pomysły - ostrzegł, zatrzymując się przy drzwiach. - Dol-bottle i Henty pilnują domu i w razie czego wyperswadują pani wszelkie próby ucieczki - rzucił pod adresem Jane. - Pani brat z pewnością kocha siostrę, panno Verey, więc do wieczora powinna pani być w domu!

- Jeżeli mamy się stąd nie ruszać - powiedziała Jane ze złością - to powinien pan dostarczyć przynajmniej leki dla madame de Beaurain. Nie widzę powodu, dla którego miałyby niepotrzebnie cierpieć!

Na szczęście Samways wydawał się tym rozbawiony.

- Lekarstwo dla Francuzeczek. Tak jest, młoda damo!

Po jego wyjściu zapadło milczenie. Pani de Beaurain zasnęła, pochrapując z cicha. Therese podeszła do okna i wyjrzała na ulicę.

- Mówił prawdę. Jego ludzie są wszędzie. - Błękitne oczy w zamyśleniu spoczęły na Jane. - To było bardzo mądre z pani strony, panno Verey. Ma pani więcej zdrowego rozsądku niż większość kobiet, które będąc na pani miejscu, co najmniej dostałyby spazmów.

- Dziękuję - odparła chłodno Jane. - Proszę mówić do mnie po imieniu.

W spojrzeniu Therese było coś wesołego.

- A ty mów mi Therese. Przykro, że twoja misja dobrej woli postawiła cię w tak niezręcznej sytuacji.

Orzechowe oczy Jane nabrały blasku, kiedy popatrzyła na twarz Therese.

- Co ten ohydny człowiek miał na myśli, mówiąc, że płacisz mu za to, żeby nie być w lupanarze?

Policzki Therese zabarwił lekki rumieniec.

- Tylko to, nic więcej. Pan Samways jest człowiekiem in teresu. A interesy prowadzi rozległe i różnorodne! Jednym z nich jest posiadanie wielu lupanarów. Nie chciałam się znaleźć wśród tych kobiet, Jane, mimo że mi proponował uprzywilejowaną pozycję swojej metresy! Dlatego mu płacę - żeby nie musieć być prostytutką. Ciekawe odwrócenie ról, nie uważasz?

Jane natychmiast zamilkła.

- Ale co on mógł... ?

- Mógł wiele - odparła sucho Therese. - On rządzi tą dzielnicą i wszyscy muszą w ten czy inny sposób mu się opłacać.

Therese usiadła i ze stoickim spokojem zaczęła fastrygo-wać obrębek taftowej spódnicy. Jane wpatrywała się w nią w milczeniu, aż dziewczyna podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niej blado.

- Czy moja zimna krew cię oburza, droga Jane? No cóż, taki już jest świat! Tyle tylko, że ty zawsze byłaś chroniona przed przykrą rzeczywistością. Nie bój się, Samways bardzo szybko znajdzie twoją rodzinę, zapłacą za ciebie sowity okup i wrócisz do domu! Burza w szklance wody!

- Wcale nie czuję się obrażona - powiedziała Jane, nie-

zupełnie szczerze. - Daj mi jedną z halek, to ci pomogę. Nie jestem taką zręczną krawcową jak ty, ale jeżeli powierzysz mi coś, czego nie będzie widać...

Therese pchnęła w stronę Jane spódnicę, a w jej oczach pojawiło się coś w rodzaju podziwu.

Kobiety początkowo szyły w milczeniu, ale po chwili Jane przerwała ciszę.

- A może dla zabicia czasu opowiedziałabyś mi coś o sobie, Therese? Ja bym mogła paplać bez końca, ale wolałabym posłuchać czegoś o tobie, jeśli ci to nie przeszkadza...

Therese roześmiała się.

- Bardzo proszę, Jane. Interesuje cię historia mojego życia? Zaczyna się ona wśród wielkich luksusów w Blois, gdzie urodziłam się jako oczekiwana jedynaczka hrabiego i hrabiny de Beaurain. Miałam szafy pełne pięknych strojów i służbę na każde skinienie. Nic z tego nie pamiętam, ponieważ kiedy byłam jeszcze mała, mój ojciec został zgilotynowany, a matka zmuszona do ucieczki za granicę. Uciekałyśmy nocami, kryjąc się jak złodziejki... Przyjechałyśmy do Anglii, gdzie moja matka latami pracowała jako nauczycielka francuskiego, a potem, kiedy zaczęła podupadać na zdrowiu, wzięła się za szycie. - Therese rzuciła szybkie, czułe spojrzenie w stronę skulonej na łóżku postaci. - Nie chodziłam do szkoły - uczyła mnie matka aż do chwili, kiedy byłam na tyle dorosła, że mogłam podjąć pracę. Cały czas powtarzała mi, że powinnam starać się poprawić swoją sytuację i nie za pominać, czyją jestem córką. Niestety żadnych luksusów ani bogactwa nie pamiętam; pamiętam tylko ubóstwo i walkę. - Mimo tych słów twarz Therese pozostała pogodna i spokojna. - Zaczęłam pracować jako guwernantka u pewnej ro-

dżiny w Kencie... - Lekko wzruszyła ramionami. - To dawne dzieje. Byłam młoda, pan domu stary i natrętny, a jego żona nie wierzyła, że można mu się oprzeć... Wyrzucono innie bez żadnych referencji i wobec tego podejmując następną pracę, musiałam znacznie spuścić z tonu. Zostałam guwernantką w domu pewnego skromnego obywatela, który koniecznie chciał wychować córki na damy. - Therese znów wzruszyła ramionami. - Nie mam czasu myśleć o pozycji społecznej i majątku. Jakże bym mogła w mojej sytuacji? Jakie miałyby znaczenie pozycja społeczna dla mnie, biednej jak mysz kościelna córki francuskiego arystokraty? Ale ci ludzie nie byli nawet sympatyczni - okazali się małostkowi i ograniczeni. I w końcu też mnie zwolnili, twierdząc, że nie podoba im się moje wyniosłe zachowanie, ale tak naprawdę krępowało ich to, że służba jest lepiej urodzona od państwa. Wróciłam więc do Londynu i wzięłam się za szycie, jak moja matka. - Odgryzła nitkę z nagłą zawziętością. - Tymczasem matka coraz bardziej podupadała na zdrowiu. Z tego to powodu postanowiłam skontaktować się z Huntingtonami i poprosić ich o pomoc. Nic innego nie byłoby w stanie mnie do tego skłonić, jestem na to zbyt dumna. - Napotkała wzrok Jane i uśmiechnęła się lekko. - Wiem, że to mój największy grzech. Tak czy siak, otrzymałyśmy pełne rezerwy zaproszenie. Czy miałaś może okazję poznać tę rodzinę, Jane? Są tak samo dumni jak i my, sztywni i nieelastyczni, i nie okazali ciepła swoim francuskim kuzynkom. No cóż... to by i tak nie miało szans... Nie potrafię być ubogą krewną, raczej wolę w uczciwy sposób zarabiać na życie. Zarzucono nam niewdzięczność i nadmierną dumę, więc wróciłyśmy tu i wynajęłyśmy ten pokój. Moja matka jest od jakiegoś czasu zbyt

chora, by pracować, a lekarstwa dużo kosztują, ale jakoś wiążemy koniec z końcem.

- A kilka tygodni temu byłaś na balu u lady Aston - podsunęła delikatnie Jane.

Therese wolno odłożyła szycie. Nagle w jej oczach pojawił się taki wyraz, jakby myślami błądziła daleko.

- Tak, och, Jane, to była piękna suknia. Latami miałam do czynienia z jedwabiami i aksamitami i nigdy nie czułam pokusy, ale tamta suknia... Stara księżna... - Therese uśmiechnęła się przewrotnie. - Wiedziałam, że ta suknia się na niej nie wyda tak piękna... I gdy tylko zobaczyłam, że nabiera w moich rękach kształtu, zapragnęłam ją mieć! Przymierzyłam i pomyślałam sobie: dlaczego nie? Nikt się nie zorientuje, włożyłam więc na nią pelerynę i poszłam na ten bal. Słyszałam, jak księżna o nim mówiła... A resztę - wzruszyła ramionami - znasz.

- Tańczyłaś z Simonem... - powiedziała Jane w zadumie. - Widziałam was dwoje. Robiliście wrażenie bardzo szczęśliwych.

Therese unikała jej wzroku.

- Bawiłam się świetnie. Było jak w bajce. A całe to oszu-kaństwo tylko dodawało sytuacji pieprzyku. Raz w życiu... - Potrząsnęła głową. - Raz w życiu znalazłam się wśród równych sobie i w miejscu godnym siebie. Los jednak chciał inaczej! Ale i tak było cudownie. I nagle ten potwór zaczął mnie molestować, a twój brat przyszedł mi z pomocą... - Therese zawiesiła głos.

- Podoba ci się Simon, prawda? - spytała Jane. - Bo niezależnie od tego, co mówiłaś, mimo wszystko wierzę...

Therese odwróciła wzrok. Przez chwilę milczała.

- Może gdyby sprawy wyglądały inaczej... Tak. - Nagle odsunęła od siebie suknię i wstała. - Kiedy go poznałam, pomyślałam sobie: oto jest mężczyzna... - W jej oczach czaił się uśmiech. - I rzeczywiście, po raz pierwszy w życiu miałam pokusę, ale...

- Ale Simon nie chce, żebyś została jego kochanką! - zaprotestowała Jane. - On by cię nigdy w ten sposób nie obraził! On chce się z tobą ożenić!

- To jeszcze gorzej! - odparła szybko Therese. - Czy możesz sobie wyobrazić sytuację, w której znajomi pytają twoją matkę o synową, a ona musi się przyznać, że jest nią kobieta, która szyła jej suknie?

- U nas w rodzinie nie przywiążujemy do takich rzeczy wagi! - odparła Jane z naciskiem.

Therese wydała jej się nagle bardzo zmęczona.

- Wszyscy przywiązują wagę do takich rzeczy, Jane! Ale to jeszcze nie koniec. Są gorsze sprawy. Czy wyobrażasz sobie, jak Samways przychodzi na Portman Square i szantażuje mnie, grożąc, że rozpowie w towarzystwie, jak to mu płaciłam, żeby tylko nie trafić do jednego z jego domów publicznych? Cóż to byłby za smakowity skandal! Ale na razie dość tego! Czy zechcesz zjeść ze mną drugie śniadanie? Wprawdzie to tylko chleb z serem, ale za to ser jest francuski!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Popołudnie wlokło się bez końca. Wkrótce po lunchu przyszedł jakiś mężczyzna z lekarstwami dla hrabiny de Beaurain, która wskutek usilnych namów córki uniosła się na tyle, żeby zażyć łyżkę specyfiku.

- Co jej jest? - spytała szeptem Jane, kiedy Therese wróciła do stołu. Nie chciała być wścibska, ale w pełnym cierpliwości oddaniu, z jakim córka pielęgnowała chorą matkę, dostrzegła coś niezwykle wzruszającego.

- Cierpi na chroniczne zapalenie płuc - odparła Therese. - Dobrze by jej zrobił ciepły klimat albo chociaż wyjazd do uzdrowiska. - W oczach dziewczyny na moment zabłyśły łzy, które jednak zdołała powstrzymać mruganiem. - No, do roboty! Muszę skończyć tę suknię, żeby mieć czym zapłacić Samwaysowi.

Przez jakiś czas rozmawiały. Therese opowiadała o pracy guwernantki, a Jane mówiła o dzieciństwie w Ambergate, starając się przemycić jak najwięcej informacji o Simonie.

- To musi być cudowne miejsce - powiedziała Therese rozmarzona, kiedy Jane skończyła opisywać łagodne wzgórza i urodzajne pola Wiltshire. - Ale myślę, że każda młoda dama prędzej czy później przyjeżdża do Londynu szukać męża. Czy jesteś już zaręczona, Jane? Nie byłoby w tym nic dziwnego.

Jane stanęła w pąsach. Udało jej się nie mówić o Aleksie, a co więcej, nawet o nim nie myśleć przez jakieś pięć minut.

- Nie! To znaczy tak, w pewnym sensie jestem...

- *Tiens!* - wykrzyknęła Therese, ubawiona. - No więc jesteś czy nie jesteś zaręczona, Jane? Robisz wrażenie niepewnej.

- No bo wiesz... jest pewien dżentelmen, który zawarł z moim ojcem umowę, że wyjdę za mąż za jego brata.

Therese skinęła głową.

- To rozumiem. Bo takie jest życie! I co dalej?

- Ale ja nie miałam ochoty wyjść za tego brata - powiedziała Jane. - I on się zakochał w mojej najlepszej przyjaciółce.

- No a co z tym zaplanowanym małżeństwem?

Jane ponownie się zaczerwieniła.

- No więc ten dżentelmen... on jest księciem... chce, że bym zamiast za jego brata wyszła za niego, żeby utrzymać alians naszych rodzin. Ale to był za słaby argument, żeby mnie przekonać. Niestety, wczoraj zostaliśmy... zostałam skompromitowana i wygląda na to, że będę musiała się zgodzić.

Zabrzmiało to bardzo dziwnie i Therese patrzyła na nią w najwyższym zdumieniu.

- *Mon Dieu!* Jane, mów mi wszystko po kolei. Kim jest książę, jaki on jest i w jaki sposób osoba tak niewinna jak ty mogła zostać skompromitowana?

Jane czuła, że się rumieni jeszcze bardziej.

- Ten dżentelmen to książę Delahaye. On jest... nie wiem, jak mam go opisać... Jest przyzwyczajony do tego, że wszyscy są posłuszni jego woli, i nie był zachwycony, kiedy

sprzeciwiłam się jego planom. To przystojny mężczyzna, ale groźny, dopóki się go lepiej nie pozna. Ma opinię odludka, co niektórzy uważają za bardzo dziwne. Ale ja myślę...

Jane urwała, zdając sobie sprawę, że się uśmiecha i że w ten sposób zdradza swoje uczucia...

- Z tego wynika, że jesteś w nim zakochana - powiedziała rzeczowo Therese. - Ale wobec tego dlaczego nie przyjąłś jego oświadczeń?

Jane zawahała się.

- A dlaczego ty się nie chcesz spotkać z Simonem? - odparowała. - Powody nie zawsze są jasne, zgodzisz się chyba ze mną?

Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym starsza z dziewczyn uśmiechnęła się i wzruszyła lekko ramionami.

- Lubię cię, Jane Verey! Nie powinnam, ale cię lubię! *Mon Dieu!* Dlaczego Vereyowie muszą mi jeszcze bardziej utrudniać życie?!

Jane z ulgą przyjęła zmianę tematu; zdawała sobie sprawę, że zbyt łatwo się odsłania. Nieważne, że Therese podejrzewała ją o miłość do Aleksa, ważne, żeby on nie odkrył prawdy. Byłoby to dla niej zbyt upokarzające, skoro księżę dalej kocha zmarłą żonę. Z lękiem uświadomiła sobie, że prędzej czy później będzie musiała wytłumaczyć się przed Alekssem z tego, że zlekceważyła jego ostrzeżenia przed Spital-fields. Ta myśl wprawiała ją w stan wielkiego zdenerwowania.

- Widzieliśmy ciebie i Samwaysa w Vauxhall Gardens - powiedziała nagle Jane, której myśl o Aleksie przywiodła na pamięć tamtą groźną scenę. - Chyba nie poszłaś tam w jego towarzystwie?

Therese roześmiała się.

- Nie bój się, Jane! Nie ma żadnych podstaw, żebyś mnie posądzała o współudział w jego brudnych machinacjach. Wybrałam się do Vauxhall sama - przyznaję - na wagary. Samways mnie tam znalazł i usiłował namówić na to, żebym wzięła z nim udział w pewnym przedsięwzięciu. Wyciągał mianowicie niczego nie podejrzewającym ofiarom wypchane sakiewki i był mu potrzebny ktoś, komu mógłby je bezpiecznie oddawać na przechowanie. Powiedziałam mu, co o tym myślę, i więcej go nie widziałam.

Jane już miała wspomnieć o zaplanowanym ataku Sam-waysa na księcia, ale ugryzła się w język. Bała się, że mimo całego doświadczenia życiowego, a nawet pewnego cynizmu Therese przeżyje szok. Nie była też pocieszająca świadomość, że znajduje się ona w mocy tak bezwzględnego człowieka. Tym bardziej Jane ufała, że Simon zapłaci żądany okup i że w ciągu kilku godzin będzie mogła wrócić do domu.

Dziewczyny chwilę jeszcze rozmawiały, po czym Therese przygotowała na kolację rosół i namówiła matkę, żeby się choć trochę posiliła. Matka z córką czas jakiś szeptały po francusku, a następnie Therese przywołała do siebie Jane.

- Panno Verey, chciałam panią przedstawić mojej matce, hrabinie de Beaurain. Mamo, to jest panna Jane Verey.

Twarz hrabiny pokrywała woskowa bladość typowa dla ludzi ciężko chorych, a jej szczupła postać ledwie się odznaczała pod kołdrą. Spłowiałe niebieskie oczy, niegdyś zapewne tak intensywnie błękitne jak u córki, teraz były głęboko zapadnięte i przymglone bólem. Mimo to hrabina spojrzała na Jane z ciepłym zainteresowaniem.

- *Enchantee*, mademoiselle...

- Ogromnie mi przykro, że pani jest tak chora - powiedziała szczerze Jane. - Musi pani być bardzo ciężko. - Gdybym mogła w czymś pomóc...

Hrabina szeroko otworzyła oczy.

- Może pani pomóc, panno Verey. Proszę wytłumaczyć mojej niemądrej córce, żeby zechciała wysłuchać pani brata. Usycha z tęsknoty za nim, a jednak duma i szacunek dla jego pozycji nie pozwalają jej...

- *Maman!* - Jane z rozbawieniem patrzyła, jak Therese oblewa się pąsem. - Nie powinnaś mnie zdradzać!

- Phi! - Hrabina wykonała nieokreślony gest, kładąc się na wznak i zamykając oczy. - Chcę dobrze dla mojej córki i potrafię rozpoznać miłość, kiedy widzę jej objawy. Pani brat siedem razy przychodził tu, prosząc ją o rozmowę, i za każdym razem Therese go odprawiała. A potem płacze...

- *Maman* - powtórzyła Therese błagalnym tonem. - To naprawdę nie jest takie proste.

- Nonsens! W jakim stopniu ta sprawa jest prosta czy skomplikowana, zależy tylko od ciebie. Tak właśnie wygląda francuska praktyczność! - Hrabina uśmiechnęła się słabo. - A teraz, dziecko, daj mi odpocząć i zastanów się nad tym, co ci powiedziałam.

Świeczka wypaliła się do końca i Therese zaczęła porządkować pokój, zręcznymi ruchami składając szycie.

- Już bardzo późno - zwróciła się do Jane. - Nie wiadomo, czy Samways wróci jeszcze dzisiaj. Spróbuj odpocząć...

Wyciągnęła siennik spod łóżka matki. Jane potrząsnęła głową.

- Nie powinnam zasypiać - powiedziała poważnie. - Raczej zdrzemnę się na krześle.

Drzwi otworzyły się nagle i serce skoczyło Jane do gardła. Wszedł Samways, uśmiechając się do Therese, która spojrzała na niego z góry.

- Dobry wieczór, księżniczko! Wygląda na to, że trafił mi się bardziej smakowity kąsek, niż myślałem! - Popatrzył w stronę Jane, która cofnęła się instynktownie. - Wszystko wskazuje na to - rzekł, pożerając ją wzrokiem - że ta młoda dama jest narzeczoną księcia Delahaye!

Jane wstrzymała oddech: Samways podszedł do niej i uniośł rękę, jakby zamierzał uderzyć ją w twarz. Cofnęła się gwałtownie.

- Ten człowiek nadepnął mi na odcisk - podjął. - Początkowo zamierzałem cię odesłać... naturalnie po spędzeniu przez ciebie pouczającej nocy w jednym z moich klubów... bardzo miła perspektywa! - Na widok zgrozy i niesmaku malujących się na twarzy Jane Samways roześmiał się złośliwie, aż jego ramiona zaczęły podskakiwać. - Ale potem pomyślałem sobie: nie. Nie jestem mściwy, użyję cię jako przynęty. Na pewno się tu pofatyguje, żeby cię odzyskać, prawda?

- Miejmy nadzieję - odparła Jane z udawanym spokojem. - Wspomniałam właśnie pannie de Beaurain, że jest to umowa matrymonialna. Nie pozostaje mi nic innego jak ufać, że Jego Księżęca Mość zada sobie ten trud.

Samways zawahał się, ale już po chwili obnażył w uśmiechu żółte zęby.

- I powinna się panienka o to modlić! A na razie proszę grzecznie poczekać, dopóki nie poślę po Jego Księżęcą

Mość, żeby się tu zgłosił w celu omówienia ze mną warunków pani uwolnienia...

W przerażającym przebłysku pamięci Jane zobaczyła znów tamtą noc w Vauxhall i światło księżyca igrające na ostrzu noża. Wiedziała, co może czekać Aleksa, kiedy przyjdzie na spotkanie. Therese podeszła do niej, jakby się obawiała, że Jane zemdleje, i gestem pocieszenia położyła jej rękę na ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze, *cherie*...

Jane przełknęła nerwowo ślinę.

- A na czym polega pana konflikt z Alekssem Delahaye, sir? Skoro chce się pan mną posłużyć w akcie zemsty, to chyba mam prawo wiedzieć?

Przez chwilę myślała, że Samways odmówi jej wszelkich wyjaśnień, ale uśmiechnął się ponownie.

- Ten człowiek obrabował mnie z fortuny i musi mi za to zapłacić.

- Obrabował pana? - Jane nie potrafiła ukryć osłupienia. Tego się nie spodziewała.

- Aha. - Samways przetarł chustką czerwoną twarz. - Swego czasu byłem dżentelmenem i zamierzałem poślubić jedną z kuzynek Jego Księżęcej Mości! Bogatą - bogatą wdowę, dojrzały owoc i na tyle słodki dla mnie, że wszystko się świetnie układało. Ale księżę uznał za stosowne położyć temu kres, na dodatek pozbawiając mnie fortuny!

- Bogata wdowa... - niemal wyszeptała Jane.

- Owszem, lady Eleanor Fane! - Nienawiść w głosie mężczyzny była wręcz namacalna. - Otóż ta szacowna dama była gotowa związać ze mną swoje losy, dopóki Delahaye nam w tym nie przeszkodził. I cała ta fortuna przypadłaby mnie - koniec z oszczędzaniem, koniec z walką o życie!

Jane usiadła gwałtownie -jej myśli wirowały jak szalone. To była bardzo dziwna historia. Myśl o tym, że surowa lady Eleanor została powstrzymana przed małżeństwem z niestosownym i jeszcze do tego z dziesięć lat młodszym od siebie mężczyzną, przekraczała wyobraźnię Jane. Ale Samways utrzymywał, że był kiedyś dżentelmenem, i jego nienawiść do Aleksa wydawała się aż nazbyt autentyczna...

Jak przez mgłę zauważyła, że Samways wychodzi, polecając jednemu ze swoich ludzi, żeby z nimi został. Therese zaczęła protestować przeciwko brutalnemu naruszeniu prywatności jej domu, ale została zlekceważona. Drzwi zamknęły się za Samwaysem, a jego człowiek usiadł w fotelu, bawiąc się nożem i uśmiechając chytrze do Jane. Therese, która z nagłym i dziwnie podejrzanym spokojem zaakceptowała tę sytuację, zaproponowała intruzowi, żeby się napił wina. Jane patrzyła, jak idzie go nalać i jak, za plecami mężczyzny, dolewa do niego lekarstwa matki. Wpatrywała się w nią jakiś czas, a następnie, posłuszna groźnemu spojrzeniu Therese, odwróciła głowę.

Uzgodniły, że Jane zajmie siennik, a potem gospodyni, zapaliwszy nową świecę, zasiadła do stołu, jakby przy pracy zamierzała spędzić całą noc. Obecność mężczyzny wykluczała jakąkolwiek rozmowę. Hrabina od czasu do czasu wzdychała we śnie.

Godzinami -jak jej się zdawało - Jane leżała sztywno na twardym sienniku, przeżywając istną gonitwę myśli. Już sam fakt, że postawiła Simona w sytuacji, w której będzie musiał zapłacić za jej uwolnienie, był fatalny, ale narażenie Aleksa na niebezpieczeństwo to coś znacznie gorszego... Zastanawiała się, czy Samways się już z nim skontaktował, co Alex

zrobi, czy zdoła umknąć niebezpieczeństwa, a jeśli tak, to co się z nią stanie... Wiedziała, że jej myśli są bezproduktywne, ale nie mogła się im oprzeć. Kilka łez wymknęło jej się spod powiek.

- Jane! - Nad nią stała Therese, szarpiąc ją za ramię. Jane otworzyła oczy, na chwilę oślepiona płomieniem świecy. -Chodź! Szybko! On zasnął!

- Co mu dałaś?

- Sok z maku! - powiedziała ze zniecierpliwieniem Therese. - Już myślałam, że nigdy nie zadziała. - Odstąpiła na bok, tak żeby Jane mogła zobaczyć pogrążonego w głębokim śnie i głośno chrapiącego mężczyznę. - Posłuchaj. Musisz wyjść przez to okno i przedostać się po gzymsie do końca budynku. Tam są schody, które prowadzą na ulicę. Wszędzie kręcą się ludzie Samwaysa, ale po ciemku masz szansę się im wymknąć. Jeśli nie, to w ostatnim mieszkaniu znajdziesz rodzinę, która cię ukryje. Ja bym z tobą poszła, ale nie mogę zostawić tu *mamon* samej. Mam nadzieję, że zdążysz!

- No dobrze, ale kiedy on wróci... - Jane walczyła z oknem, które nie chciało się otworzyć. - Co mu powiesz, Therese?

- Po prostu: że zasnęłam, a kiedy się obudziłam, ciebie już nie było. Jak przyjdzie co do czego, to zrobię wszystko, żeby pomóc twojemu księciu Delahaye, ale mam nadzieję... tak sobie przynajmniej wyobrażam... że jest to człowiek, który potrafi sobie poradzić. A teraz, życzę ci szczęścia i... nie zwlekaj! - Dziewczyny uściskały się krótko i mocno.

Już sama perspektywa wyjścia przez okno wydała się Jane

paraliżująca. I choć nigdy nie miała lęku wysokości, to w ciemnościach czuła się straszliwie osamotniona i przerażona.

Gzyms był wprawdzie dostatecznie szeroki, żeby móc się po nim ostrożnie przemieszczać, ale kiedy zahaczyła o coś sukienką, o mało nie straciła równowagi i musiała mocno zagryźć usta, żeby nie krzyknąć. Nie dbała o to, czy na dole jest tłum ludzi Samwaysa, czy go nie ma, chciała tylko poczuć pod nogami stały grunt.

Wreszcie dotarła do końca budynku i ostrożnie postawiła nogę na ciemnych schodach, czekając, aż oddech jej się uspokoi. Nigdzie w pobliżu nie słyszała żadnego dźwięku ani nie zauważyła ruchu i zaczęła już wierzyć, że nikt jej nie dostrzeże. Schody były nie oświetlone, ruszyła więc w dół po omacku, jedną rękę przesuwając wzdłuż ściany, z uczuciem, że każdy krok to krok w nieznaną.

Znalazłszy się na dole, przystanęła na chwilę, wyglądając trwożliwie za róg. Wyglądało na to, że ulica jest pusta, co było dziwne, jako że wcześniej dosłownie roiło się tu od ludzi Samwaysa. Zaczęła przemykać pod ścianą, trzymając się cienia i pragnąc jak najszybciej dotrzeć do głównej ulicy. Modliła się, żeby spotkać kogoś, kto mógłby jej pomóc. Za wszelką cenę starała się nie myśleć o tym, jakie niebezpieczeństwa czyhały na błądzącą w nocy po Londynie dziewczynę, że być może właśnie w tej chwili Alex wpada w zastawioną na niego pułapkę...

Doszła do końca budynków, mając przed sobą czarną przestrzeń, ciemniejszą od otaczającej ją nocy. Ruszyła przed siebie na oślep, potykając się o kamienny krawężnik i wyciągając rękę, żeby zamortyzować upadek. I właśnie w tym mo-

mencie została złapana w bezlitosny uścisk. Silne ramiona porwały ją w górę i wyniosły z ciemności, ale Jane ani nie krzyczała, ani się nie broniła, bo już wiedziała, w czyich znalazła się objęciach.

Było jasno i ciepło i ktoś wlewał jej do ust alkohol.

- I co, do diabła, mamy teraz zrobić, Alex? - usłyszała.

Zakasłała i otworzyła oczy. W dalszym ciągu obejmowały ją ramiona Aleksa: siedziała u niego na kolanach, mocno przytulona, zdając sobie sprawę z całej niestosowności tej sytuacji, zwłaszcza że poza Alekssem w pokoju byli jeszcze Henry Marchnight i jej brat. Wyrывała się jak mogła, ale księżę trzymał ją mocno.

- Jane? Czy on cię nie skrzywdził? Nic ci nie jest?

- Nie, nic mi nie jest - odparła ze złością. - Poza tym, że mnie udusisz.

Zobaczyła, jak mężczyźni wymieniają spojrzenia i jak napięcie na twarzy Simona powoli zamienia się w uśmiech.

- Już przyszła do siebie - zauważył.

Alex wstał i delikatnie posadził Jane naprzeciwko siebie na krześle.

- Mamy niewiele czasu. Czy aby na pewno nic ci się nie stało? Powiedz prawdę.

- Mówię prawdę, nic mi się nie stało. - Jane była wstrząśnięta i trochę przerażona tym, co zobaczyła w jego twarzy. - A Therese jest bezpieczna, chociaż musimy się pospieszyć. Uspiała człowieka, który miał nas pilnować. Ale jak długo pozostanie nieprzytomny... to inna sprawa.

- I wtedy uciekłaś? - zapytał szybko Henry. - I był tam z wami tylko ten jeden mężczyzna?

Jane skinęła głową.

- Therese ze mną nie poszła, bo nie chciała zostawić matki, ale nie możemy narażać jej na spotkanie sam na sam z tym potworem... On powiedział, że wszędzie jest pełno jego ludzi...

- Wyłapaliśmy wszystkich, którzy pilnowali ulicy -rzekł Alex. - Mieliliśmy też zamiar schwytać w zasadzkę tych, którzy byli z wami w domu, chociaż naturalnie nie wiedzieliśmy, ilu ich jest. Ale twierdzisz, że jest tylko jeden i tym jednym zajęła się panna de Beaurain. - Uśmiechnął się do Simona. - Następnym razem, kiedy znajdziecie się w opałach, to szykując odsiecz, będziemy pamiętać, jak doskonale potraficie sobie radzić. A co szykowałyście dla Samwaysa, jeśli wolno wiedzieć? Może zamierzałyście go zdzielić rondlem?

- Może... - Jane wzdrygnęła się. - Musimy iść ratować Therese. Bez względu na to, co ona mówi, nie wolno nam zostawiać jej tam samej!

- Naturalnie, że nie. - Alex spojrzał na zegarek. -I rzeczywiście czasu jest niewiele. W ciągu godziny mam się tu spotkać z Samwaysem, co też uczynię, ale w sytuacji znacznie dla mnie korzystniejszej, niż on sobie wyobraża. Simon, bądź taki dobry i zawieź Jane, Therese i jej matkę na Portman Square. Henry i ja zajmujemy się Samwaysem.

Kiedy Jane zastukała do drzwi, otworzyła jej Therese. Płomień świecy oświetlał ją od tyłu, zamieniając jej srebrzyste włosy w jasną aureolę. Twarz miała ukrytą w cieniu.

- Jane? Co się stało? *Tiens...* - nagle dostrzegła Aleksa i Henry'ego Marchnighta - *messieurs...*

Alex zatknął pistolet za pasek.

- Do usług, mademoiselle de Beaurain. Jestem Alexander Delahaye, narzeczony panny Verey.

- Jane ma wiele szczęścia - powiedziała Therese, wymownie unosząc brew. - A ten dżentelmen... ?

Henry Marchnight, jak zwykle nienagannie elegancki, wystąpił do przodu i pochylił się nad ręką Therese.

- Henry Marchnight, mademoiselle, sługa uniżony. A tu jest ktoś, kto szczególnie pragnie się z panią zobaczyć... - Odstąpił na bok i z cienia wyłonił się Simon, delikatnie za mykając za sobą drzwi.

Była to wyjątkowa chwila. Jane, która stała objęta ramieniem Aleksa, widziała zaskoczenie Therese i spokojną czujność na twarzy brata. Nie miała okazji powiedzieć Simonowi o wyniku swojej rozmowy z Therese, ale teraz zrozumiała, że nie było takiej potrzeby. Stali wpatrzeni w siebie i tylko sobą zajęci. Jakby Jane, Alex, Henry, a także śpiący uczestnicy spotkania nie istnieli.

- Dobry wieczór, milordzie - powiedziała Therese drżącym głosem. Nagle jej oczy napełniły się łzami. Pełna współczucia Jane stwierdziła, że Therese jest bardzo zdenerwowana.

- Therese - powiedział Simon.

Bardzo wolno podeszli do siebie. Simon objął ją delikatnie i przytulił w uniesieniu. Wszelkie słowa były zbędne.

- Później będzie na to czas - rzekł Alex z uśmiechem. Na krótką chwilę jego ramię, którym otaczał Jane, stężało, po czym odezwał się rzeczowym tonem:

- Panno de Beaurain, pani i pani matka musicie natychmiast opuścić ten dom. Prosiłbym bardzo, żeby się panie spakowały najszybciej, jak tylko to możliwe. Simon odwiezie panie wraz z Jane na Portman Square, a ja i Henry poczeka-

my tu na Samwaysa. Bardzo proszę! - dodał, widząc, że Therese się nie rusza. - Nie mamy chwili do stracenia!

- Pojedziesz z nami, prawda? - zapytała Jane. Therese nie wypuściła ręki Simona i Jane spodziewała się, że brat ją poprze, ale Simon stał dalej w milczeniu, wpatrzony w ukochaną.

Na moment zapanowała cisza, po czym od strony łóżka rozległ się głos:

- Moje drogie dziecko - powiedziała hrabina - jeśli i tym razem odmówisz, przysięgam, że cię wydziedziczę!

Starsza pani usiłowała usiąść, czemu towarzyszył lekki atak kaszlu.

- Proszę mi podać mój szal, monsieur - poleciła Aleksowi - żebym mogła godnie odbyć podróż.

Therese z delikatnym uśmiezkiem skinęła głową.

- Nie ma tu nic, co bym chciała zabrać ze sobą - powiedziała, a Jane odniosła wrażenie, że mówi o czymś więcej niż tylko o przedmiotach. - Mam taką małą torbę i... - wyciągnęła torbę spod łóżka - i to jest wszystko. - Po czym zwróciła się do Simona. - Obawiam się, milordzie, że wyjdę stąd dosłownie w tym, w czym stoję.

Simon uśmiechnął się do niej czule.

- Nic więcej do szczęścia mi nie potrzeba, kochanie! Idź przodem, a ja zniosę twoją matkę. Powóz stoi za Crispin Buildings. Henry, bądź tak dobry i zechciej nam pomóc, zanim tu wrócisz do Aleksa, dobrze?

- Co z nim zrobicie? - zapytała Therese, zerkając w stronę śpiącej w fotelu postaci. Jane odniosła wrażenie, że od czasu jej wyjścia mężczyzna się nie poruszył.

Alex roześmiał się.

- Zostawimy go tutaj! Samways zostanie pusty pokój, swojego człowieka smacznie śpiącego i nas dwóch.

W ostatnim momencie, zanim postawiła nogę na ciemnych schodach, Jane raz jeszcze spojrzała na Aleksa. Miała ochotę podbiec do niego i powiedzieć mu, żeby uważał, że go kocha i że gdyby został zabity, nigdy już więcej nie znalazłaby szczęścia. Było jednak w jego twarzy coś surowego, jak gdyby księżę już myślał o czekającym go spotkaniu, co sprawiło, że Jane powstrzymała ciskające jej się na usta słowa; mogła tylko ufać, że powie mu to, kiedy znów się zobaczą.

Ich przybycie na Portman Square miało dramatyczną oprawę: wszyscy byli na nogach, płonęły światła, a służba, zamiast spać, kręciła się po domu, wyczekując wieści. Jane, niespokojna o Aleksa, niemal całkowicie zapomniała o tym, że jeszcze niedawno była zakładniczką, i teraz trzymała się z tyłu, nagle dziwnie speszona.

Simon pomógł hrabinie wysiąść z powozu i posłał przestraszonego lokaja, żeby obudził doktora. Therese ruszyła za nim do holu, a Jane zamykała pochód.

Lady Verey i Sophia siedziały w salonie, ale teraz, kiedy Simon wszedł do holu, wpadły tam obie, a na ich zmartwionych do tej pory twarzach pojawił się uśmiech.

- Jane! - Sophia uściskała przyjaciółkę z uczuciem szczerzej ulgi. - Och, Jane, tak bardzo się o ciebie martwiliśmy. Jak mogłaś zrobić coś podobnego!

- Bogu dzięki, Jane, jesteś cała i zdrowa! I... - Lady Verey urwała na widok Therese i jej matki. - Kto... ? - zaczęła, ale zanim skończyła, uzyskała wyczerpującą odpowiedź, gdy Simon, nie bacząc na obecnych, porwał Therese w ramiona.

- Chciałam panią bardzo przeprosić za to nasze nieoczekiwane wtargnięcie - powiedziała spokojnie hrabina de Beaurain. - Musi się to wydawać niezwykle, bo takie w rzeczywistości jest, ale - przerwał jej gwałtowny atak kaszlu i zarówno Jane, jak i lady Verey pospieszyły hrabinie z pomocą.

- Proszę nic nie mówić - rzekła uspokajająco Jane. - Mamo, Sophia, to jest hrabina de Beaurain, a to - skinęła głową w kierunku kruchej postaci Therese, która w dalszym ciągu stała, uwięziona w ramionach Simona - jest jej córka, z którą Simon zamierza się ożenić!

- To bardzo szczęśliwie... po takiej demonstracji! - powiedziała lady Verey, próbując powściągnąć uśmiech. Matki wymieniły spojrzenia ostrożnej aprobaty. - No cóż, mam nadzieję, że rano usłyszymy coś więcej na ten temat. A teraz, bardzo proszę za mną, pokażę pani jej sypialnię. Czyżby to doktor Tovey? Wspaniale! - I z miną osoby przygotowanej na dowolną liczbę niespodzianek w życiu, lady Verey wyprowadziła swoich nieoczekiwanych gości.

- Och, Jane! To takie romantyczne! - Sophia zwinęła się w kłębek w nogach łóżka przyjaciółki, z twarzą promieniejącą szczęściem. - Widać, jak bardzo się kochają! A przecież Simon spotkał się z nią zaledwie trzy razy! Prawie nie rozmawiali. Mimo to od razu wiedział, że ona jest mu przeznaczona ... - Sopię przeszedł przyjemny dreszczyk.

Jane czuła się tego popołudnia zmęczona i słaba. Nie mogła spać ze strachu, że plany Aleksa się nie powiodły i że teraz leżą gdzieś martwi z Henrym Marchnightem w kałuży krwi. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała sta-

wić czoło skutkom swojej wyprawy do Spitalfields, która ściągnęła na nich tyle kłopotów. Kroplą, która przepełniła kielich goryczy, była panująca w domu atmosfera beztróskiego romansowania, a to za sprawą Sophii i Simona, którzy bujali w obłokach. Jane poczuła się opuszczona i... trochę zazdrosna.

- Przyszłam ci powiedzieć, że twoja mama stanowczo zabrania ci wstawać z łóżka, dopóki doktor Tovey nie potwierdzi, że jesteś całkowicie zdrowa - ciągnęła Sophia wesoło, nieświadoma złego humoru przyjaciółki. - Poza tym książę Delahaye przysłał wiadomość, że zarówno on, jak i lord Henry są bezpieczni, że zatrzymali tego człowieka i że wieczorem książę przyjdzie się z tobą zobaczyć. A teraz zostawiam cię samą, żebyś sobie odpoczęła.

Jane z ciężkim westchnieniem opadła na poduszki. Niepotrzebny był jej doktor - sama wiedziała, że poza zmęczeniem nic jej nie jest! Zranione miała tylko serce. Sophia i Philip święcili tryumf swojej miłości, a teraz i Simon znalazł drogę do Therese! Na tym tle jej zaręczyny z Alekssem, który tylko ze względu na dziadka chciał doprowadzić do połączenia ich rodzin, wydawały się szczególnie mało romantyczne.

Wstała i zaczęła się powoli ubierać. Najpierw postanowiła włożyć suknię jasnobezową, ale się rozmyśliła - uznała, że będzie w niej wyglądała blado. Potem spróbowała żółtej z muslinu i jeszcze różowej, by w końcu pogodzić się z faktem, że jest stanowczo za blada, by w ogóle wyglądać atrakcyjnie, i zdecydowała się na najstarszą ze swoich toalet. Cassie uczesała ją w prosty kok i wreszcie Jane była gotowa stawić czoło światu.

Kiedy zeszła na dół, zastała resztę rodziny przy kolacji, nie miała jednak ochoty jeść i wymknęła się do ogrodu. Było chłodno i niebo nabierało właśnie bladoniebieskiego odcienia wieczoru. Usiadła przy fontannie, wsłuchując się w plusk wody, spływającej do sadzawki poniżej. Słyszała dochodzący z salonu śmiech Sophii i Therese. Zdążyły się już zaprzyjaźnić, a mając do omówienia sprawy szykujących się ślubów i wypraw, nie narzekały na brak tematów. Jane uśmiechnęła się. Sophia nie miała w sobie nic poza życzliwością: zaakceptowała Therese bez żadnych zastrzeżeń. Mam szczęście do przyjaciółek - pomyślała Jane i uрониła łzę; z jakiegoś powodu zrobiło jej się smutno.

- Jane?

Nie wyczuła ani nie usłyszała nachodzącego Aleksa, drgnęła więc przestraszona i ukradkiem wytarła policzki. W zapadającym zmierzchu wydawał się bardzo wysoki i nieprzystępny, ale jak zwykle na jego widok serce Jane skoczyło w piersi. Wyglądał na zmęczonego, co zresztą nie było dziwne. Usiadł obok na kamiennej ławce, na pół do niej odwrócony, i wyciągnął rękę wzdłuż oparcia. Z jakiegoś względu jego obecność podziałała na Jane onieśmielająco.

- Jak to dobrze, że nic ci się nie stało - powiedziała cicho. - Martwiłam się...

- Naprawdę? - Alex spojrział na nią przenikliwie swoimi ciemnymi oczyma. - Muszę przyznać, że owszem, czuję się zmęczony, ale to nic poważnego. No i Samways został zatrzymany, już nie musisz się go obawiać.

- Bardziej martwiłam się niebezpieczeństwem, w jakim ty mogłeś się znaleźć, niż jakimkolwiek zagrożeniem dla sie-

bie - powiedziała Jane, jak zwykle bardziej szczerza niż powściągliwa. - Ostatecznie to ciebie chciał zabić! Z wielką ulgą przyjąłem wiadomość, że został zamknięty i już nie zrobi ci żadnej krzywdy!

- Nie powinnaś lekceważyć własnego zagrożenia, Jane - rzekł poważnie. - Czy on ci mówił o swoich klubach? O domach publicznych, których jest właścicielem, i o dziewczynach, którym dla własnych korzyści rujnuje życie? Czy ci powiedział, że gdyby Simon odmówił zapłacenia okupu, znalazłabyś się na dnie Tamizy? I czy myślałaś o tym wszystkim, wybierając się do Spitalfields ze swoją misją połączenia Simona i Therese? - W głosie Aleksa zabrzmiała nuta ciepłej przygany. - Trudno mi uwierzyć, że po tym wszystkim, co ci powiedziałem na temat Spitalfields, odważyłaś się iść tam sama!

Jak do tej pory jeszcze nikt nie czynił Jane wyrzutów z tego powodu - wszyscy byli zbyt zachwyceni szczęśliwym powrotem dziewczyny, żeby jej wyrzucać głupotę. Alex jednak nie zamierzał puścić tego płazem i Jane znów poczuła wzbierające łzy.

- Ja tylko chciałam pomóc Simonowi - zaczęła nieśmiało, ale księżę jej przerwał.

- To widać, że nie myślałaś o niczym innym. Ani o niebezpieczeństwie i kłopotach, jakie ściągnęłaś na wszystkich, ani o lęku, z jakim twoja matka na ciebie czekała...

- Daj spokój! - Jane szybko traciła opanowanie. - Wiem, że postąpiłam głupio! Proszę cię bardzo, nie wypominaj mi tego! Bardzo żałuję kłopotów, których wszystkim przysporzyłam, ale jestem przekonana, że jeśli nie przeze mnie, to w jakiś inny sposób Samways by cię dopadł! On już wcześ-

niej miał z tobą porachunki, a ja stałam się dla niego tylko dogodnym sposobem zemsty.

Zapadło milczenie. Słysząc było jedynie cichy plusk wody.

- Czy Samways ci powiedział, o co ma do mnie żal? -zapytał Alex po dłuższej przerwie.

- Trochę... - Jane odwróciła głowę. Patrzyła na cienki sierp księżyca, który wschodził nad dachami. - Opowiedział mi historię o lady Eleanor Fane, ale uważam to za kompletną bzdurę! Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś taki jak on mógł się podobać lady Eleanor!

Alex poruszył się na ławce.

- To, co ci powiedział, jest częściowo zgodne z prawdą. Ale jeśli mogę, wolałbym sam przedstawić ci tę historię. Otóż Peter Samways jest synem duchownego, który mieszkał w dobrach mojego ojca. Ojciec nawetłożył na jego wykształcenie, uważając za rzecz oczywistą, że i Peter wybierze stan duchowny. Kiedy jednak się okazało, że jego temperament go do tego nie predestynuje, ojciec znalazł mu posadę w domu jednego ze swoich przyjaciół, a kiedy lady Eleanor owdowiała, Peter został jej sekretarzem. Mimo różnicy wieku i pozycji powstało między nimi uczucie.

Alex westchnął, rozgarniając palcami wodę w płytkiej sadzawce.

- Kto wie, jak się sprawy mogły potoczyć? Z pewnością Samways uważał, że małżeństwo ma w kieszeni! A wraz z nim cały majątek lady Eleanor. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że chodzi mu wyłącznie o pieniądze - rzekł z gorczyzą - ale nigdy bym nie interweniował, gdybym uważał, że ona jest szczęśliwa. Uwierz mi, Jane!

- Wierzę. - Jane była zaskoczona jego wzburzeniem. -
A zresztą nie ma w tym nic dziwnego, że nie aprobowałeś
tak nierównego małżeństwa!

Alex machnął nieznacznie ręką.

- O, jestem pewien, że niejedną chwilę by się nie zastanawiał, tylko zaraz
położył kres jego zapędom! A ja muszę przyznać, że czułem się nieswojo. Mimo
wszystko bym nie interweniował. Ale pewnego razu przyszła do mnie lady Ele-
anor, wyraźnie zatroskana, i powiada, że giną jej z domu różne drobiazgi. A to
niewielkie sumy pieniędzy, a to pojedyncze sztuki biżuterii, łącznie z
medalionikiem z podobizną jej zmarłego męża. Podejrzewaliśmy kogoś ze służby
i zastawiliśmy pułapkę. - Alex westchnął ciężko. - Wpadł w nią Samways.
Złapaliśmy go na gorącym uczynku i musiałem huncwota wyrzucić.

- On ma do ciebie o to wielki żal - powiedziała z namysłem Jane. - A co się z
nim stało, kiedy odszedł od lady Ele-anor?

- Przypuszczam, że usiłował podtrzymać jej zainteresowanie swoją osobą.
Niewątpliwie próbował grać na uczuciach ciotki. A niepowodzenie w tej grze
tylko pogłębiło jego rozgoryczenie. Przyjął posadę w kancelarii adwokackiej w
Holborn, ale słyszałem, że wyrzucili go za oszustwo. Przypuszczam, że od tamtej
pory zaczął schodzić na psy. Na wiele lat straciłem go z oczu i zupełnie o nim
zapomniałem. Aż tu nagle, ponad rok temu, odnalazł mnie i poprosił o przysługę.
Wykorzystując słabość mojego ojca, błagał o pomoc w znalezieniu mu intratnej
posady. Wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowiłem go wesprzeć - po to tylko
jednak, by stwierdzić, że Samways nie zamierza żyć uczciwie. Bardzo szybko

okradł swojego pracodawcę, a ja musiałem się tłumaczyć przed ludźmi, których uważałem za przyjaciół. Było to dla mnie niezwykle trudne.

Gdzieś w pobliżu zaśpiewał ptak, a jego słodkie trele rozbrzmiewały czysto w spokojnym powietrzu. Światła w domu rozbłyły teraz jaśniej. Alex przesunął się trochę i na jego twarz padł cień.

- Wydawało mi się, że raz na zawsze straciłem go z oczu, ale niestety się myliłem. W kilka miesięcy później znów się ze mną skontaktował i wystąpił z nieprzyzwoitą propozycją. Insynuował mianowicie, że wtedy przed laty łączyły go bliskie stosunki z lady Eleanor, ale obiecuje miłczeć na ten temat pod warunkiem, że dostanie dziesięć tysięcy funtów. Powiedziałem mu, żeby spokojnie rozprze strzeniał tę plotkę i poszedł do diabła. Nie wyobrażałem sobie, żeby ciotce to mogło zaszkodzić, a poza tym... kiedyż to było! W każdym razie Samways przyjął moją odmowę bardzo źle. Przypuszczam, że obarczał mnie odpowiedzialnością za wszelkie swoje niepowodzenia i że to był moment, w którym jego uraza przerodziła się w nienawiść na tyle silną, że postanowił mnie zgładzić.

Jane wzdrygnęła się.

- Kiedy go zobaczyłam w Vauxhall...

- Tak, myślę, że gdybyś mu wtedy nie przeszkodziła, z pewnością by mnie zabił. Okazja była niepowtarzalna; nigdy by nie został złapany. A ja już miałem jeden „wypadek” podczas polowania, kiedy to zabłąkana kula otarła się o moje ramię, człowieka zaś, który ją wystrzelił, nigdy nie znaleziono. Zacząłem rozpytywać o Samwaysa - przy moich koneksjach nie było w tym nic trudnego - i wtedy dowiedziałem

się o domach publicznych, o szantażu i innych nieprzyjemnych sprawach, w jakie się wdał. Jane znów się wzdygnęła.

- A co z lady Eleanor? Wie coś na ten temat?

- Na szczęście nie. I nie wie nikt, poza Simonem i Hen-rym Marchnightem. Tobie i im dwóm powiedziałem prawdę; wszyscy inni wierzą, że twoje porwanie było dziełem przypadkowego kryminalisty.

- Pary z ust nie puszcę - rzekła z mocą Jane. - Jak powiedziałaś, ta eskapada nie przyniosła mi chluby. Im mniej będę na ten temat mówiła, tym lepiej.

- Potrafiłaś dochować wielu moich tajemnic - pochwalił Alex. - Winien ci jestem podziękowanie, Jane, za twoją dyskrecję, wybacź, że byłem na ciebie zły! Ale to dlatego, że tak bardzo się o ciebie bałem. - Wziął ją za rękę, a Jane przeszedł dreszcz. Zaabsorbowana jego opowieścią, zupełnie zapomniała o wrazeniu, jakie książkę na niej wywierał. - A teraz chciałbym z tobą porozmawiać o naszym ślubie, Jane. Pomyślałem sobie, że trzy śluby w rodzinie naraz to sprawa dość trudna, ale twoja mama wystąpiła z bardzo sensownym pomysłem, a mianowicie, żeby urządzić trzy śluby w Am-bergate w ciągu, powiedzmy, miesiąca!

- Miesiąca! - Jane, która nagle stanęła wobec tak bliskiej perspektywy małżeństwa, zabrakło tchu. Sądziła, że najpierw pobiorą się Sophia z Philipem, potem Simon i Therese, a w końcu ona będzie mogła zacząć myśleć o sobie. Ogarnęło ją coś w rodzaju paniki. Musi wyjaśnić Aleksowi swoje wątpliwości, powiedzieć mu, że czuje dyskomfort wychodząc za niego za mąż, podczas gdy jego uczucia są zaangażowane gdzie indziej. Zdawała sobie

jednocześnie sprawę, że setki dziewcząt byłyby szczęśliwe na jej miejscu. To tylko ona, tak bardzo kochając Aleksa, nie potrafiła się zadowolić czymś jedynie trochę gorszym. Przypomniało jej się, jak to powiedziała Aleksowi u Almacka, że do zawarcia małżeństwa potrzebna jest sympatia i wzajemny szacunek. Jak może mieć do niego pretensję, skoro oferuje jej i jedno, i drugie?

- Jane? - Alex wpatrywał się w nią z wyrazem twarzy, którego nie rozumiała. Jego głos był bardzo spokojny: - Czy są jakieś problemy?

Łagodność, z jaką się do niej zwrócił, sprawiła, że Jane zachciało się płakać.

- Jestem po prostu bardzo zmęczona - odparła spiesźnie. - Przeżycia ostatnich dni...

- Oczywiście. - Z jakichś względów odniosła wrażenie, że Alex jej nie wierzy.

- Jane, jeśli coś jest nie w porządku, to koniecznie musisz mi powiedzieć.

Rozległy się kroki na ścieżce, po czym usłyszeli wesoły głos Sophii:

- Przepraszam was bardzo, ale lady Verey jest niespokojna, że, Jane siedząc tak o zmroku zaziębi się. Prosi, żebyście przyszli do domu. Czekaemy na was w salonie.

- Oczywiście - powtórzył Alex i cofnął się, żeby puścić przed siebie Jane. Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy martwić z interwencji Sophii, w każdym razie jedno wiedziała na pewno: że prędzej czy później będzie musiała powiedzieć Aleksowi prawdę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Drzemiące w czerwcowym upale, wśród podmokłych łąk Ambergate wydawało się takie samo jak zawsze. Po trwającym cztery tygodnie tornadzie nieustannych wizyt, na przemian z przymiarkami sukien, Jane marzyła tylko o tym, żeby zaznać wreszcie spokoju tego wiejskiego ustronia.

Po zaręczynach jej życie uległo zasadniczej zmianie. Została zarzucona zaproszeniami, których było więcej niż godzin w ciągu dnia; była fetowana, starano się o jej względy, poszukiwano towarzystwa i liczono się z jej zdaniem. Być może przewróciłoby jej to w głowie, gdyby nie poczucie narastającej izolacji i rozpacz, które wydawało się przesłaniać wszystko inne. Im bardziej poszukiwano jej towarzystwa, tym bardziej czuła, że się oddala od Aleksa. A zaczęło się od tamtej rozmowy w dzień po jej uwolnieniu się od Samwaysa i potem już dzieląca ich przepaść systematycznie się pogłębiała.

W obecności innych księżę nienagannie wywiązywał się z roli nadskakującego narzeczonego, dbałego o jej wygody. Przedstawiał ją coraz to nowym ludziom, zręcznie prowadząc przez pola minowe kontaktów towarzyskich, na które jako jego narzeczona była nieuchronnie skazana. Ale prywatnie... zresztą, co tu mówić o jakiegokolwiek prywatności... Teraz, kiedy oficjalne ogłoszenie zaręczyn pozwalało na tro-

chę większą swobodę, praktycznie nigdy nie spotykali się sam na sam. Alex nie zabierał jej na przejażdżki i nie wpadał na Portman Square, żeby się z nią zobaczyć. Czuła, że właśnie wtedy, kiedy powinni być sobie coraz bliżsi, coraz bardziej się od siebie oddalali. Alex znów stał się tajemniczym nieznanym, jak na początku, a ona miała wrażenie, że ledwie zdołała uchylić rąbka tej tajemnicy, a znów jej się wymknął.

Nie mogła tego zrozumieć. Kiedy byli w towarzystwie, nadskakiwał jej i był opiekuńczy, dbając o to, żeby nie czuła się zagubiona czy onieśmielona. Jakby mu rzeczywiście zależało na niej albo przynajmniej na tym, żeby była szczęśliwa. Nie widziała jednak u Aleksa ani śladu głębszych emocji, nie mówiąc już o namiętności, jaka między nimi zaiskrzyła na początku. Pomyślała o czekającym ją pustym, obojętnym związku małżeńskim i ogarnęła ją rozpacz.

Jej poczucie izolacji pogłębiał jeszcze kontrast, jaki stanowili wraz z Alekssem wobec pozostałych dwóch par. Tamci czworo wydawali się tak szczęśliwi i tak w sobie zakochani, że Jane z trudem znosiła ich towarzystwo. W Philipie zaszła wprost niesamowita zmiana: wydawał się rozluźniony, wesóły i cały czas wodził za Sophią rozkochanym wzrokiem. Simon i Therese najwyraźniej przeżywali swoje pierwsze wielkie uniesienia, a ich uczucie miało też w sobie trochę wzajemnego podziwu. Szczęście przyjaciół i ich głębokie przekonanie, że Jane powinna przeżywać dokładnie to samo co oni, sprawiało, że czuła się tym bardziej osamotniona i przerażona myślą, że małżeństwo z Alekssem może się okazać żalosnym nieporozumieniem.

W przeddzień ich wyjazdu do Ambergate Alex wydał

w Haye House kolację dla rodziny. Sophia, z twarzą zarumienioną z podniecenia, raczyła wszystkich opowieścią o wigilii świętej Agnieszki.

- No więc Jane i ja postanowiłyśmy sprawdzić legendę i poszłyśmy spać bez kolacji i bez oglądania się za siebie, tak jak trzeba, i mnie się przyśnił bardzo, ale to bardzo przystojny mężczyzna! - Obróciła na Philipa płonące oczy. - Wysoki blondyn, szalenie podobny do Philipa!

Wszyscy się roześmieli.

- A co się tobie przyśniło, Jane? - zapytał Alex słodkim głosem, utkwivszy w niej gorejące spojrzenie ciemnych oczu. Jane odwróciła twarz.

- Nic mi się tej nocy nie śniło, sir.

Uśmiechy zgasły na twarzach gości, którzy wyczuli napięcie między tym dwojgiem, Sophia jednak, uszczęśliwiona, że legenda się sprawdziła, wyraźnie tego nie dostrzegła.

- Och, Jane! Jak możesz tak mówić! Przecież śnił ci się Alex - zarumieniła się trochę, nazywając po imieniu przy szłego szwagra - a teraz jesteś z nim zaręczona. Sama widzisz, że legenda musiała się sprawdzić i na tobie!

Jane uśmiechnęła się lekko na widok poruszenia przyjaciółki. Na moment zapomniała o kręgu otaczających ją twarzy i o badawczym wzroku Aleksa.

- Subtelna różnica polega na tym, Sophy, że ja zoba czyłam prawdziwego Alexandra Delahaye; to nie był za den sen. Tego dnia książę bawił z wizytą w Ambergate! Wyrzłam akurat z sypialni i zobaczyłam na korytarzu mężczyznę, który wydał mi się samym mrokiem i cieniem, jakby prosto z legendy... - Urwała. - Byłam wtedy bar-

dzo młoda, a on taki poważny i groźny, a mimo to dziwnie zniewalający. Och, szczerze mówiąc, wydał mi się szalenie przystojny... Wróciłam do łóżka i... i tej nocy nawiedzał mnie w snach... - Urwała, zdając sobie sprawę z ciszy, jaka nagle zapadła, i z tego, że się tak nieopatrznie zdradziła. W tym momencie lady Eleanor Fane powiedziała z nutą aprobaty w głosie:

- Co za urocza historia, moje dziecko!

Najwyraźniej ta opowieść przekonała wszystkich, że jest zakochana w Aleksie po uszy!

Henry Marchnight z uśmiechem poklepał Aleksa po plecach.

- Ale z ciebie szczęściarz!

- Ja też tak uważam - odparł księżę obojętnym tonem, ze wzrokiem w dalszym ciągu utkwionym w twarz Jane.

Przyjęcie skończyło się wcześniej, ponieważ uczestnicy -z jednym wyjątkiem - szykowali się do jutrzejszego wyjazdu. Alex oświadczył mianowicie, że ważne sprawy zatrzymują go w Londynie jeszcze na kilka dni. Jane ogarnęło takie przygnębienie, że zaczęła się zastanawiać, czy te ważne sprawy to przypadkiem nie lady Dennery. Niby nie miała powodów do takich wątpliwości, ale cały czas dręczyły ją podejrzenia i zazdrość.

Powrót do Ambergate przyniósł pewne uspokojenie. Podczas gdy lady Verey wraz z lady Eleanor planowały i spiskowały, chcąc uczynić ze ślubów wydarzenie, jakiego hrabstwo nie widziało, Jane snuła się wśród pól albo siadywała w ogrodach, spoglądając na stary, poczciwy dom, w którym spędziła całe życie. Wiedziała, że nawet i to zmieni się wraz z jej ślubem. Ona stanie się panią kilku wspaniałych rezydencji,

Ambergate zaś przypadnie Simonowi i Therese. Lady Verey już projektowała przenosiny do Amber House, wdowiej siedziby na końcu podjazdu.

Do domu Jane ściągała z zapadnięciem zmierzchu. Do ślubu zostały już tylko dwa dni i ciągle słyszała głosy lady Verey i lady Eleanor, wynoszące pod niebiosa zalety koronek w kolorach kwiatu pomarańczy.

- Zapytamy naszą kochaną Jane, gdy tylko wróci. Gdzie to dziecko się podziewa? Założę się, że przez cały dzień nie miała nic w ustach! Ta obojętność wobec własnego ślubu nie jest normalna! Przecież Therese i Sopię dosłownie rozpieszcza, a Jane snuje się ponura, jakby chodziło o jej pogrzeb!

Jane zatrzymała się w holu. Przygnębienie nie pozwalało jej uczestniczyć w kolacji, a pokusa, żeby się zaszyć w sypialni, była nieodparta.

Wielki zegar wybił dziesiątą. Jane zapaliła świecę i ukradkiem ruszyła po schodach. Na górze skręciła w mroczny korytarz. Usłyszała, jak na dole w holu otwierają się drzwi, ale nie oglądając się nawet za siebie, zrzuciła ubranie, zdmuchnęła świecę i wskoczyła do łóżka.

Sen jednak nie przychodził. Przez jakiś czas rzucała się na łóżku i wierciła, to znów zapadała w niespokojną drzemkę, pełną wizerunków Aleksa. Słyszała, jak reszta domowników szykuje się do snu, po czym zaległa cisza. Nagle żołądek Jane wydał głośnie burczenie.

Z westchnieniem wymknęła się z łóżka, narzuciła szlafrok, zeszła na dół i zakradła się do spiżarni. Znalazła tam pół kurczaka, świeży chleb i oselkę wspaniałego masła. Poczula wilczy apetyt. Kiedy już najadła się do syta i popiła to

wszystko dzbankiem mleka, zdecydowanie poprawił jej się nastrój. Uzbrojona w świecę, ruszyła z powrotem na górę.

Światło księżyca było bardzo jasne. Gdzieś głęboko w lesie zahukała sowa - raz i jeszcze raz. Schody uginały się łagodnie pod ciężarem Jane. Nagle, choć noc była ciepła, przeszedł ją dreszcz. Usłyszała za sobą trzeszczenie deski podłogowej i zawahała się. Miała dziwne uczucie, że ktoś za nią idzie, ale to był nonsens. W takim starym domu jak ten nie brakowało różnych dziwnych odgłosów.

W nagłym podmuchu wiatru płomień świecy najpierw zaczął filować, a potem zgasł. Jane obróciła się na pięcie. Tym razem była pewna, że ktoś za nią stoi, ale schody tonęły w mroku. Ze stłumionym okrzykiem rzuciła się korytarzem i dopadła drzwi sypialni. Zasłony nie były całkowicie zaciągnięte i przez szparę wpadał promień księżyca, kładąc się na podłodze srebrną plamą. Obróciła się, by zamknąć drzwi przed błędzącymi nocą niespokojnymi duchami, ale w tym momencie jakaś postać wślizgnęła się za nią do pokoju i Jane poczuła dotyk ręki, bardzo ciepłej i bardzo żywej.

- Jane?

- Alex!

Fakt, że duch okazał się istotą z krwi i kości, przyjęła z tak wielką ulgą, że prawie ją to zirykowało.

- Co ty tu, do licha, robisz?

- Nie mogłem spać. - Alex, oparty o futrynę, mierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Ty zdaje się też?

- Zgłodniałam - wyszeptała, stawiając świecę na komodzie i zastanawiając się, jak długo Alex zamierza u niej gościć. - Lady Eleanor jest zaledwie dwa pokoje stąd. Musimy uważać, żeby jej nie obudzić.

- Chyba będzie lepiej, jeśli zamknę drzwi - zgodził się z nią Alex i natychmiast swoje postanowienie wprowadził w czyn.

Ale niezupełnie o to chodziło Jane, która zastanawiała się, co też pomyślałaby sobie lady Eleanor, gdyby się dowiedziała, że jej chrześniak dwa dni przed planowanym ślubem przebywa w sypialni swojej narzeczonej.

- Ja nawet nie wiedziałam, że przyjechałeś - powiedziała, również szeptem. - Alex zapalił świecę i zwrócił się twarzą do Jane. Był w dalszym ciągu kompletnie ubrany, swobodnie, ale elegancko, a jego wzrok, który po niej wędrował, tylko podkreślał, jak bardzo ona jest nieubrana. Szybko więc wskoczyła pod kołdrę, wsunęła pod nią zmarznięte stopy i pełna jak najgorszych przeczuć patrzyła na Aleksa siadającego na brzegu łóżka.

- Przyjechałem wieczorem, kiedy ciebie nie było - powiedział, nie spuszczać jej z oka. - Miałem nadzieję się z tobą zobaczyć, ale kiedy mi powiedziano, że poszłaś prosto do siebie na górę, nie pozostało mi nic innego, jak czekać do rana. Nie mogłem jednak zasnąć, a ponieważ noc była jasna, postanowiłem się przejść. Kiedy wracałem, usłyszałem jakiś hałas i zorientowałem się, że nie ja jeden jestem na nogach.

Ujął w ręce chłodne dłonie Jane.

- Wiem, że coś jest nie w porządku, i koniecznie musisz mi powiedzieć co. Twoja matka wieczorem mówiła, że za chowujesz się tak, jakby ci czegoś brakowało, ale ja jeszcze przed wyjazdem z Londynu wiedziałem, że są trudności. Czy powodem jest rozstanie z Ambergate? Wiem, że to dla ciebie wielkie przeżycie, ale przecież zawsze będziesz tu mile wi-

dzianym gościem. A poza tym już wkrótce zostaniesz panią nowego własnego domu!

Jane pomyślała o swojskim cieple Ambergate i o zimnych, przestronnych - jak je sobie wyobrażała - siedzibach Delahaye'ów. Przeszedł ją dreszcz.

- Ja nie potrzebuję tuzina domów! - wybuchnęła. - Nie chcę być księżną, której wszyscy się kłaniają i zmiatają jej pył sprzed nóg. Wiem, że ludzie, których poznałam, nawet by w moją stronę nie spojrzeli, gdybym została zwykłą panną Verey. Nie chcę tego wszystkiego, nie potrzebuję!

Alex był bardzo spokojny. Twarz miał ukrytą w cieniu. W dalszym ciągu trzymał ją za ręce, teraz jeszcze mocniej, mimo że Jane nie próbowała ich uwolnić. Oczy ma pełnymi łez wyzywająco patrzyła na niego.

- To o co ci chodzi, Jane?

- Chcę, żebyś mnie kochał! - zawołała i wybuchnęła płaczem. - Chcę, żebyś kochał mnie tak jak ja ciebie! Na niczym innym mi nigdy nie zależało, bo bez tego reszta nie jest warta złamanego szeląga!

Alex nagle wypuścił z rąk jej dłonie i wziął ją w ramiona. Była zbyt zrozpaczona, by się bronić. Przez chwilę szłochała na jego piersi, podczas gdy on szeptał jej we włosy czułe słówka. W pewnym momencie przypomniała sobie to, co mu właśnie przed chwilą powiedziała, odsunęła go od siebie i spojrzała na niego spode łba.

- Zawsze mnie prowokujesz do mówienia rzeczy, których w ogóle nie powinnam mówić! Jak możesz?!

Alex nie odpowiedział. Obrócił do siebie jej twarz i ucałował. Jego wargi delikatnie jak ulotny puch muskały wrażliwe kąciki jej ust, zanim zsunęły się na brodę i wre-

szcie szyję, zasypując ją deszczem drobnych pocałunków. Jane znów się wzdrygnęła, ale nie z zimna. Jakie to szczęście - pomyślała oszołomiona - że siedzę. Dziwna słabość, jaka się rozlała po całym jej ciele, sprawiła, że ogarnęło ją drżenie.

- Alex...

- Szszsz... Jeśli narobisz hałasu, to usłyszysz cię lady Ele-anor i skandal gotowy!

- Och! - Bezwolnie opadła na poduszki. Alex pochylił się nad nią.

- Ale przecież ja cię bardzo kocham - powiedział stłumionym głosem. - Moja najdroższa Jane, kocham cię tak bardzo, że powinno to być oczywiste dosłownie dla każdego.

- Och!

- Czy to jest wszystko, co masz mi do powiedzenia? -Zajrzał w jej zamglone oczy z szelmowskim uśmiechem. -Przyzwyczaiłaś mnie do znacznie bardziej ciętych ripost, kochanie!

Jego usta znów spoczęły na jej ustach i Jane z westchnieniem poruszyła się na miękkich poduszkach. Wsunęła ręce pod jego żakiet, wyczuwając pod koszulą silne mięśnie pleców i ich ciepło. Wszystko to razem było rozkoszne, upajające i zupełnie niestosowne.

Jane zdawała sobie sprawę, że jej nocna koszula, choć wysoko zapięta pod szyją, nie stanowi wielkiej przeszkody dla kogoś tak zdeterminowanego. I rzeczywiście, zwinne palce Aleksa już rozwiązywały tasiemki, odsuwając cienki materiał i delikatnie wędrując po nagiej skórze. Kiedy przejechał dłonią po wzgórkach jej piersi, Jane w przystępie rozkoszy wygięła się w łuk, wbijając mu palce w plecy. Czy było to

stosowne, czy nie, z całą pewnością nie chciała, żeby Alex w tej chwili przerwał.

- Jane, musimy natychmiast przestać, w przeciwnym razie naruszę podstawowe zasady gościnności i uwiodę cię w domu twojego brata! - mówił stłumionym głosem, a w jego oczach płonęło trudne do ukrycia pożądanie. - Przebacz mi, Boże, nie chciałem tego, ale nie jestem w stanie się po wstrzymać.

Siłą woli przesunął się w drugi koniec łóżka.

- Muszę z tobą porozmawiać, Jane, ale nie jest to ani czas, ani miejsce po temu, mam w tej chwili co innego w głowie. Powiedz, czy w dalszym ciągu wątpisz w moją miłość?

Uśmiechnęła się w ciemności.

- Nie...

- Obiecuję ci, że w noc poślubną nie okażę tyle powściągliwości co dzisiaj!

Podciągnęła kołdrę pod brodę. Czowała ciepło i szczęście, czowała się bardzo kochana.

- Czyżby, Wasza Księżęca Mość? - powiedziała, sznurując usta.

Zobaczyli się na śniadaniu i każde z nich zachowywało się tak, jakby nigdy nie doszło do wczorajszego spotkania. Therese zauważyła, że wprawdzie Jane unika wzroku narzeczonego, to jednak jej rumieniec i lekki uśmiech świadczyły o tym, że mimo wszystko rada go widzi. Po posiłku z nieprzyzwoitym pośpiechem zerwali się od stołu i zniknęli w ogrodzie.

- Skąd ci przyszło do głowy, że ja cię nie kocham, Jane?

- zapytał Alex. W jego oczach było coś, co sprawiło, że poczuła suchość w ustach, i w miarę jak przypominała sobie wydarzenia ubiegłego wieczoru, jej policzki znów zabarwił rumieniec. Teraz, w świetle dnia, w poczuciu bezpieczeństwa wywołanym pewnością, że ją kocha, wszystkie wątpliwości wydały jej się absurdalne. A przecież kiedyś uważała je za przerażająco rzeczywiste...

- Chodziło mi o twoje zobowiązanie wobec dziadka...

- No i co z tego? Oczywiście jestem szczęśliwy, że mogę spełnić jego wolę, ale nigdy w życiu nie uzależniałbym od niej swego małżeństwa!

- Och, ale przecież powiedziałeś, że nasze małżeństwo będzie zręcznym rozwiązaniem...

Alex miał smutną minę.

- Tak, rzeczywiście tak powiedziałem! Częściowo masz rację, ale kryje się w tym prawda najważniejsza: że niemal od pierwszej chwili chciałem się z tobą ożenić. To... to musiało trochę potrwać, zanim zdałem sobie sprawę... nie byłem przyzwyczajony... nie szukałem towarzystwa kobiet... - zawiesił głos. - Skąd to pełne wyrzutu spojrzenie, Jane?

- Nie chciałam przypominać nazwiska lady Dennery -powiedziała z wyrazem udanego smutku - ale widzę, że nie da się tego uniknąć. Bo skoro nie szukałeś jej towarzystwa, to jak wytłumaczyć twoje zachowanie?

Alex wybuchnął śmiechem.

- Tak, muszę przyznać, że w tym przypadku popełniłem fatalny błąd! Uczepiła się mnie, a ja... no cóż, próbowałem w jakiś sposób znaleźć antidotum na dziwną zależność od ciebie, w jaką popadłem. Nie muszę ci mówić, że ta metoda

okazała się nieskuteczna. Ale - dodał spieszenie - lady Den-nery nigdy nie była moją kochanką.

- Hm. - Jane miała surową minę. - Pewnie marzyła jej się twoja korona książęca.

- Uważam, że będzie ładniej wyglądała na twojej głowie.

Usiłowała powstrzymać uśmiech. Jeszcze nie skończyła dochodzenia.

- To nie koniec. Mam poważniejszy zarzut. A co z miłością do twojej żony?

- Do kogo? Rozumiem, że masz na myśli Madeline? Tak, uważam, że powinienem ci o niej powiedzieć. - Przestał się uśmiechać, a serce Jane zaczęło bić jak szalone. Wiedziała, że teraz będzie wobec niej szczery i wyzna, że bez względu na to, jak bardzo ją kocha, nigdy nie przestał myśleć o swojej pięknej żonie. Gestem wskazał Jane różaną altanę, zapraszając, by usiadła.

- To prawda, że kiedy się pobieraliśmy, bardzo kochałem Madeline - przyznał. - Była piękna, a ja młody i niezbyt mądry. I nawet kiedy zaczęło się między nami psuć, ciągle jeszcze miałem nadzieję, że uda mi się to jakoś naprawić i że Madeline znów mnie pokocha. Długo trwało, zanim się zorientowałem. ..

- Zanim zorientowałeś się, że co?

Alex wzruszył ramionami.

- Że Madeline nie jest zdolna do kochania kogokolwiek poza sobą. Nie mając nic do dania, chciała brać coraz więcej i więcej, aż wreszcie dosłownie oszalała z zachłanności. Za chłanności na bogactwo, władzę i miłość, ale bez dawania czegokolwiek w zamian. - Potrząsnął głową. - I to właśnie wtedy moje uczucie, które nie spotkało się z najsłabszym na-

wet odzewem, umarło. - Alex uniósł głowę, napotykając nagle pełne współczucia spojrzenie Jane. Ujął w ręce jej dłonie. - Powiedziałem ci kiedyś, żebyś mi nie współczuła, pamiętasz? Ale to nie dlatego, że pozostała we mnie miłość do Madeline, tylko dlatego, że już wtedy zaczęło mi zależeć na tobie. Potrzebowałem nie twojego współczucia, tylko czegoś znacznie mocniejszego! - Zniżył głos. - I bardziej namiętnego!

- A ja myślałam... - Jane umilkła i zaczęła od nowa. - Wtedy w Malladon, kiedy mi pokazałeś jej portret, myślałam, że chcesz mi powiedzieć, że ją w dalszym ciągu kochasz. Uznałam, że specjalnie powiesiłeś ten portret w tak ważnym miejscu, żeby ci przypominał...

- Ale ja tam nigdy nie jeżdżę - rzekł po prostu Alex. - Dom był jeszcze do niedawna wynajmowany, a zresztą Malladon nie należy do moich ulubionych posiadłości. Zupełnie zapomniałem, że ten portret tam wisi! Zamierzałem ci wtedy powiedzieć, co zaszło między Madeline a mną, no i że cię kocham. Ale nagle uciekłaś, więc uznałem, że to jeszcze za wcześnie, żeby ujawniać uczucia.

- Żebym tylko wiedziała! Byłam powściągliwa, bo miałam pewność, że chcesz się ze mną ożenić tylko ze względu na konwenanse, a nie z miłości.

Aleksowi drgnęły usta.

- Z tego wynika, że nieźle namęciliśmy między sobą, ale mam nadzieję, że w przyszłości będziemy się lepiej rozumieć. Zamierzam poświęcić temu wiele czasu.

Przez chwilę siedzieli w słońcu.

- Tak się cieszę, że wszystko się wyjaśniło - powiedziała radośnie Jane. - Patrzyłam na Sopię i Therese i zazdrości-

łam im szczęścia, a przecież swoje miałam dosłownie w zasięgu ręki!

W dniu ślubu stary kościół w Ambergate pełen był kwiatów pomarańczy i lilii. Trzy rozpromienione panny młode wyszły ze świątyni na ścielący się przed nimi trawnik, prowadzone przez dumnych mężów. Na młodych posypał się deszcz płatków róż i serdecznych życzeń. Kiedy pary zatrzymały się w bramie przykościelnego cmentarza, lady Sophia Delahaye zwróciła rozjaśnioną twarz do swojej szwagierki księżnej i uścisnęła ją serdecznie. Jej oczy lśniły jak gwiazdy.

- Och, Jane! Nie mogę w to wszystko uwierzyć! Powiedz: czy nie jest cudownie?